

WINSTON GROOM

GUMP I SPÓŁKA

(PRZEŁOŻYŁA: JULITA WRONIAK)

SCAN-DAL

*Mojej uroczej żonie,
Anne-Clinton Groom
która przeżyła z Forrestem
tyle uroczych lat.*

MODLITWA BŁAZNA

*Gdy uczta dobiegła końca, król,
By myśli złych wstrzymać gonitwę,
Do błązna rzeki: „Klęknij tu, błąźnie,
I szybko zmów do mnie modlitwę”.*

*Trefniś zdjął czapkę z dzwoneczkami,
Zerknął na kpiące miny wkóło.
Jego gorycz skrywała farba,
Którą umazał twarz po czóło.*

*Schylił głowę, powoli klęknął,
Parsknęli śmiechem dworzanie,
A on wyszeptał błagalnym tonem:
“Okaz błąznowi litość, panie”.*

.....
*Zaległa cisza; król wyszedł z sali,
W ogrodzie usiadł w swej altanie
I w samotności szepnął cicho:
“Okaz błąznowi litość, Panie”.*

Edward Rowland Sili, 1868

Rozdział I

Jedno wam powiem: każdemu zdarza się spuścić w życiu, dlatego wokół spluwaczek leżą gumowe wycieraczki. I jeszcze jedno wam powiem: nie pozwólcie żeby ktoś kręcił film o waszym życiu. Nie chodzi o to jak was przedstawią, chodzi o to że potem nie odpędzicie się od ludzi - będą się do was przyklejać, wypytywać o różne rzeczy, wtykać wam kamery pod nos, prosić o autografy, gadać bzdety o tym jakie to fajne z was chłopaki. Ha! Gdybym mógł załadować do beczek i sprzedać tę całą wazelinę, to miałbym więcej szmalu niż panowie Donald Trump, Michael Mulligan i Ivan Bonzosky razem wzięci. Ale do sprawy tych panów i szmalu jeszcze wrócę.

Najpierw opowiem wam co się ze mną działo przez ostatnie dziesięć czy dwanaście lat. Otóż dużo się działo. Po pierwsze jestem dziesięć czy dwanaście lat starszy, co jest znacznie mniej zabawne niż się może wydawać. Po drugie mam trochę siwych włosów na łepetynie i nie jestem już tak szybki w biegach jak dawniej, o czym przekonałem się kiedy weszłem na boisko - bo trzeba wam wiedzieć że znów zacząłem grać w futbola. Po co? Żeby zarobić nieco mamony.

Było to w Nowym Orleanie gdzie wylądowałem po rozlicznych pierepałkach, sam jak palec. Szybko znalazłem sobie pracę: zmiatanie w lokalu z rozbieraniem, na które mówiło się striptiz. "U Wandy" zamykano dopiero o trzeciej nad ranem, więc w ciągu dnia miałem kupę wolnego czasu. Którejś nocy siedzę sobie grzecznie w kącie i patrzę jak moja przyjaciółka Wanda się striptizuje, kiedy nagle tuż przy scenie wybucha wielka awantura. Latają przekleństwa, krzesła, stoły, butelki po piwie, ludzie drą się na cały regulator, jedni drugich łomoczą po głowach, kobiety piszczą. Na ogół niewiele sobie z takich bójek robiłem bo walono się dwa albo trzy razy na wieczór, ale tym razem jeden z bójkowiczów wydał mi się znajomy.

Był ogromny jak stodoła, trzymał w łapie butelkę piwa i wymachiwał nią jak zawodnik co się szykuje do podania piłki. Kurde, takiego wymachu nie widziałem od czasu jak grałem w futbola na uniwerku w Alabamie. Patrzę, ze zdumienia przecieram oczy i kogo rozpoznaję? Kumpla z drużyny, Węża we własnej osobie! Tego samego, któremu dwadzieścia lat temu jak graliśmy na Orange Bowl z palantami z Nebraski coś się pokiełbało we łbie i zamiast w końcówce meczu rzucić piłkę do mnie, cisnął ją na aut. Oczywiście przez ten jego pokiełbaszony rzut nasza drużyna przegrała, mnie wysłano do Wietnamu... ale dobra, nie ma co do tego wracać.

No więc podeszłem, wyrwałem mu butelkę, on się okręcił, wybałuszył gały i tak się ucieszył na mój widok że z radości walnął mnie w baniak. I to był błąd, bo zwichnął sobie łapę. Jak wtedy nie rozedrze mordy, jak nie puści wiąchy! Pech chciał że akurat w tym momencie zjawili się gliniarze i zgarnęli nas wszystkich do paki, a paka to takie miejsce, o którym co nieco wiedziałem i to wcale nie ze słyszenia. Ale nic. Rano jak już wszyscy potrzeźwieli klawisz przyniósł nam śniadanie, po ciepłej parowie i czerstwej bułce, a potem zaczął się pytać czy chcemy do kogoś zadzwonić, żeby przyszedł z kaucją i nas wykupił czy wolimy pokiblować parę dni.

Waż się wścieka jakby bąka połknął.

- Psiakrew, Forrest, ilekroć się natykam na twój tłusty zad, zawsze ląduję w tarapatach. Tyle lat cię nie widziałem i było dobrze; spotykam cię i co? Trafiam do pierdla!

Bez słowa kiwam łepetyną, bo co mam powiedzieć? Ma rację.

Po pewnym czasie przychodzi jakiś gość, z bardzo smętną miną wpłaca forszę, no i wkrótce opuszczamy więzienie, ja, Wąż i jego kumple.

- Swoją drogą - mówi do mnie mój dawny koleś - co, u licha, robiłeś w tej knajpie?

Więc mu wyjaśniam że pracuję tam jako sprzątaczką; Wąż patrzy na mnie dziwnie, a potem woła:

- Rany boskie, człowieku! Miałeś wielką firmę krewetkową w Bayou La Batre! Co się stało? Przecież byłeś milionerem!

Skoro pytał to mu opowiedziałem całą smutną prawdę o tym jak interes krewetkowy wziął i splajtował.

A było to tak. Wyjechałem z Bayou La Batre bo miałem po dziurki w uszach tego gówna, co się wiąże z prowadzeniem dużej firmy. Cały interes zostawiłem na barkach mamy i moich dwóch przyjaciół: porucznika Dana, którego znałem z Wietnamu i mistrza szachowego pana Tribble, który sponsorował mnie w turniejach szachowych. Najpierw umarła mama - i to wszystko co mam do powiedzenia na ten temat. Potem zadzwonił do mnie porucznik Dan, że odchodzi z firmy, bo już się dość wzbogacił. A jeszcze potem dostałem list z urzędu podatkowego, w którym pisało że ponieważ nie płaciłem podatków z działalności krewetkowej, to oni - znaczy się ten urząd - zamykają mi firmę a budynek i kutry przejmują na własność. Kiedy pojechałem zobaczyć co się dzieje, zobaczyłem że nie działa się absolutnie nic. Budynki stały puste, telefony były odcięte, elektryczność wyłączona, a na drzwiach wejściowych wisiała

kartka przyczepiona przez szeryfa o jakimś “wywłaszczeniu”. I tylko chwasty rosły wszędzie jak na drożdżach.

Nic z tego nie kapowałem, więc poszedłem do taty Bubby wywiedzieć się co jest grane. Bubba to był mój wspólnik i kumpel z woja który zginął w Wietnamie, a jego tata pomagał mi w rozkręcaniu interesu, więc pomyślałem sobie że kto jak kto, ale on na pewno powie mi prawdę bez żadnych ogródków.

Kiedy wchodzę na podwórze, tata Bubby siedzi na schodach przed domem z miną pogrzebową.

- Co się stało z moim interesem krewetkowym? - pytam go.

Staruszek potrząsa smętnie głową i mówi:

- Niestety, Forrest, zdarzyła się przykra rzecz. Obawiam się, że jesteś bankrutem.

- Ale dlaczego? - pytam go. A on na to:

- Bo cię zdradzono.

I opowiedział mi wszystko po kolei. Kiedy ja objąłem baki w Nowym Orleanie, mój poczciwy przyjaciel porucznik Dan razem z moim drugim poczciwym przyjacielem, małpą - a dokładniej to orangutem Zuzią wrócili do Bayou La Batre, żeby pomóc rozwiązać problemy co nękały firmę. A problemy co nękały firmę polegały na tym że powoli zaczynało brakować krewetek. Po prostu ni z gruszki ni z pietruszki cały świat dostał bzika na ich punkcie. Ludzie w takich miejscach jak Indianapolis, którzy kilka lat temu nawet nie wiedzieli co to krewetek, teraz chcieli je wtrząchać w każdej knajpie i każdym barze o każdej porze dnia i nocy. Tata Bubby i inni pracownicy firmy harowali jak dzikie woły, poławiali najszybciej jak się dało, ale krewetki nic sobie nie robiły z ludzkich apetytów i rozmnażały się we własnym tempie. Po jakimś czasie łowiliśmy ich coraz mniej, gdzieś tak z połowę tego co na początku, i powoli wszystkich zaczęła ogarniać panika.

Tata Bubby nie był pewien co się potem wydarzyło, w każdym razie sprawy przybrały jeszcze gorszy kołowrót. Najpierw porucznik Dan rzucił wszystko w cholerę. Tata Bubby widział jak razem z jakąś panią ubraną w szpilki i jasną bitelsowską perukę wsiadł do długiej limuzyny, otworzył okno, pomachał dwoma wielkimi butlami szampana i odjechał. Później pan Tribble rzucił wszystko w cholerę. Po prostu któregoś dnia wyszedł i więcej nie wrócił. A kiedy pan Tribble znikł, inni też porzeczynowali bo im nikt nie płacił pensji. W firmie został jedynie

pocziwy Zuzia, który odbierał telefony i w ogóle, ale kiedy zakład telefoniczny odciął nam linie, Zuzia też odszedł. Pewnie uznał że już na nic się nie przyda.

- Zabrali całą twoją forszę - powiedział tata Bubby.

- Kto? - spytałem.

A on na to:

- Wszyscy. Dan, pan Tribble, sekretarki, poławiacze, pracownicy administracyjni. Nikt nie odchodził z pustymi rękami. Nawet stary Zuzia. Kiedy go ostatni raz widziałem, zniknął za winklem tachając pod pachą komputer.

Nie wiecie jak bardzo mnie to wszystko zgnębiło. Nie chciałem wierzyć własnym uszom. Kto jak kto, ale żeby Dan wyciął mi taki numer! I pan Tribble! I Zuzia!

- Tak czy inaczej, drogi chłopcze, jesteś zupełnie splukany - powiedział tata Bubby.

A ja mu na to że nie po raz pierwszy w życiu.

Było za późno żeby czemukolwiek zaradzić. Trudno, pomyślałem sobie, moja strata. Tę noc spędziłem na jednej z naszych przystani. Na niebo wytoczył się wielki półksiężyc i zawisł nad Zatoką Missisipi. Zaczęłem dumać o mamie, że gdyby żyła to nikt by mnie nie okradł. Dumalem też o Jenny Curran, która już nie nazywała się Curran tylko jakoś inaczej i o małym Forreście, który był moim synem.

Psiakość, przecież obiecałem Jenny że będę jej wysyłał dla dzieciaka całą moją dolę z hodowli krewetek. I co ja teraz zrobię? Jestem goły! Splukany jak klozet! Można być bankrutem bez forsy jak się jest młodym i nie ma obowiązków, ale ja, kurde bele, miałem trzydziestkę z hakiem na karku i małego Forresta, któremu chciałem zabezpieczyć przyszłość. Obiecanki cacanki. Znów wszystko schrzaniłem. Jak zawsze.

Wstałem z desek i ruszyłem na koniec mola. Pocziwy księżulo wciąż wisiał nad wodą, prawie maczając w niej roga. Nagle zebrało mi się na płacz. Oparłem się o drewnianą poręcz. Musiała być zgniła, bo zanim się kąpelem co się dzieje, wylądowałem razem z nią w wodzie. Psiakrew. Stałem zanurzony po pas i czułem się jak krety. Marzyłem o tym żeby podpłynęła wielka ryba, jakiś rekin albo co, i mnie zżarła. Ale nic nie podpłynęło, więc rad nierad wygramoliłem się na brzeg, poszłem na przystanek i złapałem pierwszy autobus do Nowego Orleanu. Ledwo zdążyłem pozamiatać "U Wandy" zanim pojawili się goście.

Dwa dni później Wąż wpadł do striptizerni tuż przed zamknięciem lokalu. Łapę miał poowijaną w bandażę i wetkniętą w szyję, bo ją sobie zwichnął kiedy walnął mnie w łeb, ale nie w tej sprawie chciał się ze mną widzieć tylko w całkiem innej.

- Gump - mówi do mnie. - Czy ja dobrze zrozumiałem? Że już nie masz tych milionów i zarabiasz na życie sprzątając tę budę? Czyś ty oszalał, chłopie? Powiedz mi jedno: wciąż masz tyle pary w nogach jak dawniej?

- Nie mam zielonego. Dawno nie biegałem.

- Wiesz co? - on na to. - Jestem rozgrywającym w New Orleans Saints. Może słyszałeś, że ostatnio kiepsko nam idzie. Na osiem rozegranych meczów wszystkie przegraliśmy. Zyskaliśmy przydomek "Fujary". W każdym razie w przyszły weekend mamy się zmierzyć z New York Giants; jeśli będziemy grać jak dotąd, pewnie znów damy plamę i wywalą mnie na zbity pysk.

- Kurde! - zdumiałem się. - To ty ciągle grasz w futbola? Serio?

- Nie bądź głupi! A co, mam grać w orkiestrze? Może na puzonie? Słuchaj, musimy na niedzielę coś wymyślić, jakąś chytrą sztuczkę, żeby Giantsi nam nie dokopali, i właśnie przyszedł mi do głowy pewien pomysł. Ty będziesz naszą tajną bronią! Przeciwczysz ze dwie stare zagrywki, tyle powinno wystarczyć. Kto wie, jeśli dobrze wypadniesz, może przyjmą cię na stałe?

- Czy ja wiem? Dawno nie grałem w futbola. Ostatni raz to było wtedy na Orange Bowl z tymi palantami z Nebraski, kiedy w czwartej próbie rzuciłeś piłkę na aut.

- Cholera jasna, Gump, musisz mi o tym przypominać? Od tamtego meczu minęło dwadzieścia lat! Wszyscy oprócz ciebie dawno o nim zapomnieli! Kurwa, jesteśmy w podrzędnym lokalu, dochodzi druga nad ranem, ty zasuwasz ze ścierą, szorujesz podłogę i kręcisz nosem na moją propozycję? Może to twoja jedyna szansa w życiu! Kretyn jesteś, czy co?

Chciałem mu powiedzieć że tak, ale zanim otwarłem usta Wąż chwycił serwetkę i zaczął po niej mazać.

- Słuchaj - mówi. - Masz tu adres stadionu, na którym ćwiczymy. Przyjdź jutro punktualnie o pierwszej. Pokaż przy wejściu tę kartkę i powiedz, żeby cię do mnie przyprowadzili.

Kiedy wyszedł schowałem serwetkę do kieszeni i wróciłem do sprząkania. Potem w domu nawet przez minutę oka nie zmrużyłem, tylko całą noc dumałem nad tym co Wąż powiedział. Kurde, może ma rację? Co mi szkodzi spróbować? Przypomniałem sobie dawne czasy: uniwersytet

w Alabamie, mecze futbolowe, trenera Bryanta, Curtisa, Bubbę i innych chłopaków. I tak sobie rozmyślałem aż mi się oczy spociły z wysiłku, bo to były najlepsze lata mojego życia, właśnie wtedy jak wygrywaliśmy a tłum na stadionie kibicował i krzyczał. Rano ubrałem się, wyszedłem zjeść śniadanie, potem wsiadłem na rower i o pierwszej zajechałem pod adres co mi go Wąż zapisał na serwetce.

- To mówi pan, że jak się pan nazywa? - spytał wartownik kiedy mu pokazałem bazgroły Węża. Patrzył na mnie jakby chciał wypatrzeć jakąś wesz czy co.

- Forrest Gump - powiadam. - Grałem kiedyś z Wężem w jednej drużynie.

- Akurat! - on na to. - Wszyscy tak gadają.

- Ale ja naprawdę grałem.

- No dobra. Niech pan poczeka.

Skrzywił się i znikł za drzwiami. Po chwili wrócił kręcąc łbem ze zdumienia.

- W porządku, panie Gump - mówi. - Proszę za mną.

I prowadzi mnie grzecznie do szatni.

Widziałem w swoim życiu sporo dryblasów. Na przykład te palanty z Nebraski co graliśmy z nimi na Orange Bowl, to dopiero były góry miecha! Ale w porównaniu z chłopakami, których zobaczyłem w szatni... e tam, szkoda gadać! Ja sam mam ze dwa metry wysokości i ponad sto kilo żywej wagi, ale nagle poczułem się jak knypec. Na oko każdy z nich bił mnie wzrostem o głowę, a ważył tyle co dwóch takich jak ja.

- Szukasz kogoś, dziadku? - pyta się jeden, który od innych różnił się strojem.

- Ta - mówię. - Węża.

- Nie ma go - on na to. - Trener wysłał go do lekarza. Parę dni temu walnął jakiegoś idiotę w łeb i zwichnął sobie łapę.

- Wiem - mówię.

- A może ja ci mogę w czymś pomóc? - pyta.

- Nie wiem - mówię. - Wąż kazał mi tu przyjść i zagrać z wami.

- Zagrać, dziadku? Z nami? - Facet mruży oczy rozbawiony.

- Ta. Bo widzi pan dawno temu w Alabamie Wąż i ja graliśmy w jednej drużynie. I wczoraj wieczorem jak mnie odwiedził w striptizerni powiedział żebym...

- Zaraz, zaraz - przerywa mi gość - czy ty przypadkiem nie nazywasz się Forrest Gump?

- No pewnie - mówię.

A on na to:

- W porządku, już wszystko jasne. Waż mi o tobie opowiadał. Podobno masz niezłą parę w nogach.

- No nie wiem. Dawno nie biegałem - mówię.

- Dobra, Gump. Obiecałem Wężowi, że cię wypróbuję. Zamknij drzwi, przebierz się w strój... aha, mam na nazwisko Hurley. Trenuję skrzydłowych.

Trener Hurley wskazał mi pustą szafkę, a potem kazał znaleźć dla mnie portki, bluzę, ochraniacze i inne takie. Kurde, ale się wszystko pozmieniało przez te lata! Każda część stroju miała tyle poduszków, gumowych podkładek i innych bajerów że kiedy się w końcu przebrałem, czułem się jak jaki Marsjanin czy co. Ledwo mogłem się ruszać. Ale nic, wychodzę z szatni, chłopaki są już na stadionie i się rozgrzewkują. Trener daje mi ręką znać żebym przyłączył się do jego grupy, która ćwiczy podania, więc się przyłączam, nawet chętnie, bo pamiętam tę rozgrzewkę z czasów alabamskich. Polega na tym że wszyscy stoją w rzędzie, a potem każdy kolejno przebiega z dziesięć metrów, odwraca się i łapie piłkę, którą trener czy ktoś mu rzuca. Kiedy nadchodzi moja kolej biegnę, odwracam się i dostaję piłkę w ryj. Z wrażenia potykam się i zwalam jak długi na ziemię. Trener nic nie mówi, potrząsa jedynie łbem, więc zrywam się i ponownie ustawiani w rzędzie. Po czterech czy pięciu próbach ani razu jeszcze nie złapałem piłki. Chłopaki coraz bardziej się ode mnie odsuwają jakbym cuchł albo co.

Po pewnym czasie trener rozdziawia się i zaczyna krzyczeć. Wszyscy dzielą się na dwie drużyny i ustawiają naprzeciwko siebie. Zaczyna się gra. Po paru minutach trener woła mnie do siebie.

- Dobra, Gump - powiada. - Nie wiem, co mi odbiło, ale dam ci szansę. Zajmij pozycję skrzydłowego i spróbuj złapać piłkę. Tylko postaraj się nie przynieść Wężowi wstydu. Inaczej te draby do końca życia będą się wyśmiewać i z niego, i ze mnie.

Chłopaki stoją zbite w młyn i się naradzają. Wbiegam na boisko i mówię im że trener kazał mi grać. Rozgrywający patrzy na mnie jak na wariata, ale co ma robić? Wzrusza ramionami i mówi:

- W porządku, Gump. Zagrywka osiem-zero-trzy. Lecisz dwadzieścia jardów, skręcasz w prawo i dajesz pełny gaz.

No dobra, rozchodzimy się i wszyscy zajmują pozycje. Nie mam zielonego pojęcia gdzie powinienem stanąć, więc staję tam gdzie mi się wydaje że ma stać skrzydłowy, ale rozgrywającemu się to nie podoba i macha żebym podszedł bliżej. Po chwili podaje piłkę między nogami i zaczynamy. Chcę widzieć co się dzieje, więc pędzę tyłem ze dwadzieścia jardów, skręcam jak mi kazali i wtem widzę, że piłka leci idealnie w moją stronę. Odruchowo wyciągam ręce, złapałem ją i pogałem ile sił w piętach. Jak babcię Kocham, przebiegłem kolejne dwadzieścia jardów zanim dopadło mnie dwóch dryblasów i zważyło na ziemię.

Kurde, ale się wtedy zrobił rwetes!

- Niby co to, u diabła, miało być? - jeden z nich drze gębę.

- Tak się nie gra! - piekli się drugi. - Co on, do cholery, wyprawia!

Przylatuje następnych dwóch czy trzech, wszyscy krzyczą, dziamgoczą, wymachują łapami. Myślę sobie: nie będę tego słuchał, więc podnoszę się i wracam do swoich, którzy znów robią młyn.

- O co im chodzi? - pytam się rozgrywającego.

A on na to:

- Nie przejmuj się, Gump, to durnie. Najmniejsza zmiana czy odstępstwo i oni całkiem tracą głowę. Spodziewali się, że zagrasz tak jak ci kazałem, a ty skręciłeś w lewo zamiast w prawo, a w dodatku cały czas zasuwałeś tyłem. Tego nie ma w podręczniku, więc... Na szczęście w porę cię spostrzegłem. Swoją drogą, to był piękny chwyt.

Do końca popołudnia złapałem jeszcze pięć czy sześć podań, z czego cieszyli się wszyscy prócz obrony. W tym czasie Wąż wrócił od doktora i przyglądał się jak gramy. Stał za boczną linią boiska, a właściwie nie stał tylko skakał jak żaba w amoku i szczyrzył się od ucha do ucha.

- Forrest, chłopie - powiedział jak skończyliśmy - szykuj się na niedzielę. Ale damy wycisk tym Giantsom! Cholera, co za szczęście, że się na ciebie napatoczyłem!

Ciekaw byłem czy tego napatoczenia się nie będzie jeszcze żałował.

No nic, trenowałem codziennie, więc kiedy nadeszła niedziela byłem w całkiem niezłej formie. Wężowi łapa się już zagoiła i grał na swojej stałej pozycji rozgrywającego. Przez pierwsze dwie kwarty dosłownie wypruwał sobie flaki, więc kiedy zeszliśmy w przerwie do szatni przegrywaaliśmy tylko zero do dwudziestu dwóch.

- Dobra, Gump - powiada do mnie trener Hurley. - Zaraz damy Giantsom do wiwatu. Uśpiliśmy na tyle ich czujność, że są pewni łatwego zwycięstwa. Ty im pokrzyżujesz szyki.

Jeszcze coś tam do mnie gada jak to popędzimy tamtym kota, a potem ruszamy z powrotem na stadion.

W pierwszej próbie któryś z naszych wykopuje piłkę tak że przedszkolak by to lepiej zrobił; zaczynamy grę tuż przy własnym polu punktowym. Widać trener Hurley chciał jeszcze bardziej uśpić czujność przeciwnika. Teraz podchodzi do mnie i klepie mnie w tyłek. Wbiegam na boisko. Na trybunach zapada cisza, a potem słychać jakieś niskie pomruki albo co. Pewnie organizatorzy nie zdążyli wpisać mojego nazwiska do programu i kibice nie wiedzą co ja za jeden.

Waż patrzy na mnie roziskrzonym wzrokiem.

- Dobra, Forrest - mówi. - Pokażemy im. Jeszcze nas popamiętają.

Ustawiamy się, on podaje numer zagrywki. Drałuję w stronę linii bocznej, potem skręcam, odwracam się, patrzę, a piłki nie ma. Waż trzyma ją pod pachą i sadzi to w prawo to w lewo, to tu to tam, cały czas pod naszą bramką, a za nim gania z czterech czy pięciu Giantsów. Kurde, pewnie pokonał ze sto jardów, tyle że ani kawałka do przodu.

- Przepraszam, chłopaki - mówi kiedy znów robimy młyn. Wtem wsuwa łapę do gaci, wyciąga małą plastikową flaszkę, przytyka ją do ust i dudli.

- Co to? - pytam się.

- Stuprocentowy sok pomarańczowy. A myślałeś, idioto, że co? Że taki stary wyga jak ja źłopie na boisku whisky?

No proszę, a powiada się że czym skorupek za młodu nasiąkł... Z drugiej strony mówi się że tylko krowa nie zmienia zwyczajów. Więc sam nie wiem jak to jest, ale cieszę się że Waż się więcej nie alkoholizuje.

Dobra, powtarzamy zagrywkę. Jeszcze raz lecę na skrzydło. Cisza na trybunach trwała krótko; kibice znów gwiżdżą, rzucają na boisko papierowe kubki, programy z nazwiskami zawodników, nadgryzione hot dogi. Tym razem kiedy się odwracam, dostaję w dziób wielkim zgniłym pomidorem; ktoś go specjalnie przyniósł żeby móc wyrazić niezadowolenie. Muszę przyznać że się tego nie spodziewałem. Podnoszę odruchowo ręce do twarzy i tak się składa, że akurat w tym momencie łup! - obrywam piłką rzuconą przez Węża. I padam na ziemię, ale przynajmniej nie zaczynamy gry spod własnej bramki.

Wstaję i usiłuję zetrzeć z twarzy rozpaćkanego pomidora.

- Trzeba uważać, Forrest - mówi Wąż. - Ludzie lubią ciskać w zawodników różne świństwa. Ale nie przejmuj się, nie mają nic złego na myśli. Po prostu tak wyrażają emocje.

A ja sobie myślę: kurde, nie mogą się emocjonować trochę grzeczniej?

No nic, wracam na miejsce i nagle słyszę skierowany do mnie strumień wyzwisk i przekleństw. Patrzę skąd wypływa i jak bum-cyk-cyk nie wierzę własnym oczom! Bo w zawodniczym stroju Giantsów widzę poczciwego Curtisa, który w dawnych alabamskich czasach grał na pozycji skrzydłowego!

Curtis był moim współpokojojowiczem na uniwerku w Alabamie. Nie najlepiej się wtedy dogadywaliśmy, bo trudny miał charakter. Kiedyś na przykład wyrzucił przez okno silnik motorówki, w dodatku prosto na wóz policyjny - trener Bryant kazał mu za karę obieć kupę razy boisko. Potem, kiedy rozkręciłem interes w Bayou La Batre, dałem Curtisowi robotę przy krewetkach. Odkąd go znałem zawsze zaczynał rozmowę od puszczenia z dziesięciu wiąchów przekleństw, a dopiero później przechodził do sedna, czyli sami rozumiecie: niełatwo się było kapnąć o co mu idzie, zwłaszcza jak się miało na myślenie pięć sekund a mniej więcej tyle zostało do wznowienia meczu. Pomachałem więc staremu kumplowi, na nic więcej nie było czasu, a jego tak to zdziwiło że spojrzał pytająco na kogoś w swojej drużynie i właśnie wtedy rozległ się gwizdek. Minętem Curtisa jak wystrzelony z procy - w ostatniej chwili próbował bez skutku podstawić mi nogę - i pogałem przed siebie. Rzucana Przez Węża piłka spadła mi prosto w graby. Nie musiałem zwalniać ani przyspieszać ani nic. Złapałem ją, pomkłem na pole punktowe i zdobyłem przyłożenie. Hura!

Chłopaki rzuciły się na mnie, zaczęły skakać, cieszyć się i w ogóle- Kiedy się wreszcie od nich uwolniłem, podszedł do mnie Curtis.

- Ładnie się spisał, dupku. - Z jego ust był to najwyższy komplement.

W tym momencie pac! - i dostał pomidorem w sam środek pyska. Tak się zdumiał że z wrażenia zaniemówił. Żal mi się zrobiło biedaka.

- Nie przejmuj się - próbuję go pocieszyć. - Oni nie mają nic złego na myśli. Po prostu tak wyrażają emocje. Sam widziałem w telewizji jak w łyżwiarzy ciskają kwiatami.

Ale moje wyjaśnienia nie bardzo go przekonały. Podbiegł do trybun i zamiast się grzecznie ukłonić, jak to robią ci na łyżwach, zaczął się wydzierać, sypać przekleństwami i pokazywać widzom gdzie go mogą pocałować. Stary, poczciwy Curt nic a nic się nie zmienił.

To było ciekawe popołudnie. W czwartej kwarcie prowadziliśmy dwadzieścia osiem do dwudziestu dwóch. Jeszcze raz pokazałem co umiem, kiedy złapałem piłkę rzuconą z odległości czterdziestu jardów przez gracza, który wszedł na niiejsce Węża. Bo Wężowi przeciwnik wygryził z nogi kawał miecha i trzełba mu ją było zszywać. Przez całą końcówkę meczu kibice kibicowali: "Gump! Gump! Gump!" - aż uszy puchły, a jak się mecz zakończył, na boisko wbiegło stado gryziopiórków z gazet i fotografów, obtoczyli mnie ciasno i zaczęli zasypywać głównie jednym pytaniem, mianowicie co ja za jeden.

W każdym razie w moim życiu zaszła wielka zmiana. Za mecz z Giantsami kierownictwo Saintsów dało mi czek na dziesięć tysięcy dolców. Tydzień później graliśmy z Chicago Bears: trzy razy złapałem piłkę i zdobyłem punkty przez przyłożenie. Kierownictwo Giantsów wymyśliło sobie że będzie mi płacić akordonowo, znaczy się tysiąc dolców za każde złapanie podanie i dziesięć tysięcy premii za każde przyłożenie. W porządku. Po czterech kolejnych meczach zrobiło się ze mnie prawdziwe panisko: miałem sześćdziesiąt tysięcy na koncie! Konto drużyny też się poprawiło - z wynikiem osiem meczów przegranych i sześć wygranych awansowaliśmy na wyższe miejsce w tabeli. Tydzień przed następnym meczem - z Detroit Lions - wysłałem na adres Jenny Curran czek dla małego Forresta na sumę trzydziestu tysięcy dolarów. Kiedy dokopaliśmy Detroit Lions, a potem kolejno drużynom Redskins, Colts, Patriots, 49ers i Jets wysłałem Jenny jeszcze jeden czek na trzydzieści tysięcy. Sądziłem że do czasu mistrzostw kraju zarobię tyle że do końca życia będę pływał w luksusie.

Ale tak się nie stało.

Wygraliśmy mistrzostwa naszej dywizji. Następny mecz jaki nas czekał to z Dallas Cowboys na ich boisku. Przyszłość wyglądała różowo. Chłopaki były pewne zwycięstwa, w szatni po treningach strzelali się ręcznikami po tyłkach. Wąż znów był w świetnej formie i nawet przestał dudlić sok pomarańczowy.

Któregoś dnia jeden z zawodników przychodzi do mnie i mówi:

- Wiesz, Gump, powinieneś znaleźć sobie agenta.

- Kogo? - pytam.

- Agentą, idioto. Kogoś, kto by cię reprezentował i dbał o twoje interesy. Za mało ci płacą. Wszystkim za mało płacą. Ale my przynajmniej mamy agentów, którzy wyklócają się za nas z tymi skurwielami z kierownictwa. Powinieneś dostawać trzy razy więcej niż ci dają.

Więc się go posłuchałem i znalazłem sobie agenta. Agent nazywał się pan Butterfield.

Piersza rzecz jaką pan Butterfield zrobił to zaczął się wyklócać z tymi skurwielami z kierownictwa. Kierownictwo wezwało mnie na rozmowę i aż się pienilo z wściekłości.

- Gump - powiada kierownictwo - podpisałeś z nami umowę, która przewiduje, że w tym sezonie dostajesz tysiąc dolarów za każde złapane podanie i dziesięć tysięcy za każde przyłożenie. I co, nagle przestała ci się podobać? O co tu, do diabła, chodzi?

- Nie wiem - mówię. - Zatrudniłem agenta...

- Agent?! - woła kierownictwo. - Jakiego agenta? To nie agent, to bandyta! Nikt cię o tym nie poinformował?

Mówię że nie, nikt. W tej sytuacji kierownictwo postanawia samo mnie poinformować: otóż ten bandyta pan Butterfield zagroził im że nie pozwoli mi wyjść na boisko, jeśli nie otrzymam trzy razy więcej niż obecnie.

- To rozbój! - drze się właściciel Saintsów. - Uprzedzam cię, Gump, że nie dam się szantażować. Jeśli opuścisz choć jeden mecz, przysięgam, że osobiście wywalę cię na zbity pysk! I dopilnuję, żebyś już nigdy nigdzie nie zagrał! Rozumiesz?

Powiedziałem że tak i wróciłem na boisko trenować dalej z drużyną.

Mniej więcej w tym czasie rzuciłem robotę w striptizerni Wandy, bo jako zawodnik musiałem wcześniej kłaść się spać. Wanda powiedziała że rozumie, że wcale się nie dziwi, zresztą sama planowała mnie zwolnić, bo to nie przystoi żeby gwiazda Saintsów robiła u niej za sprzątacza.

- Poza tym ludzie już nie przychodzą, żeby oglądać striptiz. Przychodzą, żeby oglądać ciebie, durna pało!

No dobra, dzień przed wyjazdem do Dallas poszedłem na pocztę sprawdzić czy nie ma do mnie listów. Był jeden. Z Mobile w Alabamie. Patrzę na adres nadawcy i widzę nazwisko pani Curran, mamy Jenny. Do tej pory zawsze cieszyłem się jak głupi, kiedy miałem wiadomość od Jenny czy na jej temat, ale tym razem, sam nie wiem, coś mnie boleśnie ścisło za serce. W kopercie jest druga koperta, wciąż zaklejona, a w niej mój list do Jenny razem z czekiem na trzydzieści tysięcy. Oprócz tego jest list od pani Curran do mnie. Zaczynam czytać. I zanim doczytuję do końca, odechciewa mi się żyć.

Kochany Forreście - pisze mama Jenny - nie wiem, jak ci to powiedzieć, ale miesiąc temu Jenny bardzo poważnie zachorowała. Jej mąż, Donald, również. Donald umarł w zeszłym tygodniu. Dzień później umarła Jenny.

Pani Curran coś tam jeszcze napisała, ale nie pamiętam co. Nie mogłem oderwać oczu od tych pierwszych linijek. Łapy mi się trzęsły, a serce waliło jakbym miał wykorkować. To nieprawda! - krzychałem do siebie w duchu. To nie może być prawda! Boże, tylko nie Jenny! Tak długo ją znałem, od samej szkoły podstawowej, i tak mocno ją kochałem! Tylko dwie osoby kochałem w życiu, mamę i Jenny Curran. Wielkie krople łez ciekły mi po twarzy i powoli kapwały na list, atrament się rozpląwał aż w końcu rozpląnął się cały list oprócz kilku ostatnich zdań, a te brzmiały tak: *Jest u mnie mały Forrest. Oczywiście mogę się nim opiekować, dopóki starczy mi sił. Jednakże nie czuję się najlepiej, więc byłoby dobrze, gdybyś między meczami znalazł czas, żeby nas odwiedzić. Musimy porozmawiać.*

Nie pamiętam co było później, wiem tylko że wróciłem do domu, wrzuciłem kilka rzeczy do torby i tego samego popołudnia wsiadłem w autobus do Mobile. Czas włókł się jak żółw. Przez całą drogę rozmyślałem o Jenny, o tych wszystkich latach które się znaliśmy. Tyle razy ratowała mnie w szkole z różnych opresji, nie gniewała się kiedy niechący zdarłem z niej w kinie sukienkę i później kiedy zdarłem z niej tego faceta od banjo, z którym grała w jednej kapeli - myślałem, że ją napastowuje, a oni się po prostu kochali w samochodzie. No nic, potem był Boston: Jenny śpiewała ze Zbitymi Jajami, ja studiowałem na Harvardzie i grałem w sztuce Shakespeare'a. Kilka lat po Bostonie odnalazłem Jenny w Indianapolis, pracowała przy renowaniu opon samochodowych. Tam w Indianapolis zostałem zapaśnikiem. Bardzo się to Jenny nie podobało, zwłaszcza jak przypinałem sobie ośle uszy i ośli ogonek... Boże, to nieprawda, powtarzałem, to nieprawda, to nieprawda! Ale powtarzanie nic nie dało. W głębi duszy wiedziałem że pani Curran napisała prawdę. I że Jenny naprawdę nie żyje.

Zanim dotarłem do domu pani Curran, była już prawie dziewiąta wieczór.

- Och, Forrest! - woła na mój widok mama Jenny. Rzuca mi się na szyję i beczy, więc ja też w bek, bo nie umiem się powstrzymać. Po jakimś czasie wchodzimy do środka, pani Curran częstuje mnie mlekiem, ciasteczkami i próbuje opowiedzieć co się stało.

- To była jakaś dziwna, tajemnicza choroba - mówi. - Zapadli na nią mniej więcej w tym samym czasie. Potem wszystko potoczyło się błyskawicznie. Jenny z dnia na dzień traciła siły, ale na szczęście nie cierpiała. Wyglądała tak ślicznie, tak niewinnie. Leżała w łóżku, w tym

samym, w którym sypiała jako mała dziewczynka. Włosy miała długie, rozpuszczone, twarz spokojną jak aniołek. Którego dnia...

Pani Curran zamilkła na chwilę. Już nie płakała. Popatrzyła przez okno na latarnię uliczną, a potem ciągnęła dalej:

- Którego dnia zachodzę rano, a ona nie żyje. Leży z głową na poduszce zupełnie jakby spała. Mały Forrest bawił się na werandzie. Nie byłam pewna, co robić, ale zawołałam go i powiedziałam, żeby pocałował mamusię. Więc ją pocałował. Nie wiedział, o co chodzi. I niczego się nie domyślił, bo mu kazałam wrócić do zabawy. Pochowaliśmy Jenny następnego dnia. Na cmentarzu Magnolia. Spoczywa teraz w cieniu klonu, obok swojego taty i babci. A mały Forrest... nie mam pojęcia, co on z tego rozumie. O ojcu dotąd nie wie. Donald umarł w Savannah, w domu swoich rodziców. Mały Forrest oczywiście widzi, że mamy nie ma, ale chyba nie bardzo kojarzy, co się z nią stało.

- Mogę zobaczyć? - pytam panią Curran.

Ona nie bardzo kapuje.

- Co zobaczyć? - pyta.

- Pokój - mówię. - Ten w którym...

- A tak, jasne. To ten na prawo. Mały Forrest teraz tam śpi. Oprócz tego saloniku są tu tylko dwa pokoje, więc...

- Nie chciałbym go zbudzić... -ja na to.

- Ależ zbudź. Pogadaj z dzieciakiem. Może dobrze mu to zrobi.

Więc weszłam do pokoju Jenny i tam na jej łóżku zobaczyłem swojego synka. Spał twardo jak kamień i tulił do siebie misia. Gęsty jasny lok opadał mu na czoło. Pani Curran pochyliła się żeby obudzić malca, ale powiedziałem że nie, zostawmy go w spokoju. I kiedy tak stałem i patrzyłem na jego śpiącą twarz czułem się tak - no, prawie tak - jakbym patrzył na Jenny.

- Niech śpi - mówię do pani Curran. - Rano z nim pogadam.

- Dobrze, Forrest - ona na to.

Odwróciła się w stronę drzwi. Pogłaskałem małego po buzi, a wtedy on przekręcił się na bok i westchnął cichutko przez sen.

- Och, Forrest - mówi do mnie pani Curran kiedy już wyszliśmy z pokoju malca. - Nie mogę w to uwierzyć. Była taka młoda. I wydawali się oboje tacy szczęśliwi. No powiedz, czy los nie jest okrutny?

- Jest, proszę pani, nie ma dwóch zdań.

- Musisz być, chłopcze, bardzo zmęczony. Tu w saloniku stoi kanapa, rozłóż ją na noc...

- A nie mógłbym się przespać na werandzie? Na tej bujanej ławie? Lubiliśmy z Jenny na niej siadywać, huśtać się...

- Oczywiście. Zaraz ci przyniosę koc i poduszkę.

No i zostałem na zewnątrz. Przez całą noc wiał wiatr, nad ranem zaczęło padać, ale nie było mi zimno ani nic. To była taka typowo jesienna alabamska noc. W sumie krótko spałem. Zamiast spać większość czasu dumałem o Jenny, o małym Forreście i o swoim życiu, w którym tak niewiele osiągnąłem. Niby wciąż byłem zajęty, nie leniłem się ani nic, ale mało co mi wychodziło. A jak już zaczynało wychodzić, wtedy na mur-beton musiałem coś schrzanić. Ale taka jest cena bycia idiotą, nie?

Rozdział 2

Nazajutrz rano pani Curran przynosi mi na werandę śniadanie w postaci kawy i pączka. Deszcz przestał padać, ale niebo nadal jest szarobure, a w oddali słycać grzmoty jakby Pan Bóg się wściekał na grzeszycieli.

- Pewnie chcesz się wybrać na cmentarz - mówi do mnie pani Curran.

- Pewnie tak - odpowiadam, chociaż wcale, nie jestem tego pewien. To znaczy z jednej strony coś mi mówi że trzeba tam jechać, a z drugiej jest to ostatnie miejsce na świecie jakie mam ochotę widzieć.

- Mały Forrest jest już gotowy - ona na to. - Nie był tam odkąd... No, w każdym razie pomyślałam sobie, że powinien wybrać się z nami. Niech się powoli przyzwyczajają.

Odwracam się i widzę że dzieciak stoi w drzwiach oddzielony od nas siatką na muchy. Minę ma smutną i trochę jakby skonserwowaną.

- Kto ty jesteś? - pyta się mnie.

- Ja? Forrest Gump - mówię. - Nie pamiętasz? Spotkaliśmy się kiedyś w Savannah.

- To ty miałeś tę śmieszna małpę?

- Tak. Zuzię. To był rasowy orangut.

- Jest tu z tobą?

- Nie. Rozstaliśmy się.

- Wiesz, jedziemy odwiedzić moją mamusię - powiada malec, a mnie łyzy ściskają w gardle.

- Tak, wiem - mówię.

Wsiadliśmy do samochodu pani Curran i ruszyliśmy w drogę. Przez cały czas wszystko we mnie dygotało. Patrzyłem na małego Forresta, który swoimi smutnymi oczkami gapił się przez okno na mijane widoki i zastanawiałem się co u licha z nami będzie.

Jeśli chodzi o urodę cmentarzy, ten na którym leżała Jenny był całkiem w porządku, głównie dlatego że rosło na nim pełno wielkich magnolii i dębów. Przez chwilę krążyliśmy wkoło po różnych alejkach, wreszcie przy jednym z największych drzew pani Curran zatrzymała samochód. Była niedziela, niedaleko w jakimś kościele dzwoniły dzwony. Wsiadliśmy z wozu. Mały Forrest stanął przy mnie i zadął główkę, więc wzięłem go za rękę i razem ruszyliśmy do

grobu Jenny. Ziemia wciąż była mokra od deszczu i zakryta liśćmi co je wiatr pozrywał. Ładne były te liście, czerwone i złote, w kształcie gwiazd.

- To tu leży mamusia? - pyta mały.

- Tak, kiciu - odpowiada mu babcia.

A wtedy on pyta:

- Mogę się z nią zobaczyć?

- Nie, to niemożliwe - mówi babcia. - Ale ona tu jest.

Dzielny był z niego chłopczyk, naprawdę, nie płakał ani nic, ja na jego miejscu na pewno bym się pobezał. Przez chwilę stał z nami pod drzewem, a potem znalazł sobie jakiegoś patyka i odszedł na bok żeby się pobawić.

- Wciąż nie mogę w to uwierzyć - powiada mama Jenny.

- Ja też nie - mówię. - To takie niesprawiedliwe.

- Wrócę do samochodu. Pewnie chcesz z nią chwilę pobyć sam.

No i pobyłem. Stałem nad grobem Jenny, wykręcałem sobie paluchy i czułem w środku pustkę. Umarli wszyscy co ich kiedykolwiek kochałem. Najpierw Bubba, potem mama, a teraz biedna Jenny. Deszcz znów zaczął drobić. Pani Curran zawołała małego Forresta do samochodu. Odwróciłem się od grobu i ruszyłem w ich stronę, kiedy nagle usłyszałem głos:

- Nie smuć się, Forrest.

Oglądałem się do tyłu, ale tam nikogo nie ma - same groby.

- Naprawdę, nie smuć się - powtarza głos.

Myślę sobie: przecież to niemożliwe... a jednak... a jednak to na pewno głos Jenny! Tyle że samej Jenny nigdzie nie widzę.

- Jenny! - wołam.

- Tak, Forrest, to ja - odpowiada. - Nie bój się, wszystko będzie dobrze.

Myślę sobie: chyba masz fisia, stary! A potem nagle Jenny mi się ukazuje, to znaczy nie powstaje z grobu ani nic, po prostu widzę ją w wyobraźni, ale tak wyraźnie jakby była żywa. Wciąż jest tak samo piękna jak dawniej.

- Musisz się teraz zająć małym Forrestem - mówi do mnie. - Wychować go na dobrego i mądrego człowieka. Wiem, że sobie poradzisz, kochany. Bo masz gołębie serce.

- Ale Jenny! - wołam. - Przecież ja jestem idiota!

- To nieprawda, Forrest! - ona na to. - Może nie jesteś najbystrzejszym facetem, ale masz więcej rozumu niż większość znanych mi ludzi. A teraz słuchaj: czeka cię wiele lat życia; nie zmarnuj ich, dobrze?

- Dobrze, ale...

- Ilekroć znajdziesz się w tarapatach, zawsze będę przy tobie. Rozumiesz?

- Nie bardzo.

- Po prostu o tym pamiętaj. A teraz głowa do góry. Wracaj do siebie i spróbuj się zastanowić, co masz dalej robić.

- Jenny - mówię - nie mogę uwierzyć że to naprawdę ty.

- To ja, Forrest, to ja. No, zmykaj stąd, przecież pada. Tylko głupi by tak stał i moknął na deszczu.

Wróciłem do samochodu bez jednej suchej nitki.

- Rozmawiałeś tam z kimś? - pyta się mnie pani Curran.

- Chyba tak - mówię jej. - Sam z sobą.

Tego popołudnia siedzieliśmy z małym Forrestem przed telepudłem i oglądaliśmy mecz: New Orleans Saints grali z Dallas Cowboys, a właściwie nie grali tylko dostawali baty. Już w pierwszej kwarcie przeciwnicy zdobyli cztery przyłożenia, a my nic, zero. Próbowałem się dodzwonić na stadion i wyjaśnić chłopakom gdzie jestem, ale nikt w szatni nie odbierał telefonu. Pewnie jak mi pomysł dzwonięcia zaświtał w głowie, wszyscy już byli na boisku.

Druga kwarta była jeszcze gorsza od pierwszej. W przerwie wynik wynosił czterdzieści dwa do zera, a komentary sportowe nic tylko gadają o tym że Forrest Gump nie gra, że nikt nie wie gdzie się Forrest Gump podziewa i inne takie bzdety. Wreszcie udało mi się połączyć z szatnią w Dallas. Zanim się zorientowałem co i jak, trener Hurley chwycił słuchawkę i kurde, ale się na mnie rozedrze!

- Gump, ty bęcwale! Gdzie się, u kurwy nędzy, podziewasz?!

Powiedziałem mu że Jenny nie żyje, ale on jakby nic nie kapował.

- Co ty pierdolisz? Jaka Jenny? - krzyczy.

Co miałem robić? Tłumaczyć jaka Jenny? Za długo by to trwało, więc mówię jedynie że to moja bliska znajoma. Nagle słyszę w słuchawce głos właściciela Saintsów.

- Gump! - właściciel Saintsów ryczy mi do ucha. - Uprzedzałem cię, że jak opuścisz choć jeden mecz, wywalę cię na zbity pysk. I właśnie to robię! Wywalam cię. Masz mi się więcej nie pokazywać na oczy!

- Ale proszę pana... Jenny... Wczoraj dowiedziałem się że ona...

- Gump, nie wciskaj mi tu kitu! Dobrze wiem, coście sobie razem obmyślili, ty i ten twój zasrany agent! Chcecie więcej szmalu! Ale nic z tego, nie ze mną te numery! Więc trzymaj się stąd z daleka! Słyszysz?! Bo inaczej gorzko pożałujesz!

- I co? - pyta mnie mama Jenny. - Wszystko im wyjaśniłeś?

- Tak jakby.

Na tym skończyła się moja kariera zawodowego futbolisty.

Należało teraz znaleźć jakąś pracę żeby utrzymać siebie i małego Forresta. Większość pieniędzy co jej wysyłałem dla dzieciaka Jenny wpłacała do banku. Razem z czekiem na trzydzieści tysięcy odesłanym mi przez panią Curran była to całkiem pokaźna suma. Tyle że nie zamierzałem jej ruszać, a z samych procentów nie dałbym rady wyżyć, więc musiałem się rozejrzeć za robotą.

Następnego dnia rano zaczęłem studiować ogłoszenia w prasie. Nieciekawie to wyglądało. Najczęściej ludzie potrzebowali sekretarek, sprzedawców od używanych samochodów i innych takich. A mnie zależało na czymś, hm, bardziej dystygowanym.

Nagle coś mi wpadło do oka.

“Szukamy chętnych do wielkiej kampanii promocyjnej! - przeczytałem. - Doświadczenie nie wymagane! Pracowitość gwarancją ogromnych zysków!” Niżej podany był adres miejscowego motelu i wiadomość że zebranie informacyjne odbędzie się punkt dziesiąta rano. Ostatnie zdanie brzmiało: “Niezbędna łatwość w nawiązywaniu kontaktów”.

- Pani Curran, co to takiego kampania promocyjna? - pytam mamę Jenny.

- Nie jestem pewna, Forrest - ona na to. - Ale... Kojarzysz, w centrum jest taki sklep z fistaszkami? Czasem stoi przed nim facet przebrany za wielkiego fistaszka i rozdaje przechodniom maleńkie torebki orzeszków. To właśnie coś takiego.

- Aha.

Przyznam wam się że liczyłem na coś bardziej ambitnego, ale kusiły mnie te “ogromne zyski”. Myślę sobie: ogromne zyski piechotą nie chodzą. Poza tym jak by mnie wsadzili w

kostium i kazali udawać orzecha, to przecież nikt by się nie skapował że tam w środku siedzę akurat ja.

Okazało się że wcale nikt nie chce robić ze mnie fistaszka. Szło o coś zupełnie, ale to zupełnie innego.

- Wiedza! - woła facet w motelu. - Wiedza to klucz do wszystkiego!

Było nas ośmiu czy dziesięciu chętnych. Kiedy zjawiliśmy się w niewielkim motelu, kobieta w recepcji skierowała nas do salki, w której stała kupa składaków, znaczy się składanych krzeseł, a na podłodze telefon. Siedzimy, czekamy. Gdzieś tak po dwudziestu minutach drzwi się otwierają, wchodzi wysoki chudy gość, ładnie opalony, strojny w biały garnitur i białe skórzane buty. Włosy ma natłuszczone i zaczesane do tyłu, wąsiki cienkie jak makaron nitka. Nie przedstawia się ani nic, tylko staje na środku i zaczyna gadać.

- Wiedza! - wykrzykuje ponownie. - A oto i ona! Wyciąga z torby wielką płachtę papieru i pokazuje nam różne rodzaje wiedzy co są na niej przedstawione. A są tam barwne rysunki dinozaurów i statków i roślin uprawnych i dużych miast. Są rysunki kosmosów i rakiet, telepudeł i radiów i samochodów... Po prostu, kurde, wszystkiego.

- Pomyślcie tylko! Możecie tę wiedzę dostarczać ludziom do domu! To wasza życiowa szansa!

- Zaraz, chwileczkę - odzywa się nagle ktoś z sali. - Czy tu przypadkiem nie chodzi o sprzedaż encyklopedii?

- Skądże znowu! - oburza się mówca.

- Bo tak mi to wygląda - upiera się tamten. - Ale jeśli nie chodzi o sprzedaż encyklopedii, może nam pan powie, o co chodzi?

- My nie sprzedajemy encyklopedii! - krzyczy mówca. - My dostarczamy ludziom wiedzę!

- A więc miałem rację!

- Skoro ma pan takie podejście, nie jest pan mile widziany w naszym gronie! - ryczy facet w białym garniturze. - Proszę wyjść i nie przeszkadzać!

- Pewnie że wyjdę! - mówi tamten i rusza w stronę drzwi. - Już raz mnie wrobiono w encyklopedie. To jeden wielki szajs.

- Jeszcze pan pożałuje! - woła gość w garniturze. - Będzie pan zazdrościł innym sławy i pieniędzy!

I trzasł za nim drzwiami tak mocno że gdyby tamten nie wyskoczył za próg, to gałka wbiłaby mu się w dupsko.

Szkolenie trwało mniej więcej tydzień. A polegało na tym że musieliśmy wykuć na blachę, słowo po słowie, całą długą gadkę żeby dobrze zachwalać naszą encyklopedię. Tyle że nasza encyklopedia nie nazywała się encyklopedia. Nasza encyklopedia nazywała się *Leksykon wiedzy*. Facet w białym garniturze był instruktorem i kierownikiem okręgowym od spraw sprzedaży. Na nazwisko miał Trusswell, ale mówił żeby mówić na niego Slim.

No więc tak jak Slim powiedział, w naszej pracy nie chodzi o sprzedaż. My nie sprzedajemy encyklopedii. My dostarczamy ludziom do domu wiedzę. A wygląda to tak: każdy klient, który podpisze umowę że do końca życia będzie co roku kupować za jedyne dwieście pięćdziesiąt dolarów od sztuki nowy suplement, otrzyma za darmo *Leksykon wiedzy*. Czyli ludzie naprawdę dostaną coś za nic, a firma zarobi średnio dziesięć tysięcy na sprzedaży suplementów, których druk kosztuje około pięciu dolców. My mamy dostawać dziesięć procent od każdej zawartej umowy, a Slim pięć procent od naszych zarobków. Czy można wyobrazić sobie lepszy interes?

W poniedziałek przydzielono nam pierwsze zadanie. Wcześniej Slim kazał nam się ładnie ubrać, w krawat i w ogóle, koniecznie się ogolić i wyskrobać brud spod paznokci. I jeszcze dodał że w godzinach pracy picie alkoholu jest surowo zabronione. Przed motelem czekała ciężarówka z otwartą budą, jak do wożenia bydła. Slim zapędził nas do środka i ruszyliśmy.

- A teraz słuchajcie - powiada po drodze. - Będę was kolejno wysadzać. Szukajcie przed domami zabawek, huśtawek, piaskownic, rowerków, tego typu gówna. Nasz produkt kierujemy przede wszystkim do młodych rodziców. Młodzi mają przed sobą więcej lat życia, więc dłużej będą kupować nasze suplementy. Jeżeli przed domem nie widać ani dzieci, ani zabawek, nie traćcie czasu, tylko idźcie dalej.

No dobra, zaczęliśmy kolejno wysiadać z ciężarówki. Osiedla, które nam poprzydzielano wyglądały dość obskurnie, ale Slim mówił żebyśmy się nie dziwili, właśnie w takich miejscach najłatwiej robi się interesy. Do ładnych bogatych osiedli nie mamy się co fatygować, bo bogaci ludzie są na tyle mądrzy że nie dadzą się nabrać na ten szwindel.

W porządku, na widok huśtawki dla dzieci skręcam z chodnika i idę do drzwi. Pukam. Otwiera kobieta. Natychmiast wtykam nogę za próg, tak jak to radził Slim.

- Czy może mi pani poświęcić minutkę? - pytam grzecznie.

- A czy ja wyglądam na taką, co ma pełno wolnego czasu? - ona na to.

Ubrana jest w koszulę nocną, a włosy ma pozawijane na wałki. Z głębi mieszkania dochodzą wrzaski dzieciarni.

- Chciałbym z panią porozmawiać o przyszłości pani dzieci - klepię nauczoną formułkę.

- A co pana obchodzą moje dzieci? - pyta podejrzliwie kobieta.

- Dzieciom potrzebna jest wiedza - klepię dalej.

- Kim pan jest? Jednym z tych nawiedzonych kaznodziei?

- Nie, proszę pani. Przychodzę ofiarować pani i pani rodzinie piękny upominek - mówię. - Najlepszą na świecie encyklopedię.

- A to ci numer! - woła kobieta. - Panie, czy ja wyglądam na taką, którą stać na kupno encyklopedii?

To fakt, nie wyglądała, ale co miałem robić? Ciągnę dalej wyuczony tekst.

- Aleja wcale nie chcę sprzedać pani encyklopedii. Ja pragnę ofiarować pani wiedzę.

- Nie rozumiem - ona na to. - To znaczy, chce mi pan tę encyklopedię wypożyczyć, czy jak?

- No nie - mówię. - Gdyby mnie pani na chwilę wpuściła do środka...

Więc wpuściła, a nawet zaprowadziła do pokoju i powiedziała żebym sobie klapnął na kanapie. O kurde, teraz będzie z górki na pazurki, ucieszyłem się. Bo w czasie szkolenia Slim ciągle powtarzał że jak nas wpuszczą za drzwi to dalej jest z górki na pazurki. Więc klapłem, potem otwarłem torbę z broszurami i rozpocząłem kolejną gadkę. Tłumaczyłem kobiecie wszystko po kolei, tak jak Slim kazał. Trwało to dobre piętnaście minut, a kobieta siedziała i słuchała, nie odzywała się ani nic. Po jakimś czasie do pokoju weszła trójka maluchów, gdzieś tak w wieku mojego Forresta, i wdrapały się jej na kolana. Kiedy skończyłem gadać, kobieta w bek.

- Och, panie Gump - łka poprzez łzy. - Kupiłabym tę encyklopedię, gdybym mogła. Słowo daję. Ale nie stać mnie...

No i opowiedziała mi swoją smutną historię. Mąż rzucił ją dla młodszej. Została bez grosza przy duszy. Zaczęła pracować jako kucharka w barze szybkiej obsługi, ale ciągle chodziła

taka zmęczona że raz zasnęła i spaliła ruszt, więc ją wywalili. Niedawno zakład elektryczny wyłączył jej prąd, a zakład telefoniczny lada dzień wyłączy telefon. Poza tym powinna iść do szpitala na operację, ale nikt nie operuje za darmo. A dzieciom burczy z głodu w brzuchu. I jeszcze wieczorem gospodarz ma wpaść po czynsz, a ona nie ma tych pięćdziesięciu dolarów co mu jest winna, jak tak dalej pójdzie pewnie ją wyrzuci z dziećmi na bruk. Inne problemy też miała, ale nie będę was nimi zanudzał.

Skończyło się na tym że pożyczyłem kobiecie pięć dychów i wzięłem nogi za pas. Kurde, żal mi było babiny.

Cały dzień pukałem od drzwi do drzwi. Większość ludzi nie wpuszczała mnie do środka. Niektórzy mówili że już ich kto inny naciągnął na encyklopedię. Ci byli do mnie zdecydowanie wrogo nastawieni. W czterech czy pięciu domach zatrzaśli mi drzwi w twarz, a w jednym ktoś mnie poszczuł wielkim psem. Wieczorem kiedy na miejsce zbiórki przyjechała ciężarówka Slima, dosłownie padałem na pysk, a w dodatku czarno patrzyłem w przyszłość.

- Nie zrażajcie się, chłopaki - mówi do nas Slim. - Pierwszy dzień jest zawsze najgorszy. Pomyślcie: każda zawarta umowa równa się tysiącu dolarów. Wystarczy jedna jedyna umowa. A ręczę wam, frajerów nie brakuje. - Po czym zwraca się do mnie: - Gump - powiada. - Obserwowałem cię. Masz niesamowitą energię, a także duży urok osobisty. Potrzebny ci tylko mały trening pod okiem fachowca. Jutro rano wybierzemy się razem i nauczę cię paru sztuczek.

Wieczorem nawet nie miałem ochoty na kolację. Kurde flaki, myślę sobie, ładnie się spisałem, nie ma co! Schodziłem podeszwy i mało że grosza nie zarobiłem, to jeszcze wróciłem uboższy o pięćdziesiąt dolców i z dziurą w nogawce gdzie mnie capnął pies.

Mały Forrest bawił się na podłodze w salonie.

- Gdzie byłeś? - pyta się mnie.

- Sprzedawałem encyklopedie - mówię.

- Jakie encyklopedie?

Wyjaśniłem mu. Wszystko według instrukcji. Wygłosiłem wykutą na blachę gadkę, wyciągiem broszury z lustracjami, pokazałem egzemplarz encyklopedii, najnowszy suplement... Po skończonej demonstracji dzieciak spogląda na książki i powiada:

- Ale gówno!

- Kto cię nauczył takich brzydkich słów? - pytam go.

- Czasem mamusia ich używała.

- Tak? No może, ale siedmioletni chłopiec nie powinien - tłumaczę synkowi. - A swoją drogą dlaczego tak mówisz?

- Bo to prawda. Pełno tu bzdur. Spójrz. - Wskazuje na otwartą stronę encyklopedii, na ilustrację pod którą pisze "Buick, rocznik 1956". - To wcale nie rocznik 56, tylko 55 - mówi. - Buick z 56 miał inne skrzydełka. A spójrz tu. To myśliwiec F-85, a nie F-100.

Dzieciak skacze po stronach i prawie na każdej coś znajduje. Tu jeden błąd, tam drugi.

- Każdy kretyn wie, że to lipa - mówi.

No może nie każdy, myślę sobie. Nie miałem pojęcia czy mały gada do sensu czy bez sensu, ale postanowiłem wyjaśnić sprawę ze Slimem.

Parkujemy ciężarówkę w dzielnicy domków jednorodzinnych, wysiadamy i idziemy wolno przed siebie. Slimowi ani na chwilę pysk się nie zamyka, tyle ma dla mnie cennych wskazówek.

- Pamiętaj, Forrest, trzeba dopaść kobitę w odpowiednim momencie - powiada. - Najlepiej z samego rana, kiedy wyprawi starego do pracy, a jeszcze nie zdąży odwieźć bachorów do szkoły. Jeżeli zobaczysz w ogródku zabawki dla dzieci w wieku przedszkolnym, radzę ci wrócić później, w środku dnia. Druga najlepsza pora to wczesne popołudnie, kiedy w telewizji przestają nadawać opery mydlane, a zanim kobita jedzie odebrać tałatajstwo ze szkoły. No i oczywiście zanim mężuś pojawia się w domu...

- Słuchaj Slim - przerywam mu. - Mam pytanie. Ktoś mi mówił że w tej encyklopedii jest pełno bzdur...

- Tak? A kto?

- Wolałbym nie zdradzać - ja na to. - Ale czy to prawda?

- Skąd, u diabła, mam wiedzieć? - dziwi się Slim. - Nie jestem, kurwa, od czytania. Jestem od sprzedawania.

- No a ci co kupują? - pytam go. - Myślisz że to sprawiedliwe, że bulą tyle forsy za kłamstwa?

- Nie masz większych zmartwień? - on na to. - Frajerzy i tak nie wiedzą, co jest prawdą a co nie. Zresztą chyba nie sądzisz, że oni z tych encyklopedii korzystają? Ręczę ci, że nie. Kupują je, stawiają na półce i więcej do nich nie zagląдают.

No dobra. Idziemy dalej. Slim puszcza żurawia na prawo i lewo i wreszcie upatruje sobie cel. Patrzą - stoi obdrapany dom, farba z niego złazi, ale na werandzie leżą dziecięce rowerki, a z gałęzi drzewa wisi na sznurze stara opona, taka niby huśtawka,

- Idealne miejsce - powiada Slim. - Mam do tego nosa. Dwoje bachorów, mniej więcej w wieku szkolnym. Założę się, że mamuśkę aż ręka świerzbi, żeby wypisać mi czek.

Puka do drzwi. Otwiera młoda kobieta o jakiejś takiej zmęczonej twarzy i smutnych oczach. Slim migiem przystępuje do natarcia. Terkocze jak nakręcony, gładko, lokwentnie, i powoli, kroczonek po kroczoneku, wypycha się do środka. Zanim kobieta łapie się co jest grane, siedzimy na kanapie w salonie.

- Nie potrzebuję więcej encyklopedii - mówi nasza gospodyni. - Niedawno nabyliśmy z mężem *Britannicę* i *Americanę*, będziemy je spłacać przez następnych dziesięć lat.

- No właśnie! - woła Slim. - I przez tyle też lat nie będą ich państwo używać! Bo *Britannica* i *Americana* przeznaczone są dla starszych dzieci: licealistów, studentów. A państwu potrzebne jest coś dla maluchów, coś napisane prostym, zrozumiałym językiem! I ja właśnie coś takiego oferuję!

Zaczął wciskać kobiecie foldery, pokazywać przewagi naszej encyklopedii nad tamtymi co je kobieta już miała: w naszej, o proszę, ile jest rysunków i ilustracji, no a tekst, wystarczy spojrzeć, jaki prościutki i klarowny! Nie to co w *Britannicę* i *Americanie*! Paplał tak i paplał, naciągnął jeszcze kobietę na poczęstunek w postaci limoniady, a zanim się pożegnaliśmy i wyszli za drzwi trzymał w garści podpisaną umowę.

- Widzisz, Gump, jakie to łatwe? - pyta się mnie na ulicy. - Dwadzieścia minut pracy i jestem tysiąc dolców do przodu. Chyba trudniej byłoby ukraść niemowlakowi grzechotkę!

Pewnie miał rację. Tyle że nie chciałem nikomu kraść grzechotków. To znaczy, coś mi się w tym nie za bardzo podobało. No bo na co tej biednej kobiecie tyle różnych encyklopedii? Ale właśnie takie klientki Slim lubił najbardziej.

- Wciskasz im kit, a one we wszystko wierzą. I jeszcze są wdzięczne, że mają do kogo otworzyć gębę.

No dobra, lekcja lekcją, a teraz mam się sam brać do roboty. I do wieczora dokonać jednej, a nawet dwóch transakcji.

W porządku, skoro kazał się brać to się wziętem, tyle że wcale mi nie szło tak gładko jak jemu. Chodziłem od domu do domu, pukałem i stukałem, w sumie będzie do dwudziestu albo

trzydziestu drzwi, ale kurde flaki! - ani razu nie wpuszczono mnie do środka. Z cztery czy pięć razy nawet nie otwarto mi drzwi, tylko przez szparę na listy czyjś głos ryknął żebym się wynosił w cholerę. Jedna pani akurat polewała szlauchem podjazd przed domem i mnie też polała w złości, kiedy zaczęłam ją namawiać na kupno encyklopedii.

Szłam z powrotem na miejsce zbiórki, kiedy nagle zobaczyłam ulicę, która się diametrowo różniła od poprzednich. Ładna, czysta, z ładnymi czystymi domami, przed domami ogródki, na podjazdach drogie eleganckie samochody i w ogóle. Na końcu ulicy, na takiej niedużej górze, stała ogromna willa, największa ze wszystkich w okolicy, taki prawie pałac. Pomyślałam sobie: a co mi tam! Raz krowie śmierć! Niby Slim nam mówił że bogacze nie kupują encyklopedii, bo są mądrzy i nie dają się wycyckać, ale co miałem do stracenia? Więc wzięłam i nacisnęłam dzwonek. Czekam, a tu nic, cisza jak w cmentarnym grobie, więc myślę sobie: pewnie wyszli, ale na wszelki wypadek dzwonię drugi raz i trzeci. Wreszcie mi się nudzi. Szykuję się do odejścia kiedy nagle drzwi się otwierają. Patrę, a tam stoi kobieta w czerwonym szlafrocisku z jedwabia, w rękę trzyma cygarniczkę. Jest dużo starsza ode mnie, ale wciąż niczego sobie, włosy ma długie, z falami czy czymś, twarz mocno pomalowaną.

Obejrzała mnie dokładnie, od czubka nogi do czubka głowy, po czym wyszczerzyła się w wielkim uśmiechu. Zanim zdążyłam coś z siebie wydukać, pchnęła szeroko drzwi i zaprosiła mnie do środka. Powiedziała że nazywa się Alice Hopewell, ale żebym mówił do niej po imieniu czyli Alice.

Pani Hopewell czyli Alice zaprowadziła mnie do dużego pokoju co miał sufit wysoko w górze i od groma ładnych mebli.

- Napijesz się czegoś? - zapytała, a kiedy potrząsnęłam głową że tak, spytała się na co bym miał ochotę: burbona, dżin czy może szkocką.

Ale Slim zakazał nam pić alkohol w godzinach pracy, więc poprosiłam o colę. Ledwo pani Hopewell czyli Alice wróciła z powrotem do pokoju, natychmiast rozpoczęłam wyuczoną na mur-beton gadkę. Wywijam ozorem jak najęty, ale gdzieś tak w połowie pani Hopewell przerywa mi i mówi:

- W porządku, Forrest, wystarczy. Chętnie kupię.
- Co? - pytam się jak idiota, bo nie wierzę we własne szczęście.
- Jak to co? Encyklopedię - ona na to.

I pyta się na jaką sumę wystawić mi czek. Więc jej tłumaczę że nie ma kupować encyklopedii, ma jedynie podpisać umowę że co roku do końca życia będzie nabywać nowy suplement... ale pani Hopewell nie chce tego słuchać, tylko pyta gdzie ma się podpisać, no to jej wskazuję i już.

W trakcie pociąganiem łyka coli. Fúj! Co za paskuctwo! W pierwszym odruchu pomyślałem sobie że pewnie pani Hopewell coś się pokićkało, ale okazało się że nie, nic się nie pokićkało, bo na stoliku faktycznie postawiła puszkę coli.

- A teraz, Forrest - mówi do mnie pani Hopewell - zostawię cię tu i pójdę się przebrać w coś wygodniejszego.

Na moje oko ten jedwabny szlafroczek co go ma na sobie jest całkiem wygodny, ale trzymam język na kłódkę, no bo w końcu co mnie to obchodzi.

- Dobrze, proszę pani.

- Alice - poprawia mnie i znika za drzwiami.

Siedziałem na kanapie, gapiłem się na puszkę z colą i dyszałem jak dzownica po biegu. Kurde, dlaczego nie poprosiłem o limoniadę albo co? Czułem że wykorkuję z pragnienia zanim się pani Hopewell pojawi, więc podniosłem dupsko i ruszyłem na poszukiwanie kuchni. Kiedy ją znalazłem oczy stanęły mi słupa! Jezu, takiej kuchni to ja w życiu nie widziałem! Była większa niż chata w której wyrastała Jenny, cała wypchana lśniąca glazrurą, terkota i nierdzewną stalą, a światło biło prosto z sufitu!

Myślę sobie: no dobra, pewnie ta cola co ją piłem w salonie była zepsuta albo co, więc poszukam nowej. Zaglądam do lodówki, a tam stoi z pięćdziesiąt puszek. Trochę mnie dziwi ta colowa obfitość, ale nic. Wyjmuję jedną, pociągam zatyczkę i przysysam się jak niemowlak do smoka bo tak strasznie mnie gardło suszy. I nagle - o Jezu! Co za ohyda! Wypluwam wszystko na podłogę. Smakowało jak siki!

No może niezupełnie jak siki, bo prawdę mówiąc nie wiem jak siki smakuja. Zawartość puszek miała smak terpentyny zmieszanej ze stopionym boczkiem, ciutką cukru i wodą z bąbelkami. Przyszło mi do łepetyny, że jakiś dowcipniś zrobił pani Hopewell bardzo głupi kawał.

Właśnie w tym momencie pani Hopewell zjawiała się w kuchni.

- Widzę, Forrest, że znalazłeś colę - mówi do mnie. - Biedaku, nie sądziłam, że jesteś aż tak spragniony. Zaraz ci dam szklanę.

Ponieważ miała na sobie różowe paputki ozdobione futerkiem i krótką różową koszulkę nocną, przez którą widać wszystko co jest do zobaczenia - a było całkiem dużo - uznałem że pewnie wybiera się spać.

Dobra, spanie spaniem, ale na razie musiałem szybko coś wykombinować, bo pani Hopewell podała mi czystą szklankę która lśniła jak tęcza po deszczu, wrzuciła do niej kilka kostków lodu i napełniła colą. Napój syczał i buzgotał, ja się nerwowo zastanawiałem co z nim zrobić, ale na szczęście pani Hopewell powiedziała że jeszcze musi iść się odświeżyć.

Już chciałem chlusnąć świństwo do zlewaka, kiedy nagle zakołatał mi się w głowie pewien pomysł. A może da się to ulepszyć? Przypomniało mi się jak kiedyś po treningu u trenera Bryanta wstąpiłem do takiego małego sklepiku żeby kupić limony i przyrządzić sobie limoniadę. Limon nie było, cytryn ani pomarańczy też nie, nic nie było, więc w końcu kupiłem puszkę brzoskwiń. Potem w akademiku otworzyłem ją nożem, wrzuciłem zawartość do skarpety i wycisłem sok. Skoro miałem wprawę w robieniu napojów, pomyślałem że może z tej coli też uda mi się coś zrobić. Bałem się że zaraz wykituję z pragnienia, a chciałem sobie jeszcze trochę pożyć. Niby mogłem się napić wody z kranu, ale akurat miałem ochotę na colę.

No dobra, rozejrzałem się dokoła, znalazłem olbrzymią spizarnię, a w tej spizarni setki słoików i butelek we wszystkich możliwych kształtach i rozmiarach. Na tej pisało kminek, na tamtej tabasco, na jeszcze innej oset estragonowy. Przeróżnych słoiczków, butelek i pudełeczek było od groma i ciut-ciut. Pomyślałem sobie że oliwa z oliwek może zabić smak stopionego boczku, a płynna czekolada osłabić smak terpentyny. Do stojącej na ladzie miski wrzucałem to to, to tamto, w sumie wpakowałem do niej ze dwadzieścia czy trzydzieści składników, porządnie wybełtałem wszystko paluchami, a potem przelałem cztery łyżki tej paciajki do szklanki z colą. Przez chwilę napój buzgotał gniewnie i syczał jak wąż kiedy mu się przydepnie ogon, ale nic sobie z tego nie robiłem, tylko bełtałem dalej. Powoli miksatura się uspakajała i wreszcie znów zaczęła przypominać colę.

Miałem tak sucho w gardle jakbym ze trzy razy przeczołgał się przez pustynię, więc czym prędzej wydudliłem całą porcję. Nawet nie było to złe. Może nie całkiem miało smak coli, ale dawało się pić. Zupełnie smaczne, pomyślałem, i nalałem sobie drugą szklankę.

Zanim podniosłem ją do ust, w kuchni znów pojawiła się pani Hopewell.

- No i jak, Forrest, smakuje ci ta cola? - pyta się mnie.

- Tak, jest całkiem niezła - mówię. - Właśnie piję kolejną szklankę. A pani nalać?

- O nie! Co to, to nie! Dziękuję bardzo.

- Nie chce się pani pić? - pytam ją.

- Owszem, chce - ona na to - ale wolę czym innym zaspokoić pragnienie.

Nalała sobie pół szklanki dzina i dodała parę kroplów soku pomarańczowego.

- Dziwię się, że możesz pić to świństwo - powiada. - Mój mąż je wynalazł. Chcą je nazwać "Nowa Cola".

- Słusznie, bo starej zupełnie nie przypomina.

- Komu ty to mówisz, Forrest? Mnie? Boże, nigdy w życiu nie piłam czegoś tak obrzydliwego. Smakuje jak... bo ja wiem? Jak terpentyna czy coś.

- Zgadza, się.

- Szefowie męża, ci kretyni w Atlancie, zawsze muszą mieć jakieś genialne pomysły. Nowa cola?! Do dupy z taką, colą! Co im się w starej nie podobało? Cholera, nie tak się zwiększa sprzedaż. Zobaczysz, jeszcze się na tym przejadą.

- Tak pani myśli?

- Nie myślę. Wiem. Coś ci zdradzę, Forrest. Jeszcze się nie zdarzyło, aby ktoś wypił szklankę tego świństwa i się nie porzygał. Mój mąż jest jednym z wiceprezesów koncernu produkującego colę, kieruje działem rozwojowo-badawczym. Za wynalezienie tego nowego napoju wylałabym go na zbity pysk!

- Ale ta cola nie jest taka zła - mówię jej. - Trzeba ją tylko trochę ulepszyć, dodać to i tamto...

- Tak? Zresztą co mnie to obchodzi! Słuchaj, kotku, nie po to cię tu zaprosiłam, żeby omawiać poronione pomysły mojego męża, Kupiłam tę twoją encyklopedię, czy nie? Więc teraz chcę, żebyś mi się odwdzieczył. Byłam umówiona z masażystą, ale się nie zjawił. Gdybyś był tak miły i zrobił mi masaż...

- Masaż? Jaki masaż?

- Normalny - ona na to. - Co się tak dziwisz? Taki z ciebie mądrala, sprzedajesz encyklopedie, a nie wiesz, jak się robi masaż? To proste: jedna osoba się kładzie, a druga głaszcze ją po plecach. Każdy kretyn to potrafi.

- No tak, ale...

- Żadne ale - przerwała mi. - Zabieraj, bratku, szklankę i idziemy.

Zaprowadziła mnie do pokoju, w którym zamiast ścian były lustra a na środku stało na podwyższeniu ogromne łóżko. Obok łóżka stał wielki chiński gong. Z głośników na suficie leciała muzyka.

Pani Hopewell przysiadła na łóżku, zrzuciła różowe paputki, zrzuciła różową koszulkę, po czym wyciągnęła się na brzuchu i przykryła ręcznikiem pupę. Starłem się nie wlepić w nią gałów kiedy się rozbierała, ale było to trudne bo gdzie nie spojrziałem wszędzie było jej po kilka.

- W porządku - mówi do mnie po chwili. - Masuj.

Co miałem robić? Przysiadłem obok i zaczęłem masować jej ramiona, a pani Hopewell zaczęła cichutko ochać. Im dłużej masowałem tym te jej ochy stawały się głośniejsze.

- Niżej! Masuj niżej! - woła.

Więc przesuвам łapy niżej i niżej aż do samego skrajy ręcznika. Psiakość, nie wiem jak się dalej zachować! A pani Hopewell nic tylko sapie i ocha. Nagle nie przerywając dyszenia wyciąga rękę, chwyta drąga i jak nie grzmotnie nim w chiński gong! Kurde, cały pokój aż się zatrzęsł w posadzie, a lustra o mało nie poodpadały od ścian.

- Bierz mnie, Forrest, bierz - stęka pani Hopewell.

- Dokąd? - pytam.

- Nie gadaj, idioto, tylko bierz mnie! - ryczy ona. - Bierz!

Przypomina mi się Jenny i to co ze sobą robiliśmy... Pani Hopewell jęczy i dyszy coraz głośniejsz, skręca się po łóżku, obłapia mnie to tu to tam, cała sytuacja wysmyka mi się spod kontroli, kiedy nagle bez żadnego ostrzeżenia otwierają się drzwi i w progu staje niski facecik w marynarce, krawacie i drucianych cynglach na nosie. Wygląda trochę jak niemiecki nazista.

- Alice! - woła. - Chyba już wiem! Trzeba wzbogacić przepis o opiłki metalu, powinny zniwelować smak terpentyny!

- Jezu Chryste, Alfred! - rozdziera buzię pani Hope-well. - Co robisz w domu o tej porze?! - Podrywa się na łóżku i próbuje zasłonić ręcznikiem,

- Nasi naukowcy znaleźli rozwiązanie! - podnieca się facet.

- Czego, na miłość boską? - pyta się pani Hopewell.

- Wiedzą, jak ulepszyć smak! - Facet wchodzi do pokoju, zachowuje się tak jakbym był z powietrza. - Może wreszcie nowa cola będzie się nadawać do picia.

- Nie bądź idiotą, Alfred, kto by chciał pić to świństwo!

Pani Hopewell jest bliska łez. Stoi goła z niedużym ręcznikiem i próbuje się zasłonić, ale kiepsko jej to idzie: co sobie zasłania dół, to odsłania górę i tak dokoła wojtek. W końcu postanawia włożyć różową koszulkę, ale koszulka leży na podłodze i ilekroć się pani Hopewell po nią schyla, to ręcznik się osuwa. Staram się patrzeć w drugą stronę, nie podglądać ani nic, ale ponieważ wszędzie są lustra, i tak wszystko widzę.

Nagle Alfred, bo chyba tak się facet nazywa, dostrzega mnie i pyta:

- Pan jest masażystą?

- Tak jakby - mówię.

- To pańska cola?

- Aha.

- Pije ją pan?

- Aha.

- Serio?

No więc kiwam makową. Nie bardzo wiem co powiedzieć, skoro ta nowa cola to jego wynalazek.

- I co, nie ma... nie ma paskudnego smaku? - pyta facet i wybałusza gały.

- Miała - mówię - ale go poprawiłem.

- Poprawił pan smak coli? W jaki sposób?

- Dorzuciłem kilka składników.

- Chwileczkę - on na to.

Wziął ode mnie szklankę, podniósł do światła i wlepił w nią podejrzliwie gały. Jak w jakiego robala. Wreszcie upił łyka i nagle oczy zwięziły mu się w chińskie szparki. Spojrzał na mnie, spojrzał na panią Hopewell i tym razem pociągnął wielkiego hausta.

- Dobry Boże! - woła. - To świństwo jest całkiem niezłe.

Wydudlił wszystko do dna i rozanielił się na gębie jakby dostał lizaka.

- Smakuje zupełnie inaczej! Jak pan, u diabła, tego dokonał?

Więc mówię:

- Pogrzebałem w spizarni, potem wrzuciłem to i tamto do szklanki.

- Pan? Masażysta?

- On nie jest masażystą - powiada pani Hopewell.

- Nie? A kim? - pyta się Alfred.

- Sprzedaję encyklopedie - wyjaśniam.

- Encyklopedie? - dziwi się Alfred. - Więc co pan tu robi z moją żoną?

- To długa historia - mówię.

- Dobra, nieważne, wyjaśnimy to później. Na razie chcę wiedzieć, co pan, u licha, wrzucił do coli. Niech mi pan powie! Błagam!

- Nie wiem, różne rzeczy - mówię. - Na początku nie za bardzo mi podchodziła, więc postanowiłem ją doprawić.

- Nie za bardzo podchodziła? Kretyn z pana, czy co?! Przecież to gówno w ogóle się nie nadawało do picia! A teraz przynajmniej nie chce się po tym rzygać! Ma pan pojęcie, ile ten ulepszony napój jest wart? Miliony! Miliardy! Błagam, niech pan sobie przypomni... Swoją drogą, jak się pan nazywa?

- Gump - mówię - Forrest Gump.

- A więc, panie Gump, proszę mi zademonstrować, co pan wlał do szklanki. Wolno, krok po kroczku...

No to mu zamonstrowałem, tyle że notatków sobie wcześniej nie robiłem więc nie pamiętałem detali. W każdym razie powyciągałem ze szpiżarni różne buteleczki i słoiczki i spróbowałem powtórzyć swój sukces. Nie do końca mi wyszło. Spróbowałem po raz drugi, potem po raz trzeci, próbowałem pewnie z pięćdziesiąt razy i wciąż nic, dupa błada. Już dawno minęła północ, a my - kurde! - zasuwamy: ja mieszam i dolewam, a Alfred pije i wypluwa bo, jak mówi, daleko temu do tej pierwszej porcji. A tymczasem pani Hopewell wlewa w siebie ze dwadzieścia dzinów z sokiem pomarańczowym. W którymś momencie mówi do nas:

- Ale z was durnie. Tylko tracicie czas, to świństwo nigdy nie będzie dobre. Nie lepiej położyć się razem do łóżka i zobaczyć, co z tego wyniknie?

- Zamknij się, Alice - warczy Alfred. - Taka okazja może się więcej nie powtórzyć.

- No właśnie. Ja też tak uważam - mówi pani Hopewell.

Wraca z powrotem do lustrowego pokoju i zaczyna łomotać w gong.

Alfred opiera się o lodówkę i łapie rękami za głowę.

- Gump - powiada. - To się we łbie nie mieści! Byłem na dnie rozpacz; ty mnie z niej wyciągnąłeś, dałeś mi nadzieję, a teraz chcesz ją odebrać? Nie pozwolę. Zadzwoń na policję, każę im zaplombować kuchnię, a jutro wezwę fachową ekipę, zapakujemy do skrzyń wszystko, co mogłeś użyć, i prześlemy do Atlanty.

- Do Atlanty?

- Tak, Gump, do Atlanty. A najcenniejszą przesyłką będziesz ty sam!

- Ja? - pytam go jak kto głupi.

- No przecież nie ja - mówi Alfred. - Zabierzemy cię do naszego laboratorium w Atlancie i tam przystąpisz do pracy. Tylko pomyśl, Gump! Jutro zawojujemy Atlantę, pojutrze cały świat!

Kiedy opuszczałem dom państwa Hopewellów, pani Hopewell stała w oknie i szczyrzyła się do mnie szeroko. Chwilę pogłówkowałem nad minionym dniem i doszłem do wniosku że w tej Atlancie niechybnie wpadnę w jakieś tarapaty.

Rozdział 3

Wieczorem po powrocie od państwa Hopewellów zadzwoniłem do motelu i powiedziałem Slimowi że przepraszam, wycofuję się, nie będę dostarczał ludziom wiedzy do domu.

- Więc to tak, Gump? Tak mi się odwdzięczasz za moją dobroć? - pyta Slim. - Mogłem się spodziewać, że wbijesz mi nóż w plecy!

Wykrzykuje do telefonu różne brednie, wszystkie niemiłe dla ucha, a potem trach! - z całej siły rzuca słuchawkę. No ale przynajmniej miałem to za sobą.

Mały Forrest smacznie spał w swoim pokoju, za to pani Curran zaciekała się o co chodzi. Więc jej powiedziałem że rezygnuję ze sprzedawania encyklopedii i jadę z Alfredem do Atlanty pomóc mu w robieniu nowej coli, bo mogę na tym sporo zarobić, a forsa się przyda żeby małemu zabezpieczyć przyszłość. Pani Curran zgadza się że pomysł jest dobry, ale mówi że skoro Jenny i Donald nie żyją, to powinienem przed wyjazdem pogadać z dzieciakiem i wyjaśnić mu kim naprawdę jestem. Nie lepiej - pytam się jej - żeby to ona mu wyjaśniła? Pani Curran mówi że nie.

- Uważam, Forrest, że w życiu każdego człowieka nadchodzi dzień, kiedy trzeba przyjąć na siebie odpowiedzialność. I w twoim życiu ten dzień właśnie nadszedł. Rozmowa z synem nie będzie łatwa, ale musisz ją odbyć. Uważaj jednak, co powiesz, bo ona na całe życie zapadnie mu w pamięć.

Niby wiem że pani Curran ma rację, ale taka pogaduszka wcale mi się nie uśmiecha.

Nazajutrz wstałem o bladym świcie. Pani Curran przygotowała mi śniadanie w postaci płatków z mlekiem i pomogła zapakować się do podróży. Alfred miał przyjechać punkt dziewiąta rano, więc nie bardzo mogłem przesunąć na wieczór rozmowę z małym Forrestem. Oczekałem aż dzieciak skończy jeść, a potem zawałałem go na werandę.

- Muszę wyjechać na jakiś czas - mówię mu - i przed wyjazdem chcę ci powiedzieć kilka rzeczy.

- Tak? A jakich? - pyta się mnie chłopiec.

- Że po pierwsze nie wiem kiedy wrócę, po drugie masz być miły dla pani Curran.

- To moja babcia! Zawsze jestem dla niej miły - oburza się mały Forrest.

- Poza tym bądź grzeczny w szkole i nie wdawaj się w żadne bójki ani nic, dobrze?

Dzieciak marszczy noska i patrzy na mnie jakoś dziwnie.

- Dlaczego mi to mówisz? - pyta się. - Przecież nie jesteś moim tatą.

- Właśnie że jestem. O tym też chciałem z tobą pogadać. Jestem twoim tatą.

- Nieprawda! Nieprawda! - krzyczy mały Forrest. - Mój tatuś leży chory! W Savannah!

Jak tylko wyzdrowieje, zaraz po mnie przyjedzie.

- To następna sprawa o jakiej musimy pogadać, Forrest - mówię. - Twój tatuś nie wyzdrowieje. Przebywa teraz razem z twoją mamusią. Kapujesz?

- Nie, to kłamstwo! - woła chłopiec. - Babcia mówiła mi, że niedługo się z nim zobaczę. Już za kilka dni.

- Babcia się pomyliła - tłumaczę. - Twój tatuś zachorował. Tak jak twoja mamusia. I nie wyzdrowiał. Tak jak twoja mamusia. Więc teraz ja się tobą zaopiekuję.

- Ty?! Nie! Ja chcę swojego tatusia!

- Nie zamierzałem ci tego mówić, Forrest, ale tak się porobiło że nie mam wyjścia. Donald był twoim przybranym tatusiem, prawdziwym jestem ja. Twoja mama powiedziała mi o tym dawno temu. Byłem wtedy bezdomnym łachmytem, więc pomyślałem sobie że lepiej ci będzie z mamusią w domu Donalda niż ze mną bez skrawka dachu nad głową. Ale teraz nie ma mamusi, nie ma Donalda i do opieki nad tobą zostałem tylko ja.

- Kłamiesz! - woła mały Forrest.

Przez chwilę obkłada mnie piąstkami, a potem wybucha płaczem. Spodziewałem się tego. Pierszy raz widzę jego łzy, ale nie próbuję go pocieszyć. Zresztą myślę że ten płacz dobrze mu zrobi. Mimo to serce mi się kraje.

- Nie, kotku, on mówi prawdę - wtrąca się pani Curran, która cały czas stała w drzwiach i przysłuchiwała się rozmowie. Wychodzi na werandę, podnosi chłopca i sadza sobie na kolanie. - Nie umiałam ci tego sama powiedzieć, więc poprosiłam Forresta. Powinnam była zdobyć się na odwagę, ale jakoś nie mogłam...

- Nie! Nie wierzę! - krzyczy chłopiec. Wyrywa się, szlocha jeszcze głośniejsze. - Oboje kłamiecie! Oboje!

Pod dom podjeżdża wielka czarna limuzyna. Wysiada z niej Alfred i macha żebym się pospieszył. Przez boczną szybę szczyrzy się do mnie pani Hopewell.

Co miałem zrobić? Wziąłem spakowaną torbę i ruszyłem do samochodu. Z werandy wciąż dochodziły mnie krzyki małego Forresta.

- Kłamca! Kłamca! Kłamca!

Nawet nie wiecie jak bardzo chciałem żeby pani Curran się myliła i żeby ta rozmowa nie zapadła dziecku na zawsze w pamięć.

Przez całą drogę do Atlanty pani Hopewell to mnie głaskała po nodze, to nie po nodze, a Alfred siedział z nosem w jakiś książkach czy papierach i bez ustanka mruczał coś do siebie. W siedzibie koncernu produkującego colę czekał cały tabun ludzi. Wszyscy ściskali mi łapę i klepali mnie po plecach.

Zaprowadzili mnie długim korytarzem do drzwi, na których pisało "Laboratorium doświadczalno-badawcze", a poniżej "Ściśle tajne!" i "Wstęp surowo wzbroniony!" Kiedy wszedłem do środka myślałem że się posikam ze zdumienia, bo zobaczyłem kuchnię kropla w kroplę jak ta w domu pani Hopewell, nawet moja szklanka z resztkami coli tkwiła na kontuarze.

- Jak widzisz, Gump, wszystko jest na swoim miejscu - powiada Alfred. - A teraz chcielibyśmy cię prosić, żebyś krok po kroku wykonał to, co robiłeś wczoraj u mnie w domu, kiedy usiłowałeś poprawić smak coli. I błagam, skup się. Los koncernu spoczywa w twoich rękach.

Wydało mi się to trochę niesprawiedliwe. Pomyślałem sobie: kurde balas, za co oni mnie karają? Przecież ja nic złego nie zrobiłem, dorzuciłem tylko kilka rzeczy do tej coli, bo mnie w pysku suszyło, a inaczej nie dało się tego świństwa pić.

No dobra, przynoszą mi biały fartuch. Czuję się w nim jak ten doktor Kildare z serialu, ale nic nie mówię tylko biorę się do roboty. Najpierw wsadzam do szklanki kilka kostków lodu i zalewam je tą nową colą. Potem tak jak u pani Hopewell w kuchni wypijam łyka. Do kitu!

Więc idę do spiżarni gdzie wszystko stoi grzecznie na półkach. Z ręką na sercu, to nie do końca pamiętam z czego zrobiłem tę paciaję, która tak diametrowo polepszyła smak napoju. Ale nic. Biorę różne składniki, trochę tego, trochę tamtego i miącham. Cały czas płacze mi się pod nogami z pięciu facetów, którzy łażą za mną krok w krok i bazgrolą w notesach.

Najpierw wzięłem szczyptę tartych goździków i grudę ostrego majoneza. Potem łyżkę piwa słodowego, łyżkę marynaty do mięsa, drobinę zasyпки serowej do prażonej kukurydzy. Do tego dolałem trochę melasy i sosu z kraba. Następnie otwarłem puszkę chili con carne, ściągnęłam z góry pomarańczową warstwę tłuszczu i ją też wrzuciłem do miksatury. Na koniec wsypałem trochę sody oczyszczanej.

Wybełtałem wszystko paluchami tak jak u pani Hopewell w kuchni i gołnąłem łyka. Alfred i faceci od notatek wstrzymali oddechy, wybałuszili gały i czekają w napięciu na moją reakcję. Przez chwilę obracam tym łykiem w ustach. Ale tylko jedna reakcja jest możliwa.

- Tfu!

- O co chodzi? - pyta się jeden z notatkowiczów.

- Nie widzisz, że mu nie smakuje? - odpowiada drugi.

- Dawaj, Gump, ja spróbuję - mówi Alfred. Ostrożnie przechyla szklankę... i jak nie splunie na podłogę.

- Chryste! - woła. - Ale gówno! Jeszcze gorsze od naszego!

- Panie Hopewell - mówi pierwszy notatkowicz - pan Gump splunął do zlewu, a pan na podłogę. Zaczynamy tracić kontrolę nad eksperymentem.

- W porządku, racja - Alfred na to. Pada na kolana, wyciąga chustkę do nosa i wyciera posadzkę. - Chociaż to, gdzie pan Gump splunął, nie wydaje mi się akurat najważniejsze. Dobra, Gump, bierz się z powrotem do roboty.

No to się wzięłem. Cały dzień i prawie całą noc harowałem jak dziki. W pewnej chwili wszystko zaczęło mi się kiełbasić we łbie. Na przykład zamiast wsypać do szklanki z colą trochę soli czosnkowej - wydawało mi się że czosnek złagodzi smak terpentyny - niechcący wsypłem pół zwykłej solniczki. Mało brakowało a dostałbym bzika. Podobno tak się dzieje z rozbitkami, którzy piją morską wodę.

- Dobra, Gump, starczy na dziś - powiada wreszcie Alfred. - Jutro zaczynamy skoro świt, zgoda?

- Ta - mówię, ale po cichu myślę sobie że guzik z tego wyjdzie.

I znów cały kolejny dzień, a potem kolejne tygodnie i kolejne miesiące próbowałem ulepszyć colę, żeby się nadawała nie tylko do plucia ale również do picia. Kurde bele, i nic! Robiłem próby z pieprzem tureckim, szafranem i wycięciem z wanilii. Robiłem próby ze spyłkowanym kminkiem i różnymi barwnikami, używałem tabunów przypraw, jałowców i innych takich. Faceci co za mną dreptali zapisali pewnie z pięćset notatników. Powoli każdy każdemu igrał na nerwach. Wieczorami wracałem na noc do hotelu, w którym mieliśmy wyjęty apartament i natykałem się na panią Hopewell ubraną w negliż. Kilka razy prosiła żebym jej

pomasował plecy, więc pomasaowałem. Prosiła też żebym ją pomasaował od przodu, ale odmówiłem. Taki głupi to ja nie jestem.

Po pewnym czasie zaczęłem podejrzewać że ten cały interes to jakaś lewizna. Niby dawali mi w tej Atlancie jeść, niby opłacali mi hotel, ale forsy jako takiej nie widziałem jeszcze na oczy, a przecież musiałem zarabiać na małego Forresta. Którejś nocy leżę w łóżku, dumam co począc, rozmyślam o Jenny, o tym jak nam było ze sobą dobrze i nagle, tak jak tamtego dnia na cmentarzu, jej twarz pojawia się przede mną zupełnie jak żywa.

- No i co, matolku? - mówi do mnie. - Jeszcześ sobie nie wykombinował?

- Czego? - pytam ją. A ona na to:

- Że nie ulepszysz tego świństwa. Wtedy w Mobile to był przypadek, fuks...

- Więc co mam zrobić? - pytam.

- Rzuć tę robotę! Wyjedź stąd, znajdź normalną pracę, nie marnuj życia na rzeczy niemożliwe.

- Nie mogę wyjechać - mówię jej. - Ci ludzie na mnie liczą. Mówią że jestem ich ostatnią deską ratunkową, że tylko ja mogę uratować koncern od ruiny.

- Chrzań ich, Forrest. Przecież ty ich nic a nic nie obchodzisz. Oni cię wykorzystują. Trzymają cię tu, bo nie chcą stracić swoich ciepłych posadek.

- No tak, dzięki za radę - mówię. - Pewnie masz rację. Zawsze miałaś.

Po chwili Jenny znika i znów jestem sam jak palec.

Ledwo się obudziłem o świcie, a już wparował Alfred i porwał mnie ze sobą. Znów miachałem składniki w kuchni doświadczalnej, ale jakoś bez większego przekonania. Gdzieś tak koło południa przyrządziłem kolejną porcję. Tym razem zamiast wykrzywić pysk, krzyknąć „Tfu!” i wszystko wypluć, specjalnie wyszczerzyłem zębiska, westchłem błogo „Aaaa!” i wzięłem następnego łyka.

- Rany! - woła jeden z notatkowiczów. - Co się dzieje? Czyżby...

- Tak - mówię. - Chyba się wreszcie udało.

- Dzięki ci, Boże! Dzięki! - drze się Alfred i z radości obkłada się piachami po głowie.

- Daj pan spróbować. - Drugi z notatkowiczów wyciąga rękę po szklanę, bierze łyka, po czym obraca cokolwiek w ustach tak jak ci faceci od próbowania wina. - Hm - mówi. - Wcale niezłe.

- Dajcie i mnie - prosi Alfred.

On również bierze łyka. Patrzę z niepokojem co będzie. Ale jego twarz też przybiera błogi wyraz.

- Ach! - wzdycha. - Sama rozkosz!

- Ja też chcę! - woła trzeci notatkowicz.

A Alfred na to:

- Nie, psiakość! Coś musi zostać do analizy chemicznej. Zawartość tej szklanki jest warta miliardy dolarów! Słyszycie? Miliardy dolarów!

Wybiega na korytarz, wrzeszczy na dwóch uzbrojonych strażników że mają zanieść szklankę do sejfu, a sejfu strzec jak oka w głowie, potem wbiega z powrotem do kuchni doświadczalnej, ryczy: "Udało się, Gump! Udało się!" i z radości wali się pięścią po kolanie. Gębę ma tak czerwoną że mógłby iść w konkury z burakiem. Faceci od notatków trzymają się za ręce, skaczą do góry i w dół i drą się jak banda kamibali. Wtem drzwi do kuchni się otwierają i w progu staje wysoki szpakowy mężczyzna w ciemnym garniturze. Wygląda bardzo dostojnie.

- Co się dzieje? - pyta.

- Cud! - woła Alfred, a potem mówi do mnie: - Gump, przedstawiam ci przewodniczącego rady nadzorczej, a zarazem prezesa naszego koncernu. Przywitaj się grzecznie.

- Jaki cud? - dopytuje się gość w garniturze.

- Obecny tu Forrest Gump sprawił, że nowa cola nadaje się do picia! - wyjaśnia Alfred.

- Tak? - dziwi się prezes. - Panie Gump, a jak pan tego dokonał?

- Nie mam zielonego - powiadam. - Ot, zwykły fuks.

Parę dni później koncern od coli urządził w swojej siedzibie w Atlancie huczne przyjęcie, na którym planowano zamonstrować nowy napój. Gości zaproszono pięć tysięcy czy koło tego. Są gryzpiórki z gazet, politycy, różne dostojniki, aksjonariusze czy jak im tam, śmietana towarzyska i z pięćset dzieciaków ze szkół podstawowych. Na zewnątrz snopy reflektorów śmigają po niebie, a na ulicy tłumy bez zaproszeń machają do szczęśliwców, którzy je dostali. Goście odpicowani w smokingi i długie kiecki kręcą się po sali, wymieniają się na ukłony i komplementy. Nagle kurtyna się odsuwa ukazując scenę, a na scenie nas - czyli mnie, Alfreda, panią Hopewell i prezesa.

- Szanowni państwo - mówi prezes. - Mam niezwykle doniosłą wiadomość, którą chciałbym się z państwem podzielić.

W sali zapada cisza. Wszyscy się na nas gapią.

- Z prawdziwą dumą ogłaszam, że concern zamierza wprowadzić na rynek nowy produkt, który powinien spotęgować nasze zyski. Jak państwo wiedzą, cola istnieje na rynku od ponad siedemdziesięciu lat. Cieszy się tak dużym powodzeniem, że dotychczas nie widzieliśmy potrzeby ingerowania w jej oryginalny skład. Teraz jednak mamy lata osiemdziesiąte, lata wielkich przemian. I cóż, zmiany są nieuniknione. General Motors wprowadza je co trzy, cztery lata. Co kilka lat zmieniają się politycy. Nawet zwykli ludzie raz czy dwa razy do roku zmieniają ubrania...

Po sali przeszedł cichy pomruk.

- Chodzi mi o to - ciągnie dalej prezes - że projektanci mody systematycznie unowocześniają swoje kolekcje... i oczywiście zarabiają na tym krocie!

Przez chwilę prezes milczy żeby to co powiedział dotarło do publiki, potem bierze duży oddech i mówi:

- Tak więc my również postanowiliśmy odstąpić od naszego starego, wypróbowanego przepisu i zaproponować państwu coś nowego. Produkt, który ochrzciliśmy "Nowa Cola"! Twórcą tego niezwykłego napoju jest genialny młody naukowiec, pan Forrest Gump. W tej chwili nasz personel roznosi wśród państwa butelki i puszki nowej coli, zanim jednak jej państwo skosztują, proponuję, żebyśmy na moment dopuścili do głosu jej twórcę i wynalazcę. Panie i panowie: pan Forrest Gump!

Facet podchodzi do mnie, bierze mnie za łokieć i prowadzi do mikrofona. Gacie mi się trzęsą ze strachu i chce mi się siku, ale nie mówię tego. Jedyne co mówię to:

- Mam nadzieję, że będzie wam smakować.

A potem szybko cofam się.

- Doskonale! - woła prezes jak się oklaski kończą. - A teraz zapraszam do kosztowania!

Patrzę w dół na salę: jedni otwierają puszki, inni odkasplowują butelki, potem wszyscy zaczynają dudlić. Z początku rozlegają się ochy i achy, ten mruży ze smakiem oczy, tamten kiwa makową. Nagle któryś z zaproszonych bachorów jak nie wrześnie: "Fuj! Co za gówno!" i jak nie splunie na podłogę! Inne smarkacze migiem wzięły z niego przykład. Po chwili całe autotorium pluło, krztusiło się i rzucało przekleństwa. Jedni niechący opluwali drugich, ci drudzy zrywali

się niezadowoleni i wkrótce rozpętała się bijatyka. Goście ciskali nową colą to w nas, to w siebie, tu się toczyła bójka na pięści, tam się kopali, tarmosili, gdzie indziej przewracali stoły, słowem - istna pandemonia! Kilka kobiet wybiegło na zewnątrz, bo im w tym chaosie pozrywano kiecki. Bez ustanka migotały flesze, a kamery telewizyjne wszystko kręciły. Ja z panem prezesem, Alfredem i panią Hopewell stoimy jak te głupki na środku sceny. W pierwszej chwili staliśmy nieruchomo, ale potem zaczęliśmy się ruszać - w prawo, w lewo, byleby tylko nie oberwać puszką czy butelką. W którymś momencie pan prezes krzyczy:

- Wezwać policję!

Ale patrzę na tabuny w dole i widzę że policja też ciska puszki!

Po jakimś czasie pandemonia wylewa się na ulicę i w całym mieście rozlega się wycie syren. Ja z prezesem, Alfredem i panią Hopewell próbujemy wydostać się na zewnątrz, ale po drodze grzeźniemy w tłoku. Ktoś zdiera z pani Hopewell kieckę i biedaczka znów paraduje w negliżu. Kleimy się wszyscy od różnych świństw, od nowej coli, cudzej śliny, od ciastków i babeczków, którymi częstowano gości. Ktoś krzyczy że z powodu rozruchów burmistrz Atlanty ogłosił "stan wyjątkowy". Zanim się rozruchy skończyły tłum powybił wszystkie okna na Peachtree i pograbił większość sklepów. Kilka rozruchowców zaczęło podpalać budynki.

Stoję sobie grzecznie pod markizą na zewnątrz koncernowej siedziby, kiedy nagle ktoś z tłumu mnie rozpoznaje i wrzeszczy: "To on!" Nim się kapłem co jest grane rzuca się w moją stronę cała hałastrą, setki, tysiące luda, nie wyłączając pana prezesa, Alfreda i pani Hopewell, która zasuwa gołą, w samych tylko majtach! Myślę sobie: Forrest, chłopie, nie masz nad czym dumać! W nogi! Więc gnam przed siebie ile dechu w płucach, przez miasto, przez autostradę, po wzgórzach i bocznych drogach, a obok co rusz śmigają butelki, puszki i kamienie. Kurde flaki, myślę sobie, dlaczego wszyscy zawsze muszą mnie ganiać?

W końcu umkłem hołocie, bo jak wiecie, giry mam nie od parady. Ale coś wam powiem: stracha najadłem się po uszy!

Po jakimś czasie znalazłem się na starej dwupasmówce. Nie miałem zielonego dokąd prowadzi, ale jak zobaczyłem światła reflektorów migiem wystawiłem łapę z uniesionym kciukiem. Reflektory się zatrzymały, a za nimi półciężarówka. Pytam się kierowcy dokąd tak pruje, a on że na północ, do Wirginii Zachodniej. Jak chcę z nim jechać, to proszę bardzo, tylko muszę wsiąść do skrzyni, bo w szoferce już ma pasażera. Zerkam na pasażera i kurde, gały mi

wyłażą z orbit! Bo obok kierowcy siedzi wielkie stare świńsko! Bydle chrząka, dyszy i jest tak grube jakby ważyło dwieście kilo.

- To Gertruda, wspaniała przedstawicielka rasy Hampshire - powiada kierowca. - Muszę o Trudzie dobrze dbać, bo kiedyś się dzięki niej wzbogacę. A reszta z tyłu to zwykłe świnie. Może będą pana trącać ryjami, ale niech się pan nie obawia, krzywdy nie zrobią.

No więc wlażłem do skrzyni i ruszyliśmy w drogę. Do towarzystwa miałem kilkanaście wieprzów, które na mój widok od razu zaczęły głośno kwikać. Po jakimś czasie ucichły i posnęły, więc mogłem wreszcie wyciągnąć nogi. Niedługo potem zaczął padać deszcz. Tak to już jest, Forrest, myślę sobie: raz na gorze, raz na dole, twoje życie to jedna huśtawka.

Następnego dnia o świcie podjeżdżamy na parking dla ciężarówek, kierowca wysiada z szoferki i podchodzi do skrzyni.

- No, jak się spało? - pyta.

- W porządku - mówię.

Leżę pod wieprzem dwa razy większym ode mnie, ale dzięki tej kołderce przynajmniej w nocy nie zmarłem.

- Chodźmy na śniadanie. A przy okazji... nazywam się McGivver - mówi do mnie gość.

Przed wejściem do restauracji stoi stojak z gazetami. Biorę "The Atlanta Constitution", a tam wielkimi literami pisze: NIEDOSZŁY WYNALAZCA, DEBIL, SPRAWCĄ ROZRUCHÓW W MIEŚCIE.

THE ATLANTA CONSTITUTION

Były sprzedawca encyklopedii z Alabamy, który twierdził, że opracował recepturę nowego napoju dla koncernu produkującego colę, był wczoraj sprawcą jednych z najpoważniejszych zamieszek w historii Atlanty. Rozruchy wybuchły w chwili, gdy na oczach kilku tysięcy najznamienitszych obywateli miasta wykryto próbę oszustwa.

O godzinie siódmej wieczorem prezes koncernu przedstawił zebrany w audytorium gościom Forresta Gumpa, wcześniej domokrażcę sprzedającego tandetne encyklopedie, i oznajmił, że tenże wymyślił nowy napój, stanowiący odmianę ulubionego w kraju napoju bezalkoholowego.

Zdaniem świadków, podana gościom do skosztowania nowość wywołała gwałtowną reakcję większości obecnych, wśród których znajdował się burmistrz Atlanty z małżonką, członkowie rady miejskiej wraz z żonami oraz prezesi i kadra kierownicza przeróżnych firm i instytucji.

Od policji wezwanej na miejsce zdarzenia dowiedzieliśmy się, że zamieszki miały niezwykle burzliwy przebieg. Ludzie w audytorium bili się, ciskali czym popadnie, a nawet zrywali suknie z kobiet, tak więc najwybitniejsi obywatele miasta zostali narażeni na wiele przykrości.

Po pewnym czasie bijatyka przeniosła się z budynku na ulicę; w czasie rozruchów, które ogarnęły elegancką śródmiejską dzielnicę, dokonano znacznych zniszczeń. Jak to skomentował pragnący zachować anonimowość przedstawiciel elity towarzyskiej: "Czegoś podobnego nie widziałem od czasu rozruchów murzyńskich w sześćdziesiątym czwartym roku".

Niewiele wiadomo o sprawcy całego zamieszania, Forreście Gumpie, który - jak twierdzą świadkowie - uciekł wkrótce po rozpętaniu awantury. Według informacji, jakie udało nam się zebrać, Gump, mężczyzna około czterdziestki, podczas studiów na uniwersytecie stanowym Alabamy grał w uczelnianej drużynie futbolowej.

"Tak, pamiętam go - powiedział nam pragnący zachować anonimowość pomocnik trenera, obecnie szkolący drużynę uniwersytecką w Georgii. - Rozumem nie grzeszył, ale potrafił sukinsyn zasuwać jak mało kto!"

Policja nadała komunikat w sprawie Gumpa do wszystkich jednostek w całym stanie, natomiast prezes koncernu produkującego colę wyznaczył milion dolarów nagrody dla osoby, która go schwyta i dostarczy żywego lub martwego...

Schowałem szybko gazetę.

Weszliśmy do restauracji, klapiliśmy przy stoliku i pan McGiwwer zaczął mi opowiadać o swojej farmie w Wirginii Zachodniej.

- Na razie prowadzę skromne gospodarstwo - mówi - ale zobaczy pan, kiedyś w przyszłości zostanę największym hodowcą trzody chlewnej na świecie.

- Tak? To miło - ja na to.

- Miło? Jakie miło? Brud, smród i ogólny syf. Jedyne plus, to że można sporo na świniać zarobić. Ludzie kochają szynkę i jajka na bekonie. Więc trzeba im wyjść naprzeciw, nie? Wie pan, nawet nie ma przy świniać dużo roboty, tyle że innych problemów jest co niemiara.

- Na przykład? - pytam go.

- Choćby to, że mieszkańcy pobliskiego miasteczka Coahdille bezustannie narzekają na fetor. Przyznaję: świnie to nie perfumy, ale przecież nie zwinę interesu. Mam tysiąc sztuk, które całymi dniami nic nie robią tylko żrą i srają. Pewnie, że śmierdzi. Ale ja się przyzwyczałem, więc dlaczego inni nie mogą?

Jeszcze przez jakiś czas nawija o swojej hodowli, a potem zmienia temat.

- Uczestniczył pan wczoraj w tych zamieszkach w Atlancie? - pyta się. - Wyglądało, jakby w mieście wybuchła rewolucja, co?

- Nie, raczej nie uczestniczyłem... - powiadam. Nie jest to do końca prawdą, ale nie mam ochoty wchodzić w szczegóły.

- Dokąd pan jedzie?

- Nie wiem. Gdziekolwiek. Za robotą.

- A w jakiej pan branży robi? - pyta pan McGivver.

- Chwilowo w żadnej - mówię - ale różnymi rzeczami się w życiu zajmowałem. Teraz muszę znów stanąć na nogi.

- To może by pan u mnie popracował? Na farmie zawsze jest sporo do zrobienia.

Czemu nie, pomyślałem sobie, i tak wylądowałem wśród świniać.

Rozdział 4

Przez rok czy dwa na farmie pana McGivvera nauczyłem się więcej o hodowli świń niż to komukolwiek było potrzebne do szczęścia.

Pan McGivver hodował różne rasy: wielkie tłuste hemszyry, mangalice, duroki, berkszyry, tamworty i cheszyry. Hodował też kilka śmiesznych owców merynosów, bo - jak powiadał - przynajmniej są ładniejsze od świń.

Moja praca, jak się szybko okazało, polegała na wszystkim. Rano i wieczorem polewałem świnię wodą. Poza tym ciągle łąziłem z łopata i zgarniałem do wiadra świńskie gówno, które pan McGivver sprzedawał innym farmerom na nawóz. Reperowałem płoty i sprzątałem chlewy. Mniej więcej raz w miesiącu ładowałem świnię do ciężarowy, te co były na sprzedaż, i wiozłem na targ w Wheeling czy gdziekolwiek się akurat odbywał.

Któregoś dnia wracałem ze świńskiej aukcji, kiedy zaświtał mi we łbie genialny pomysł. Przejeżdżałem akurat koło wielkiej bazy wojskowej i nagle pomyślałem sobie: Forrest, chłopie, przecież tam się marnotrawi kupa dobrego żarcia. Wiele lat temu też byłem w woju, a że się ciągle pakowałem w jakieś kłopoty, za karę co rusz musiałem zasuwać w kuchni. I jedną rzecz dobrze zapamiętałem: że całe stosy żarcia lądują w śmieciach. A mogły się przydać na wałowę dla świń. Świńska pasza była droga i dlatego pan McGivver nie mógł powiększyć hodowli na tyle co by chciał. Więc zboczyłem z drogi, zajeżdżam pod dowództwo i mówię że chcę gadać z tym kto tu wszystkim rządzi. Dobra. Żołnierz prowadzi mnie do takiego małego gabinetu. Przy biurku siedzi wielkie czarne chłopisko. Kiedy obraca łeb, oczy stają mi słupa, bo wiecie kogo przed sobą widzę? Sierżanta Kranza z mojej starej kompanii w Wietnamie! Na mój widok sierżant prawie wyskakuje ze skóry.

- Chryste Panie! - woła. - To ty, Gump? Co, u diabła, tu robisz?

No to mu powiedziałem co, a on jak nie ryknie śmiechem! Trzęsie się jak meduza, która dostała czkawki.

- Naprawdę hodujesz świnię? Cholera, Gump, tyle miałeś zasług, dostałeś najwyższe odznaczenie wojskowe, powinieneś już dawno być generałem! A przynajmniej, kurwa, majorem jak ja! A ty co? Przychodzisz prosić o resztki dla świń! Ale w porządku, czemu nie? Przecież i tak lądują w kubłach. Idź do kwatermistrza i powiedz, że od tej pory ma ci dawać wszystkie nasze śmiecie.

Jeszcze trochę gadaliśmy o dawnych czasach, o Bubbie, poruczniku Danie i innych chłopakach z Wietnamu. Opowiedziałem mu o zawodach pingpongowych w Chinach, locie w kosmos, pobycie u kamibali, hodowli krewetek w Bayou La Batre i graniu w futbola dla New Orleans Saints. Sierżant Kranz słuchał, kręcił łbem ze zdziwienia, po czym oświadczył że widać są - kurwa! - różne temperamenty. On na przykład już prawie trzydzieści lat służy w wojsku, a kiedy przejdzie na emeryturę to otworzy bar, do którego żaden cywil nie będzie miał wstępu, nawet prezydent Stanów Zjednoczonych. No dobra, wreszcie się pożegnaliśmy, sierżant Kranz klepnął mnie w plecy i posłał do kwatermistrza. Kiedy wróciłem na farmę z kupą wałowy dla świń, pan McGivver prawie się posikał z radości.

- Ja pierdołę! - krzyczał. - Gump, co za genialny pomysł! Dlaczego sam wcześniej na to nie wpadłem? Dzięki resztkom od wojska możemy w ciągu paru miesięcy dwukrotnie... a nawet, cholera, czterokrotnie powiększyć hodowlę!

Cieszył się jak kamibal na widok tłustego gościa. Z tej uciechy podniósł mi pensję o pół dolca za godzinę i pozwolił się byczyć w niedziele. W wolne dni zaczęłem więc jeździć do miasta. A raczej miasteczka. Coalville liczyło sobie kilka tysięcy mieszkańców, z czego duża część była bezrobotna odkąd w kopalni skończyły się zapasy węgla. Tam gdzie kiedyś była kopalnia pozostała tylko wielka dziura w zboczu wzgórza. Najczęściej bezrobotni przesiadywali na rynku i grali w warcaby. Czasem chodzili do takiej przyrynkowej knajpy "U Etty" na kawę. Łazłem tam za nimi, zamawiałem własną i słuchałem jak gadają o dawnych czasach kiedy kopalnia jeszcze działała. Tak z ręką na sercu, trochę mnie to dołowało, ale wolałem się dołować niż bez ustanka przebywać ze świniami.

Do moich obowiązków należało dowożenie na farmę śmieci z wojska. Z początku musiałem oddzielać świńskie żarcie od serwetków, papierowych toreb, pudełków, puszek i innych takich. Potem sierżant Kranz wykombinował na to sposób. Kazał chłopakom w barakach wrzucać odpady do dwóch oddzielnych pojemników: jeden miał napis "Jadalne śmiecie" a drugi - "Niejadalne śmiecie". Wszystko było dobrze aż do dnia odwiedzin. W dniu odwiedzin do żołnierzy przyjechały rodziny. Niektóre mamusie i tatusie złapały się za głowę i huzia! - z gębą do generała skarżyć się że wojsko karmi ich synów śmieciami. No więc wymyśliliśmy z sierżantem nowe nazwy dla pojemników i więcej nikt się nie czepiał. A akcja śmieciowa przebiegała tak gładko że po paru miesiącach pan McGivver musiał dokupić dwie nowe

ciężarowy, bobyśmy nie nadążyli ze zwożeniem żarcia. Po roku mieliśmy już siedem tysięcy osiemdziesiąt jeden świniaków.

Któregoś dnia dostaję list od pani Curran. Mama Jenny pisze że nadchodzi lato i może by było dobrze gdybym na jakiś czas wziął do siebie małego Forresta. Nie mówi mi tego prosto w nos, ale jakoś, kurde, mam wrażenie że z małym Forrestem nie jest wszystko cacy. Pani Curran niby pisze że “jak to chłopak nigdy nie usiedzi spokojnie”, ale pisze też że stopnie mu się pogorszyły “więc tak sobie myślę, że powinien trochę czasu spędzić ze swoim tatusiem”. Odpisałem pani Curran że jak tylko skończy się szkoła niech wsadza małego do pociągu, a ja go tu odbiorę. No i po kilku tygodniach mały Forrest przyjechał do Coalville.

W pierwszej chwili byłem pewny że mi gały szwankują! Bo mały Forrest wcale już nie był taki mały - wyciągnął się w górę ze trzydzieści albo czterdzieści centymetrów. Ładny zrobił się z niego chłopiec, o jasnych włosach i dużych niebieskich oczach, jak jego mamusia.

Na mój widok nie uśmiecha się ani nic, tylko patrzy ponuro.

- Cześć, jak leci? - pytam go.

- Kurcze, gdzie ja jestem? - on na to. Rozgląda się dokoła i marszczy nos zupełnie jakby wylądował na miejskim śmietniku.

- U mnie - mówię. - Mieszkam niedaleko.

- Tak?

Coś mi się zdaje że dzieciak nabawił się trudnego charakterku.

- To górnicze miasto - tłumaczę mu. - Kiedyś wydobywano tu węgiel, ale zapas się skończył.

- Babcia mówiła, że jesteś farmerem. To prawda?

- Tak jakby - mówię. - To co, jedziemy na farmę?

- Chyba tak - on na to. - Przecież tej dziury nie będę zwiedzał.

No więc wsiedliśmy do ciężarówki i telepiemy się na farmę pana McGivvera. Zanim dojeżdżamy na miejsce, jakiś kilometr przed skrzyżowaniem z szosy, mały Forrest łapie się za nosa i gwałtownie wachluje przed sobą powietrze.

- Co tak śmierdzi? - pyta się mnie.

- Świnie - mówię mu. - Na tej farmie hodujemy świnie.

- O kurwa! - woła dzieciak. - Mam tu siedzieć całe lato i wachać gnój?!

- Słuchaj - powiadam. - Wiem że nie jestem najlepszym tatusiem na świecie, ale muszę zarabiać na nas obu, a tylko taką robotę udało mi się znaleźć. To po pierwsze. A po drugie nie wolno ci przy mnie używać takich brzydkich słów jak "gnój". Jesteś na to za młody.

Przez resztę drogi mały Forrest się nie odzywał. A potem, jak dojechaliśmy na miejsce, poszedł do pokoju co mu przygotowałem i zamknął za sobą drzwi. Wyszedł dopiero na kolację, ale dalej się nie odzywał. Siedział przy stole i bawił się jedzeniem. Kiedy poszedł spać, pan McGivver zapalił fajkę, zaciągnął się dymem i powiada:

- Chłopak nie wydaje się zbyt szczęśliwy, prawda?

- No, nie bardzo - mówię. - Ale przejdzie mu. Za dzień czy dwa się przyzwyczai. W końcu dawno mnie nie widział.

- Wiesz, Gump - powiada pan McGivver - a może dobrze mu zrobi, jak trochę popracuje na farmie? Może poczuje się bardziej dorosły?

- Może - mówię.

Polazłem do łóżka w nie najlepszym humorze. Zanikłem oczy i zaczęłem dumać o Jenny. Miałem nadzieję że ukaze mi się i da dobrą radę czy coś, ale się nie ukazała. Tym razem byłem zdalny tylko na samego siebie.

Rano poprosiłem małego Forresta żeby mi pomógł polewać wodą świniaki. Pomógł, ale był bardzo zbrzydzoney. Przez cały dzień - i następny też - nie odzywał się do mnie słowem chyba że go o coś pytałem, a wtedy bąkał krótko "tak" albo "nie". Nic więcej. Wreszcie coś wymyśliłem.

- Ej, Forrest, masz w domu psa czy innego zwierzaka? - pytam się.

- Nie - mówi.

- A chciałbyś mieć?

- Nie.

- A ja myślę że tak. Jak byś zobaczył takiego malucha...

- Jakiego malucha?

- Chodź, pokażę ci - mówię.

Zaprowadziłem go do chlewu. W boksie leżała wielka tłusta maciora z sześcioma prosiaczkami przy cyckach. Miały około ośmiu tygodni. Jakiś czas temu upatrzyłem sobie

jednego z nich. Najładniejszego. Był biały w małe czarne ciapki, miał fajne wesołe ślipka, przychodził na wołanie i śmiesznie podnosił uszy jak się do niego gadało.

- Tego nazwałem Wanda - mówię do Forresta i podaję mu świniaczka.

Dzieciak nie ma zachwyconej miny, ale co mu zostaje? Bierze ode mnie zwierzę. Po chwili Wanda trąca go ryjkiem i liże zupełnie jak psi szczeniak.

- Dlaczego akurat Wanda? - pyta się mnie syn.

Ja na to:

- Bo to dziewczynka. I kiedyś znałem jedną Wandę. Od tej pory dzieciak przestał się burmuszyć. Oczywiście była to zasługa Wandzi, nie moja. Ośmiotygodniowego prosiaka można już było zabrać świni od cycka, więc Wandzia stała się nierozłącznym towarzyszem zabaw małego Forresta. Pan McGivver powiedział że jak to małemu poprawi humor, to pewnie, niech się bawią razem.

Nadchodzi dzień świńskiej aukcji w Wheeling. Wczesnym rankiem mały Forrest pomaga mi załadować zwierzaki do ciężarowcy i ruszamy w drogę. Do Wheeling jedzie się pół dnia, potem trzeba wrócić, załadować kolejną porcję świń i znów zasuwać ileś kilometrów.

- Dlaczego wozisz świnię w tej starej ciężarówce? - pyta mnie dzieciak. Jest to chyba najdłuższe zdanie jakie powiedział od przyjazdu na farmę.

- Dlatego że trzeba je dowieźć. Pan McGivver od lat je tak wozi - mówię.

- Przecież przez Coalville biegnie linia kolejowa! Wyczytałem w rozkładzie, że ten sam pociąg, którym przyjechałem, jedzie dalej do Wheeling. Moglibyście wysyłać świnię pociągiem.

- Bo ja wiem? A po co? - pytam.

- Jak to po co? - Dzieciak patrzy na mnie jak na idiotę. - Pomyśl, o ile szybciej dojechałyby na miejsce!

- Jejku, Forrest - ja na to - myślisz że świniom się spieszy czy co?

Chłopak nic nie powiedział, pokiwał tylko łepetyną i odwrócił się do okna. Pewnie sobie wreszcie wykombinował że jego tatuś ma ptasi mózdzek. Wróbelkowaty.

- Ale może masz rację - mówię po chwili. - Może ten pociąg to dobry pomysł. Pogadam rano z panem McGivverem.

Mały Forrest wcale się nie ucieszył z tej wiadomości, nie podskoczył ani nic. Siedział z Wandzią na kolanach i z jakąś taką dziwnie przerażoną miną.

- Co za fantastyczny pomysł! - drze się pan McGivver. - Rzeczywiście można wysłać świnie na aukcję pociągiem! Zaoszczędzimy tysiące dolarów! Do diabła, dlaczego sam na to wcześniej nie wpadłem?!

Leci do małego jak mucha do krowiego placka, chwyta go na ręce i ściska z całej siły.

- Jesteś, chłopcze, genialny! - woła. - Ale się wzbogacimy!

Z tej radości podwyższa nam obu pensję i pozwala się byczyć nie tylko w niedziele ale również w soboty, więc w weekendy jeździmy z małym Forrestem do restauracji Etty w Coalville, pijemy kawę, gadamy z górnikami i niegórnikami, znaczy się z wszystkimi bez wyjątków. Goście Etty są bardzo mili dla małego Forresta, a jemu buzia nie zamyka się od pytań - wszystko chce wiedzieć. I tak powoli mija lato, a ja czuję że z każdym tygodniem dzieciak i ja stajemy się sobie ciut bliżsi.

Pan McGivver główkuje teraz nad dość śmierdzącym problemem: co robić z gównem, którego jest coraz więcej? Mamy już ponad dziesięć tysięcy świń i z każdym dniem ich przybywa, a wszystkie srają na potęgę. Pan McGivver mówi że pod koniec roku będzie ich ze dwadzieścia pięć tysięcy. A że każda wysrywa około kilogram gówna dziennie... no, sami rozumiecie w cośmy wpadli.

Do tej pory pan McGivver sprzedawał świńskie gówno okolicznym farmerom na nawóz, ale powoli zaczyna już brakować chętnych, a poza tym mieszkańcy Coalville coraz bardziej psioczą na smród, który produkujemy.

- Można by gówno palić - mówię.

- Żeby ci z Coalville jeszcze bardziej się wściekli? Myślisz że będą siedzieć z założonymi rękami, jak zaczniemy wrzucać do ogniska dwadzieścia pięć ton gówna dziennie?

Przez kilka dni obaj się głowimy, kombinujemy co zrobić, jak się z tym gównem uporać, ale wszystkie nasze pomysły okazują się gówno warte. Wreszcie któregoś dnia siedzimy przy kolacji, rozmowa znów schodzi na ten temat, kiedy nagle mały Forrest się ożywia.

- A może by go użyć do wytwarzania elektryczności? - powiada.

Kurde, ale nas zażył!

- Do czego? - dziwi się pan McGivver.

- Słuchajcie - mówi chłopak. - Tu pod tą farmą ciągnie się wyrobisko...

- Skąd wiesz? - pyta pan McGivver.

- Powiedział mi jeden z górników. Mówił, że podziemny korytarz ciągnie się ponad trzy kilometry. Że zaczyna się na zboczu wzgórza w Coalville, potem biegnie pod świńską farmą i urywa tuż przed bagnami.

- Czyżby?

- Tak mi powiedział - mówi mały Forrest. - I pomyślałem sobie...

Wyjmuję zeszyt i rozkłada na stole. Kiedy go otwiera, wybałuszam gały i - kurde! - nic nie kapuję. Same dziwne rysunki i bazgroły. Ale wygląda na to że dzieciak znów nas wywabił z opałów, bo pan McGivver przygląda się lustracjom w zeszycie, a potem jak nie ryknie:

- Mój Boże! To jest wspaniałe! Co za pierwszorzędny pomysł! Młodzieńcze, powinieneś dostać nobla!

Pomysł małego Forresta jest następujący: najpierw na wzgórzu w Coalville zatykamy wejście do kopalni, potem na farmie wiercimy dziury w ziemi, dowiercamy się do podziemnego korytarza i codziennie ładujemy do środka świńskie gówno. Po jakimś czasie gówno fermentuje i wydziela się metan. Metan ulatuje specjalnym kanałem, który przechodzi przez jakieś skomplikowane ustrojstwa co je mały Forrest obmyślił, i w końcu trafia do wielkiego generatora. Generator z kolei wytwarza tyle prądu że starczy go nie tylko dla nas, ale i dla Coalville! Kurde flaki, dla całego miasta!

- O rany! - podnieca się pan McGivver. - Prąd dla miasta wytwarzany ze świńskiego gówna! W dodatku produkcja jest tak debilnie prosta, że nawet kretyn sobie z nią poradzi.

Co do tego ostatniego, nie jestem wcale przekonany.

Dobra, to był dopiero początek. Trwało do końca lata zanim coś się z tego wykuło. Najpierw pan McGivver musiał pogadać z burmistrzem, potem zarząd miasta musiał zdobyć szmal od rządu. Potem na farmie zaroilo się od inżynierów, wiertników, facetów od ochrony środowiska, kierowców od ciężkich sprzętów i innych budowlańców. Jedni wiercili w ziemi dziury, inni w takim dużym nowo wybudowanym baraku montowali jakieś maszyny. Mały Forrest dostał tytuł "honorowego inżyniera" i chodził dumny jak kogut co zniósł jajo.

Ja pilnowałem własnego nosa, znaczy się polewałem świnie wodą, czyściłem chlewy i inne takie. Któregoś dnia przychodzi do mnie pan McGivver i mówi żebym wlaź na buldożera i zaczął spychać gówno do szybów. Spychałem je przez tydzień czy koło tego, a kiedy skończyłem inżynierzy pozatykały wywiercone w ziemi otwory. Mały Forrest powiedział nam że teraz musimy uzbroić się w cierpliwość, więc się uzbrojiłem. Jeszcze z niczego w życiu nie byłem tak

dumny jak z synka. Wieczorem kiedy słońce zaczęło opadać patrzyłem jak razem z poczciwą Wandzią drałuje pod górę, za którą rozciągają się bagna i myślałem sobie: ale oni oboje ładnie wyrosli przez to lato!

Tydzień czy dwa później, pod sam koniec letnich wakacji, dzieciak przybiega do nas i mówi że pora uruchomić generator. Przed zapadnięciem mroku prowadzi mnie i pana McGivvera do nowo wybudowanego baraku. Pełno tam rur, pokrętlów, urządzeń pomiarowych, można dostać od tego oczopląsa. Po chwili mały Forrest zaczyna nam tłumaczyć jak to działa.

- Przez tę rurę metan wydobywa się z szybu - mówi. - Tu, przy tym płomyku, gaz się zapala. A tutaj - wskazuje na coś co wygląda jak wielki grzejnik - para się kondensuje. To wprawia w ruch generator, który wytwarza elektryczność. Elektryczność wędruje tymi drutami i tak mamy prąd. - Zakańcza wykład uśmiechając się szeroko.

- To wspaniałe! - woła pan McGivver. - Niech się schowają Edison, Fulton, Whitney, Einstein! Żaden by lepiej tego nie wymyślił!

Mały Forrest kręci pokrętła, przesuwa wajchy, wciska guziki i po chwili wskazówki na manometrach się odchylają, tarcze liczników zaczynają się obracać i nagle - kurde balas! - w baraku zapala się światło! Ogarnia nas taka radość że skaczemy jak pchły po kocie. Naraz pan McGivver wybiega na zewnątrz i jak z uciechy nie rozedrze pyska! Bo nie tylko w baraku palą się światła, w domu i w chlewie też się palą. Jest jasno jak w dzień. A w oddali widać jak zapalają się światła w Coalville.

- Eureka! - krzyczy pan McGivver. - Kto by pomyślał?! Świńskie gówno świeci jak złoto!

Następnego dnia rano mały Forrest zaciągnął mnie z powrotem do baraku i jeszcze raz zamonstrował wszystko od a do zet. Tłumaczył od czego są różne zawory, krętła i liczniki, co robią i dlaczego, i po jakimś czasie nawet zaczęłem kapować co do mnie gada. A gadał że muszę zaglądać tu raz dziennie i sprawdzać czy ten albo tamten manometr nie pokazuje więcej niż trzeba i czy ten albo tamten zawór jest otwarty czy zamknięty. Chyba pan McGivver miał rację że nawet taki kretyn jak ja umiałby sobie z tym poradzić.

- Jeszcze się nad czymś zastanawiałem... - mówi podczas kolacji mały Forrest.

- Nad czym, mój kochany geniuszku? - pyta go pan McGivver.

- Mówił pan, że musi trochę przyhamować z hodowlą, bo na aukcji w Wheeling i na okolicznych targach nie ma aż tak dużego zapotrzebowania na trzodę chlewną...

- Zgadza się - pan McGivver na to.

- No więc tak sobie myślę... dlaczego by nie wysłać świń zagranicę? Do Ameryki Południowej, do Europy, nawet do Chin?

- Sam pomysł jest dobry - powiada pan McGivver. - Kłopot w tym, chłopcze, że przy tak wysokich kosztach transportu eksport byłby zupełnie nieopłacalny. Zanimby zwierzęta dopłynęły do portu przeznaczenia, cały zysk z ich sprzedaży poszedłby na pokrycie kosztów podróży.

- Niekoniecznie - mówi mały Forrest i ponownie rozkłada na stole zeszyt.

Patrzę... A niech mnie! Tam znów pełno rysunków i szkiców.

- Fantastyczne! Niewiarygodne! Kapitalne! - drze się wniebogłose pan McGivver. - Chłopcze, powinieneś zasiadać w Kongresie albo co!

Kurde flaki, myślę sobie, po kim ten dzieciak ma tyle rozumu, chyba nie po mnie? W swoim zeszyciku narysował statek do przewozu świniaków. Nie wszystko kapuję, ale mniej więcej chodzi o to żeby zwierzęta umieszczać warstwowo. Statek od góry do dołu jest podzielony na takie ni to piętra ni to warstwy. Każde ni to piętro zamiast podłogi ma grubą drucianą siatkę. Kiedy prosiaki z górnej warstwy się załatwiają, ich kupy spadają na niższą warstwę, z tej niższej na jeszcze niższą i jeszcze niższą aż wreszcie wszystko ląduje na dnie statku, gdzie stoi takie samo urządzenie jak u nas w baraku i to urządzenie wprawia statek w ruch.

- Czyli koszty napędu są właściwie zerowe! - ryczy pan McGivver. - Pomyśl, Gump, jakie otwierają się przed nami możliwości! Transport za połowę ceny! To niesamowite! Cała flota napędzana gównem! Zresztą dlaczego ograniczać się do samych statków? Pomyśl! Pociągi, samoloty, wszystko na gówno! Pralki, suszarki, telewizory! Niech się wypchają z energią atomową! Kto wie, czy wynalazek Forresta nie zapoczątkuje nowej, gównianej ery!

Patrzę jak wymachuje łapskami i myślę sobie: chce pofrunąć czy co? Ale potem to aż nachodzi mnie strach, że wykorkuje z podniecenia.

- Z samego rana pogadam z kim trzeba - ciągnie dalej pan McGivver. - Ale najpierw mam coś ważnego do powiedzenia. Forreście Gumpie, w podzięce za twoją ofiarną pracę na farmie czynię cię moim współnikiem i ofiaruję ci jedną trzecią zysków. Co ty na to?

Zdziwiłem się, ale jeszcze bardziej to się ucieszyłem, bo to był spory kawał szmalu.

- Ja na to dzięki - mówię.

Wreszcie skończyły się wakacje i mały Forrest musiał wracać do szkoły. Wcale nie chciałem go odsyłać do pani Curran, ale nie było wyjścia. Kiedy jechaliśmy ciężarówką na stację,

jawory przy drodze właśnie zaczynały zmieniać kolor. Wanda jechała razem z nami, tyle że z tyłu w skrzyni, bo była już za duża na jeżdżenie w szoferce.

- Mam pytanie - mówi do mnie mały Forrest.

- No?

- Chodzi o Wandę - mówi. - To znaczy, chyba jej nie...

- Och nie. Na pewno nie! - oburzam się. - Zatrzymamy ją jako rozplodówkę. Nic jej nie będzie.

- Słowo? - pyta dzieciak.

- Ta - mówię.

- Dzięki.

- No dobra, a teraz słuchaj: masz być grzeczny jak wrócisz do domu. I robić co ci babcia każe, dobrze?

- Ta - on na to.

Nic więcej nie mówił tylko siedział i gapił się przez okno. Taki był smętny jakby go coś w środku gryzło.

- Coś nie w porządku? - pytam.

- Tak się zastanawiam... - on na to. - Dlaczego nie mogę tu zostać i pracować z tobą na farmie?

- Bo jesteś za młody - mówię mu. - I musisz jeszcze chodzić do szkoły. Kiedyś o tym pogadamy. Ale wiesz co? Może byś przyjechał na gwiazdkę albo co? He?

- Fajnie, przyjadę.

Kiedy dojechaliliśmy na stację kolejową, mały Forrest poszedł na tył ciężarówki i wysadził Wandę. Klapliśmy w trójkę na peronie. Mały ścisnął świnię za szyję, coś tam do niej gadał. Żal mi go było, ale wiedziałem że słusznie robię odsyłając go do babci. W końcu przyjechał pociąg. Dzieciak jeszcze raz przytulił się do świni i wsiadł do wagonu. Do mnie się nie przytulił, po prostu podaliśmy sobie ręce. Patrzyłem jak jego twarz za szybą powoli rusza z miejsca. Pomachał do nas na pożegnanie, no a potem ja i Wanda wróciliśmy na farmę.

Przez następnych kilka tygodni nie mieliśmy chwili odpoczynku. Ja się wiłem jak klusek w ukropie, a pan McGivver zaiwaniał jak jednonogi maratończyk. Najpierw powiększył hodowlę - i to chyba dziesięciokrotnie! Kupował świnię gdzie się dało i w ciągu paru miesięcy

dorobiliśmy się ich ponad sześćdziesiąt tysięcy, znaczy się przy sześćdziesięciu tysiącach przestaliśmy liczyć bo się pogubiliśmy w rachunkach. Ale nie szkodzi. Im więcej mieliśmy świniaków, tym więcej wytwarzaliśmy metanowego gazu. Oświetlaliśmy już nie tylko siebie i Coalville, ale również dwa sąsiednie miasteczka. Faceci z federalnego rządu, który się mieścił w Waszyngtonie, cieszyli się że dajemy innym taki dobry przykład i nawet bąkali coś o odznaczeniach dla nas. Kurde bele!

No nic, po powiększeniu hodowli pan McGivver zabrał się za napędzaną gównem flotę. Zanim się kapłem co robi, zamówił w Norfolk - takim mieście w Wirginii nad samym Atlantykiem - trzy potężne statki. Budowali je specjalnie dla nas. Pan McGivver spędzał tam większość czasu, więc cały świński interes tkwił na mojej łepetynie. Zatrudniliśmy do pomocy stu bezrobotnych górników z miasta, co mi było bardzo na rękę - i nie dziwota.

A jeśli chodzi o śmiecie co je nasze świny żarły, to pan McGivver porozumiał się z wszystkimi bazami w kręgu pięciuset kilometrów czy koło tego i codziennie ciężarówki przywoziły nam tony wojskowych odpadów. To czego sami nie mogliśmy zużyć, sprzedawaliśmy innym farmerom.

Któregoś dnia pan McGivver powiada:

- Wiesz, Gump, stajemy się przedsiębiorcami na wielką skalę. Ale niestety nie ma róży bez kolców.

Spytałem się go co ma na myśli, jakie kolce, a on na to:

- Długi, Gump, długi! Budowa statków, tereny pod nowe chlewy, ciężarówki do przewozu śmieci, na wszystko musieliśmy pożyczyć grube miliony. Czasem leżę w nocy i zamartwiam się, czy nie zbankrutujemy, ale nie mamy odwrotu. Za daleko już zaszliśmy. Obawiam się, że trzeba będzie zwiększyć produkcję metanu i podnieść ceny energii.

Zapytałem jak mogę mu pomóc.

A on na to:

- Szybciej ładuj gówno do szybów.

Więc ładowałem.

Przed końcem jesieni kopalnia zawalona była na oko jakimiś pięciuset tonami gówna. Produkcja szła pełną gębą, dzień i noc, bez ustanka. Musieliśmy dwukrotnie powiększyć barak.

Z panią Curran dogaduję się że mały Forrest przyjedzie do mnie na gwiazdkę. Dwa tygodnie przed gwiazdką ma się odbyć cyremonia, na której chcą nas, znaczy się mnie i pana McGivvera odznaczyć za nasze zasługi dla społeczeństwa. Miasteczko Coalville jest całe odpicowane w bożonarodzeniowe dekoracje, tu wiszą bombki, tam kolorowe światełka, wszystkie oczywiście na prąd ze świńskiego gówna. Pan McGivver nie może zostawić floty statków, które nam budują w Norfolk, więc prosi żebym odebrał nagrodę i podziękował w jego imieniu.

No dobra, w dniu cyremonii stroję się w garnitur, krawat i zasuwam do Coalville. Patrzą, a tam ludzi jak mrówek - na imprezę zjawili się nie tylko coalvillczyki, ale również mieszkańcy sąsiednich miasteczek, poza tym autobusy z gośćmi prezentującymi władzę i agencje ochrony środowisk. Z Wheeling przybył gubernator z prokuratorem generalnym, z Waszyngtonu senator ze stanu Wirginia Zachodnia, a z bazy wojskowej mój stary znajomek - sierżant Kranz. Kiedy docieram na miejsce burmistrz miasta Coalville już gada do mikroфона:

- Nawet w najśmielszych marzeniach - mówi - nikt z nas nie przypuszczał, że stado świń oraz niezwykła pomysłowość panów McGivvera i Gumpa wybawią nasze miasteczko z kłopotów!

Cyremonia odbywała się na rynku. Tuż za rynkiem ciągnęło się wzgórze, na którego zboczu znajdowało się zamurowane wejście do kopalni. Podium, na którym stali ważni goście zdobiły malutkie amerykańskie flagi oraz białe, czerwone i niebieskie płachty materiału. Na mój widok orkiestra szkolna przerwała burmistrzową gadkę i zaczęła grać "Boże błogosław Amerykę". Pięć czy sześć tysięcy gapiów na rynku klaskało, krzyczało i wiwatowało, kiedy wchodziłem po schodkach na podium.

A tam wszyscy rzucają się w moją stronę i - dawaj! - potrząsać moją łapą: burmistrz, gubernator, prokurator generalny, senator, ich żony, nawet sierżant Kranz, który wyelegancił się w mundur galowy. Burmistrz kończy gadkę słowami jaki to ze mnie porządny facet i jak dzięki naszemu wspaniałemu wynalazkowi miasteczko Coalville odżyło. Potem prosi żeby wszyscy wstali i odśpiewali razem hymn narodowy.

Zanim orkiestra zaczyna grać ziemia jakby lekko drży, ale poza mną chyba nikt tego nie zauważa. W czasie odśpiewywania pierszej zwrotki znów czuć drzenie i tym razem kilka osób rozgląda się dokoła; miny mają niepewne. Kiedy orkiestra uderza w najwyższe tony następuje trzecie drzenie, któremu kompaniuję jakby grzmot. Ziemia trzęsie się, w sklepie po drugiej

stronie ulicy szyba wypada z okna. I nagle mryga mi we łbie żarowa ostrzegawcza że zaraz wydarzy się coś bardzo niedobrego.

Rano kiedy stroiłem się w garnitur i krawat byłem tak zdenerwowany cyremonią, że na śmierć zapomniałem o otwarciu w eklektrowni zaworów i spuszczeniu nadmiarów pary. Mały Forrest ciągle mi powtarzał że to najważniejsza rzecz i żeby o niej codziennie pamiętać, bo inaczej coś się może schrzanić. Większość tłumu na rynku wciąż śpiewa, ale tu i tam ktoś do kogoś coś szepcze i odwraca z niepokojem głowę. Sierżant Kranz pochyla się do mnie i pyta:

- Hej, Gump, co u licha się dzieje?

Chciałem mu powiedzieć, ale zanim otwarłem pysk sam się przekonałem.

Zerkłem na wzgórze, na zatłoczone wejście do kopalni, i w tym momencie rozległ się potężny wybuch! Najpierw zobaczyłem jaskrawy błysk, potem ogień, potem usłyszałem dudniące DUDUDUDU, a potem wszystko wyleciało w powietrze.

Zrobiło się ciemno jak w grobie i tak cicho że przez chwilę myślałem że nas powaliło trupem. Ale wkrótce usłyszałem jęki. A kiedy przetarłem oczy i rozejrzałem się dokoła... kurde, co to był za widok! Wszyscy na podium stali nieruchomo, w jakimś zbaranieniu albo co, oblepieni od czubków palców po czubki głów świńskim gównem.

- O Boże! O Boże! - wyje żona gubernatora. Patrzę w dół na rynek... A niech mnie! Całe miasteczko uwalane jest gównem, w tym również te pięć czy sześć tysięcy widzów przed podium. Budynki, samochody, autobusy, ziemia, ulice, drzewa, wszystko pokrywa warstwa gruba na dziesięć centymetrów! Najdziwniej wyglądał orkiestrowy muzyk z tubą. Dał w nią kiedy nastąpił wybuch i z przestachu zapomniał przestać. Więc dalej dał, a gówno w tubie buzdgotało jak gulasz na ogniu.

Odwróciłem się i nadziałem prosto na sierżanta Kranza, który jakimś cudem wciąż ma na łbie czapkę. Sierżant wlepia we mnie gały i zgrzyta zębami jak zepsuta przekładnia.

- Gump! - ryczy. - Ty pieprzony idioto! Co to ma znaczyć, do kurwy nędzy?!

Niby zadał pytanie, a wcale nie czeka na odpowiedź tylko wyciąga łapska żeby mnie schwytać za gardziel. Więc skoczyłem przez balustradę i dałem drapakę. Sierżant Kranz i cała reszta huzia! - rzucili się do goniaczki. Myślę sobie: ho, ho, znajoma sytuacja.

Zmykałem do domu na farmę, ale w trakcie biegu nagle tkło mnie że nie znajdę tam dobrej kryjówki. Rozwścieczona banda, która wini mnie o to że trysło na nią pięćset ton świńskiego gówna, nie spocznie póki mnie nie zdybie. Ale nic. Gnałem jak torpeda i kiedy

dobiegłem na miejsce miałem nad tłumem sporą przewagę. Chciałem wrzucić kilka rzeczy do torby, ale patrzę - tłum pruje już drogą. A jak się wydziera, jak przebiera jadaczką! Więc wzięłem nogi za pasa, popędziłem do tylnych drzwi, potem do chlewu po Wandę. Świnia przygląda mi się jakoś dziwnie, ale posłusznie wybiega. Minęliśmy świńskie zagrody i sadzimy na ukos przez pole. Nagle odwracam się i widzę, kurde, że wszystkie prosiaki gnają za nami! Nawet te co były w zagrodach jakoś się wynikły i przyłączyły do hałastry.

Jedyny pomysł jaki mi przychodzi do łepetyny to zwiać nad bagno. Tak też robię i siedzę tam w ukryciu do zachodu słońca. Wszędzie wokół słyhać krzyki i brzydkie słowa. Wanda ma na tyle oleju w głowie że nie kwiczy ani nic. Potem robi się ciemno i zimno. Noc jest chłodna, ziemia mokra. Ale ludzie wciąż krążą. Czasem zamigocze latarka. Czasem ktoś przejdzie z widłami albo gracą, tak jak na tym filmie z Frankensteinem. W górze terkoczą helikoptery, błyskają reflektory, a głośniki gdaczą żebym wyszedł i się poddał.

Dobra, dobra, pocałujcie mnie gdzieś! - mam na końcu języka, ale oczywiście siedzę jak truś pod miotłą. I nagle nadchodzi, a raczej nadjeżdża ratunek. Po drugiej stronie bagna słyszę w oddali pociąg i myślę sobie: Forrest, chłopie, to twoja jedyna szansa. Na łapu capu gramolimy się z Wandzią na nasyp i jakimś dziwnym cudem wskakujemy do towarowca. W środku w wagonie pali się mały płomyk i w jego blasku majaczy mi jakiś gość na stercie słomy.

- Coś ty, u diabła, za jeden? - pyta się mnie.

- Ja? Nazywam się Gump - mówię.

- A kto tam jest z tobą?

- Wanda - wyjaśniam.

- Dziewucha? - pyta obcy.

- No niezupełnie... - powiadam.

- Niezupełnie? - on na to. - Jak nie jest dziewczuchą, to kim jest, do licha? Transwestytą?

- Nie - mówię. - Świnia. Najrasowszą duroczką. Może kiedyś wygra jeszcze jakąś nagrodę.

- Świnia? A niech mnie kule biją! - ucieszył się obcy. - Od tygodnia nie miałem nic w gębie.

Coś mi się zdaje że czeka nas bardzo długa podróż.

Rozdział 5

Wreszcie świeczka zgasła. Obcy przez chwilę głośno chrypiał i kaszłał, a potem nastąpiła cisza. Myślę sobie: pewnie się zdrzemną. Siedzę po ciemku, koła turkotają, wagonem trzęsie i kołysze. Wandzia kładzie łeb na moich kolanach i też uderza w kimono. A ja dalej siedzę, nie śpię ani nic i dumam dlaczego - kurde balas! - zawsze pakuję się w tarapaty. Jak nie takie, to inne. Wszystko czego się tykam obraca się w gówna. Czasem dosłownie.

Rano przez szpary w drzwiach wpada do wagonu trochę światła. Facet w rogu budzi się i znów chrypi i pokaszluje.

- Hej ty - mówi do mnie. - Może byś rozsunął drzwi i wpuścił trochę świeżego powietrza?

Więc wstałem i rozsułem je na szerokość pół metra czy koło tego. Na zewnątrz przelatują na zmianę ładne domy, to jakieś obdrapańce. Jest zimno i szaro, a jedyne kolorowe plamy na krajobrazie to gwiazdkowe ozdoby, które ludzie pozawieszali sobie na drzwiach.

- Dokąd ta ciuchcia jedzie? - pytam się współpodróżnika.

- Zdaje się, że do stolicy - odpowiada gość. - Do Waszyngtonu.

- O kurcze, już tam kiedyś byłem! - ja na to.

- Czyżby? - pyta gość.

- Tak, dawno temu - mówię. - Pojechałem zobaczyć prezydenta.

- Jakiego prezydenta?

- No naszego!

- I co, widziałeś go? - pyta gość. - Co to było, jakaś defilada?

- Żadna defilada. Nie, prezydent zaprosił mnie do siebie do domu.

- Akurat. Ciebie i tę świnię. Która w dodatku umie fikać koziołki.

- Co? Wanda nie jest żadną krobotką.

- Wiem, wiem - mówi obcy.

Obróciłem się w jego stronę, patrzę... Twarzy prawie nie widać, bo od dołu jest obrośnięta czarną brodą a od góry zasłonięta dziadoskim kapeluszem, ale to co sterczy wygląda jakoś znajomo.

- Ej - mówię do mojego współpodróżnika. - Jak się nazywasz?

- A co ci do tego? - on na to.

- Nic. Tylko przypominasz mi gościa, którego kiedyś znałem.

- Tak?

- Tak. Byliśmy razem w woju. W Wietnamie.

- A ty mówiłeś, że jak się nazywasz?

- Gump - powiadam.

- Tak? - dziwi się gość. - Znałem jednego Gumpa. A na imię jak masz?

- Forrest - mówię.

- O kurwa! - woła obcy i łapie się za baniak. - Mogłem się tego domyślić!

- Nie kapuję... a ty kto jesteś?

- Chryste Panie, Forrest! Nie poznajesz mnie? - pyta się. Więc doczołgłem się bliżej po słomie aż jego gębę miałem jak na dłoni.

- Jejku, ty jesteś...

- Nic dziwnego - przerywa mi gość. - Trudno oczekiwać, żebyś mnie rozpoznał. Trochę się ostatnio zaniedbałem - mówi, okropnie przy tym charkając i kaszląc.

- Ty jesteś porucznik Dan! - wołam, chwytam go za ramiona i wyściskuję.

Po chwili patrzę w jego oczy, a one są takie jak mgła, białe i mętne, jakby był ślepy albo co.

- Poruczniku Dan! - wołam. - Twoje oczy... co się stało...?

- Prawie nic nimi nie widzę, Forrest - on na to.

- Ale dlaczego? Co się stało?

- To długa historia - powiada.

Przyglądam mu się uważniej. Kurde, myślę sobie, ale ten Dan wygląda żałośnie. Chudy jak patyczak na diecie, zęby czarne i dziurawe, ubrany w brudne łachmany, z nogawków spodni sterczą nędzne kikuty...

- Ale głównie obwiniam Wietnam - ciągnie dalej mój przyjaciel. - Wiesz, tam nie tylko straciłem nogi, tam wszystko miałem uszkodzone, płuca, bebechy. I po latach ten Wietnam się odzywa... Hej, co tak śmierdzi? To ty? Zupełnie jakbyś się w gównie wytarzał!

- To długa historia - powiadam.

Nagle porucznik Dan dostał strasznego ataku kaszlowego. Bałem się że to mój zapach tak na niego działa, więc ułożyłem Dana wygodniej na słomie i polazłem do Wandzi na drugi koniec wagonu. Kurde flaki, ledwo mi się to mieściło w głowie! Biedny Dan wyglądał jak upiór co zszedł na psy. Przez chwilę dumam nad tym jak się doprowadził do takiego stanu, przecież miał

pełno forsy z naszej hodowli krewetków, ale potem myślę sobie: nie dumaj, Forrest, sam ci opowie. Po jakimś czasie Dan przestał wreszcie charkać i chyba znów się zdrzemł. A ja siedziałem z Wandzią i głowiłem się co z nami wszystkimi będzie.

Gdzieś po godzinie czy dwóch ciuchcia zwolniła. Porucznik Dan znów zaczął charkać i po tym charkaniu domyśliłem się że nie śpi.

- Dobra, Forrest - powiada jak się już wykaszła. - Czekaj nas wysiadka i to zanim pociąg stanie. Inaczej dyżurny wezwie gliniarzy, a ci nas zapudłują.

Zerkłem na zewnątrz przez szparę w drzwiach: wjeżdżaliśmy na jakąś wielką stację. Zobaczyłem pełno pordzewiałych wagonów, w większości towarowych ale nie tylko, pełno gazet i toreb i śmieci, które fruwały na wietrze.

- To jest Union Station - mówi Dan. - Wysprzątana specjalnie na nasz przyjazd.

W tym momencie pociąg się zatrzymał, a potem zaczął się wolno cofać.

- No dobra, Forrest, otwieraj szerzej drzwi i skacz.

Skoro kazał to otwarłem i skoczyłem. Świnia natychmiast się zaniepokoiła, podbiegła bliżej, wysunęła ryja na zewnątrz, więc chwyciłem ją za ucho i szarpłem w dół. Wylądowała z głośnym kwikiem. Wtedy wróciłem po Dana. Siedział tuż przy drzwiach. Wziąłem go za ramiona i delikatnie zniósłem na ziemię. Trzymał pod pachą swoje sztuczne nogi: brudne jak diabli i strasznie odrapane.

- Lepiej wleźmy pod jakiś wagon, zanim lokomotywa wróci i motorniczy nas dojrzy - mówi Dan.

Tak też zrobiliśmy.

Po długiej podróży dotarliśmy wreszcie do stolicy. Było w niej zimno jak w psiarni, wiatr hulał, a w powietrzu świrowały małe śnieżki.

- Przykro mi, stary - mówi po chwili Dan - ale obawiam się, że zanim ruszymy w miasto, będziesz musiał doprowadzić się trochę do porządku. Mijaliśmy przed chwilą sporą kałużę... może byś się w niej opłukał, co?

Więc zostawiłem Dana żeby przypiął sobie do kikutów sztuczne nogi, a sam poszedłem nad kałużę, rozebrałem się do rosołu, wlałem do brudnej wody i zacząłem zmywać z siebie warstwę świńskiego gówna. Nie było to łatwe, bo gówno zaschło prawie na kamień, zwłaszcza to we włosach, ale jakoś sobie w końcu poradziłem. Potem uprałem w kałuży ubranie i wciągnąłem je z powrotem na siebie. Coś wam powiem: są w życiu większe przyjemności niż kąpiel w kałuży i

paradowanie po zimnie w mokrych ciuchach. Ale nic. Kiedy wylazłem z wody, natychmiast wpakowała się do niej Wanda. Nie chciała być ode mnie gorsza.

- Chodźmy na stację - mówi Dan. - Przynajmniej w środku jest ciepło i szybciej wyschniesz.

- A co z Wandą? - pytam.

- Właśnie się nad tym zastanawiałem - on na to. - Mam pewien pomysł.

Kiedy się z Wandą kąpałiśmy, Dan znalazł przy wagonie kawałek sznurka i długi kij. Teraz przywiązał sznurek wokół Wandzinej szyi, do jednej ręki wziął smyczę, do drugiej kij i ruszyliśmy przed siebie. Cały czas postukiwał kijem w ziemię, a ja wybałuszałem gały i nie mogłem się nadziwić, bo wyglądał jak najprawdziwszy ślepiec. No, prawie jak najprawdziwszy.

- Może się uda - mówi do mnie. - Gdyby ktoś się czepiał, nie odzywaj się.

Dobra, wchodzimy do budynku stacji, a tam ludzi jak pszczoł w ulu, w większości elegancko ubranych. I wszyscy się na nas gapią.

Na pustej ławce, którą mijamy leży gazeta "The Washington Post", brudna i pognieciona, ale akurat otwarta na stronie gdzie pisze dużymi tłustymi literami: IDIOTA SPRAWCĄ GROŹNEGO WYBUCHU W WIRGINII ZACHODNIEJ. Sami rozumiecie - musiałem artykuł przeczytać.

THE WASHINGTON POST

"Jako polityk zetknąłem się z niejedną śmierdzącą sprawą" - powiedział Robert Byrd, wieloletni senator z Wirginii Zachodniej. Ale to, czego był świadkiem wczoraj w miasteczku górniczym Coalville, "pobiło wszelkie rekordy".

Senator Byrd, zagorzały poplecznik zarówno drobnej, jak i wielkiej przedsiębiorczości, stał na podium wraz z kilkunastoma notablami, wśród których znajdowali się przedstawiciele wojska i federalnej agencji ochrony środowiska, kiedy miasteczkiem wstrząsnął potężny wybuch metanu. Wszystko - i miasto, i ludzi - natychmiast pokryła cuchnąca warstwa gnoju.

Wybuch został spowodowany przez niejakiego Forresta Gumpa, człowieka cierpiącego na niedorozwój umysłowy. Pan Gump, nie mający stałego miejsca zamieszkania, prawdopodobnie zapomniał otworzyć zawór w elektrowni, zbudowanej za fundusze otrzymane od rządu federalnego, w której przerabiano gnój na prąd.

Naczelnik policji, Harley Smathers, streścił to, co się wydarzyło, w następujący sposób: “Nie umiem tego opisać. Na podium stali różni ważni ludzie. Po wybuchu nadal stali. Ale byli tak zaskoczeni, że przez chwilę nic nie mówili. Potem panie zaczęły krzyżeć i przeklinać, a panowie otrząsać się jak mokre psy. Wszyscy wyglądali jak filmowy potwór z bagien. Wreszcie ludzie chyba się domyślili, że winowajcą jest Gump, i rzucili się za nim w pościg. Zwiął jednak w okoliczne bagna i tam się skrył. Zdaje się, że miał współnika: wielkiego grubasa przebranego za świnię. Zgubiliśmy ich po zapadnięciu zmroku. W naszej okolicy nikt po zmroku nie wchodzi na bagna”.

- Masz jakąś forszę? - pyta się mnie Dan.

- Dziesięć albo piętnaście dolców - mówię. - A ty?

- Dwadzieścia osiem centów.

- Może byśmy poszli na śniadanie?

- Wiesz, co mi się marzy, Forrest? - mówi Dan. - Półmisek ostryg. Bez sensu byłoby wydać wszystko na śniadanie, ale... ale nawet nie wiesz, jak mnie kusi tuzin pięknych, tłustych ostryg! Podaliby je na kraszonym lodzie, obok postawiliby szklane miseczki z pokrojoną cytryną, tabasco, sosem worcestershire, chrzanem...

- Czemu nie? - mówię. - Chodźmy na ostrygi. Niby forsy dużo nie mamy, ale myślę sobie: a co tam!

Dawno temu, jak leżeliśmy w szpitalu w Wietnamie, porucznik Dan ciągle opowiadał o ostrygach. A teraz jest taki biedny i wynędzniały, niech się napcha ulubionym przysmakiem.

Dan o mało nie pęka z radości i od razu zaczyna szybciej klekotać sztucznymi nogami.

- Ciekawe, jakie tu serwują? - zastanawia się. - Z Assateague czy z Chincoteague? Właściwie to nie robi różnicy. Mogą nawet być z Chesapeake, chociaż osobiście wolę te z zachodniego wybrzeża, z Zatoki Puget albo odmiany oregońskie. Choć zdarzają się bardzo pyszne i w Zatoce Meksykańskiej, tam skąd ty pochodzisz! Podobnie w Bon Secour, w Haron albo koło Apalachicola na Florydzie! Mówię ci, stary, palce lizać!

Idziemy po marmurowej podłodze w stronę tablicy z napisem “Bar ostrygowy”, Dan trąkocze cały szczęśliwy, ślinka mu leci z pyska... I nagle tuż przed wejściem do baru zaczepia nas policjant.

- Ej, pajace, dokąd to? - pyta się.

- Na śniadanie - odpowiada Dan.

- Tak? A świnia co tu robi?

- To nie jest zwykła świnia, panie władzo - mówi Dan. - To specjalnie szkolony przewodnik dla niewidomych.

Gliniarz wpatruje się Danowi w twarz i wreszcie powiada:

- Nawet wygląda pan na ślepcę, ale obawiam się, że nie wolno po Union Station spacerować ze świnią. To wbrew przepisom.

A Dan na to:

- Przewodnik dla niewidomych nie może być wbrew przepisom, a ta świnia to mój przewodnik.

- Słyszałem o psach-przewodnikach. Ale pierwsze słyszę o świni - mówi gliniarz.

- Właśnie ma pan taką przed sobą - tłumaczy mu Dan. - Wanda służy mi za oczy, prawda, Wanduśka?

Poklepał zwierzę po głowie. Świnia kwikła raz, za to głośno.

- No, nie wiem - powiada gliniarz. - Nigdy się z czymś takim nie zetknąłem. Jakoś mi podejrzanie obaj wyglądacie. Pokażcie lepiej swoje prawa jazdy.

- Prawa jazdy?! - oburza się Dan. - A kto by dał ślepemu prawo jazdy?

Przez chwilę gliniarz duma, potem wskazuje paluchem na mnie.

- No dobrze, a on?

- On?! - ryczy Dan. - On jest niedorozwinięty umysłowo! Pan by dał wariatowi prowadzić wóz po Waszyngtonie?

- Co on taki mokry? - pyta się policjant.

- Bo tuż przed dworcem wpadł do wielkiej kałuży. Jak tak można narażać podróżnych? Powinno się was podać do sądu!

Gliniarz drapie się po łbie, pewnie próbuje wykombinować co zrobić żeby nie wyjść na durnia.

- No dobra - mówi wreszcie. - Ale jeśli facet jest idiotą, może powinien być w zakładzie, a nie pałętać się po stacji? Czego tu szuka?

- Niczego. To jego świnia - wyjaśnia Dan. - A on sam jest najlepszym na świecie treserem świń-przewodników. Może nie grzeszy rozumem, ale akurat tę jedną rzecz wykonuje bez pudła.

Świnie to mądre bydlaki, mądrzejsze od psów, a często nawet od ludzi. Potrzebują jednak dobrego tresera.

W tym momencie Wanda głośno zakwikała, a potem - kurde flaki! - sikła prosto na piękną marmurową podłogę.

- Tego za wiele! - ryknął gliniarz. - Nie mam zamiaru was dłużej słuchać. Wynocha stąd, łachudry!

Chwycił nas za kołnierze i zaczął ciągnąć w stronę drzwi. W całym tym rabaniu porucznik Dan wypuścił z ręki smyczę. Po chwili gliniarz przypomina sobie o świni. Odwraca się i nagle baranieje. Wanda stoi jakieś dwadzieścia metrów za nami, swoimi małymi żółtymi oczkami świdruje wroga, kopie racicą dworcowe marmury, a jak prycha przy tym, jak chrząka! I wtem bez żadnych dodatkowych ostrzeżeń rusza do ataku. Wszyscy wiemy, i ja i Dan i gliniarz, kogo chce rozpłaszczyć na ścianie.

- O Boże! O Boże! - wrzeszczy gliniarz i daje dyla.

Pozwoliłem Wandzi przebiec się kawałek, a potem zawołałem ją do nogi. Kiedy ostatni raz go widzieliśmy gliniarz sadził w stronę pomnika Waszyngtona. Dan podniósł koniec smyczy i wyszliśmy na ulicę, ja normalnie, on stukając kijem w bruk.

- Czasem trzeba walczyć o swoje prawa - powiada mój przyjaciel Dan.

Spytałem Dana co ma dla nas w planach, a on na to że musimy dojść do parku Lafayette'a, który się mieści naprzeciwko Białego Domu, bo to najładniejszy park publiczny w mieście i że każdy, więc my też, może sobie w nim mieszkać jak długo ma ochotę.

- Trzeba tylko zdobyć kawał dykty i coś na niej napisać. Każdy z transparentem jest automatycznie legalnym demonstrantem i nikt się go nie czepia. Może siedzieć w parku do usranej śmierci.

- A co napiszemy?

- Wszystko jedno - mówi Dan. - Byleby wbrew polityce prezydenta.

- To znaczy? - pytam się.

- Spokojna głowa, coś wymyślimy.

No więc znalazłem brudny kawał tektury, a za dwadzieścia pięć centów kupiliśmy czerwoną kredkę.

- Napiszemy: "Kombatanci z Wietnamu przeciwko wojnie" - mówi Dan.

- Przecież wojna się skończyła - ja na to.

- Nie dla nas.

- Ale minęło dziesięć lat...

- No to co? - złości się Dan. - Powiemy, że tkwimy tu już od jedenastu.

No i faktycznie, naprzeciwko Białego Domu jest park, a w tym parku pełno różnych protestantów, włóczęgów i żebraków. Wszyscy mają transporenty, niektórzy krzyczą coś do prezydenta, który mieszka po drugiej stronie ulicy. Oprócz transporentów większość parkowiczów ma nieduże namioty albo kartonowe pudła co służą za mieszkania. Na środku trawnika jest fontanna skąd można brać wodę, a dwa czy trzy razy dziennie wszyscy zrzucają się do kupy i zamawiają tanie kanapki i zupę.

Dan i ja przysiedliśmy sobie w rogu. Jeden z parkowiczów pokazał nam gdzie się mieści sklep z gospodarstwem domowym i poradził żebyśmy się tam wybrali przed wieczorem po kartony. Najlepsze są te po lodówkach. Inny mieszkaniec parku powiedział że zimą przyjemniej się tu mieszka niż latem, bo jak tylko się robi cieplej to służba parkowa specjalnie włącza w nocy spryskiwacze do trawy żeby przepędzić koczowników. Park Lafayette'a widziałem dawno temu, ale wtedy było tu trochę inaczej. Nawet nie tyle park się zmienił co dom prezydenta. Teraz odgradzał go wysoki żelazny płot, co kilka metrów stały betonowe słupki, a dokoła spacerowała banda uzbrojonych strażników. Zupełnie jakby prezydent przestał lubić gości.

Dan i ja zaczęliśmy udawać żebraków, ale przechodnie nie mieli ochoty dzielić się z nami forszą. Do wieczora zbieraliśmy ze trzy dolce czy koło tego. Trochę się dręczyłem o Dana, bo był z niego taki chuchrak i tak strasznie charkał i w ogóle, ale przypomniałem sobie jak po powrocie z Wietnamu wzięli go do szpitala dla kombatantów i ładnie podleczyli.

- Nic z tego, Forrest. Nie pójdę tam. Leczyli, leczyli i zobacz, co ze mnie zrobili!

- Ale Dan - mówię. - Dlaczego masz cierpieć? Jesteś jeszcze młody facet.

- Młody facet? Raczej, kurwa, chodzący trup! Kretynie, czy ty tego nie widzisz?

Próbowałem go namówić, ale zaparł się kikutami. Powiedział że nie pójdzie do żadnego szpitala i już. No dobra. Nadeszła noc, w parku zrobiło się cicho. Gramolimy się do kartonów. Dla Wandy też szukałem pudła, ale potem machnąłem ręką. A niech świnia śpi z Danem, pomyślałem sobie, przynajmniej będzie mu ciepło.

- Forrest - mówi po jakimś czasie Dan - pewnie myślisz, że cię okradłem, co? Że zabrałem forszę z firmy?

- Nie wiem, Dan. Tak niektórzy powiadają.

- Niczego nie buchnąłem. Słowo. Kiedy odchodziłem, nie było już nic do wzięcia.

- Aż tym samochodem to prawda? Że razem z jakąś kobietą odjechałeś spod biura wielką limuzyną? - Musiałem o to spytać.

- Tak - on na to. - Wynająłem wóz za ostatnie grosze. Pomyślałem sobie: do diabła, jedno małe szaleństwo, zanim będę całkiem spłukany!

- To co się stało, Dan? Przecież krewetki przynosiły nam kupę szmalu. Gdzie się podziały te wszystkie pieniądze? - pytam go.

- Tribble - on na to.

- Pan Tribble?

- Tak. Zwiął skurwiel z forszą. To znaczy głowy nie dam, ale nikt inny nie mógł tego zrobić. Tribble prowadził księgowość, a po śmierci twojej mamy zarządzał całą firmą. Któregoś dnia przychodzi i mówi, że w tym tygodniu nie starczy pieniędzy na pensje, ale żeby się nie martwić, bo za kilka dni na pewno wpłyną. A potem zanim się ktokolwiek obejrzał, skurwysyn rozpułnął się jak kamfora.

- Niemożliwe - ja na to. - Pan Tribble jest człowiekiem uczciwym do szpiku kości!

- Jak każdy szachista, tak? Przejrzyj na oczy, stary - powiada Dan. - Ten facet to był kawał drania. Słuchaj, masz mnóstwo zalet, ale wiesz, jaka jest twoja główna wada? Za bardzo wszystkim ufasz. Nawet ci do głowy nie przychodzi, że są ludzie, którzy zawsze każdego muszą oszukać. Patrzy taki cwaniak na ciebie i od razu sobie myśli: frajer, naiwniak! A ty traktujesz go jak kumpla. Niesłusznie, Forrest. Świat nie jest tak skonstruowany. Żyją w nim dobrzy ludzie, ale również i tacy, którzy jak lichwiarz na widok klienta z miejsca główkują, jak by tu go oskubać. Po prostu tak jest i nie ma na to rady.

Potem Dan zaczął charkać i prychać i dopiero po jakimś czasie udało mu się zasnąć. Kiedy zrobiło się cicho, wystawiłem łeb z kartonu i spojrzałem na niebo. Noc była zimna, pogodna, w górze świeciły gwiazdy. Już chciałem wsunąć się z powrotem do pudła, kiedy nagle okryła mnie taka ciepła mgiełka. Patrzę i widzę Jenny, która stoi przede mną i się uśmiecha!

- Oj, Forrest, Forrest - mówi - tym razem naprawdę dałeś dupy.

- Nie da się ukryć - powiadam.

- Wszystko było na najlepszej drodze, nawet chciano was odznaczyć. I co? Tak bardzo przejąłeś się ceremonią, że zapomniałeś odkręcić zawór. I stało się nieszczęście...

- Wiem - ja na to.

- A mały Forrest? - pyta Jenny. - Sądziś, że jak zareaguje, kiedy się o wszystkim dowie?
- Nie wiem - mówię.
- Myślę, że będzie bardzo zawiedziony. Bądź co bądź przetwarzanie gnoju na prąd to był jego pomysł.

- Wiem.

- A nie uważasz, że wypadałoby go o wszystkim powiadomić? - pyta się mnie. - Przecież wybierał się do ciebie na święta.

- Chciałem jutro zadzwonić - mówię. - Od wybuchu nie miałem czasu.

- Dobrze, ale nie zapomnij - ona na to. Widziałem że jest na mnie trochę zła i tak z ręką na sercu, ja też nie byłem z siebie zbyt zadowolony.

- Pewnie znów wyszłem na głupka, co? - pytam się jej.

- Nie da się ukryć. Swoją drogą strasznie śmiesznie wyglądałeś, kiedy utyłany gnojem gnałeś po polu, a za tobą pędził tłum ludzi i stado świń.

- Tak, widok musiał być niezły. Ale wiesz co, Jenny? Liczyłem na ciebie. Że mi jakoś pomożesz, że mnie uprzedzisz...

- Pomogłabym, Forrest - ona na to. - Ale akurat nie ja miałam wtedy dyżur.

A potem mgła się rozplynęła i znów zobaczyłem niebo. Duża srebrzysta chmura przysłoniła gwiazdy. Ostatnia rzecz, którą pamiętam przed zaśnięciem to radosne chrząknięcie z kartonu, który Dan dzielił z Wandzią.

Nazajutrz wstałem raniutko jak skowronek, znalazłem budkę telefoniczną i zadryndałem do Mobile. Mały Forrest wyszedł już do szkoły, więc opowiedziałem pani Curran o swoich pierepąkach w Coalville. Mama Jenny nie bardzo umiała się w tym wszystkim połapać, więc powiedziałem jej że zadryndam jeszcze raz wieczorem.

Kiedy wracałem do parku, już z daleka widziałem że porucznik Dan kłóci się z jakimś gościem w mundurze piechoty morskiej. Z odległości nie słyszałem co mówią, ale od razu skapowałem się że nie gadają jak przyjaciele, bo porucznik Dan wygrażał tamtemu, a tamten wygrażał porucznikowi Danowi. No nic. Podchodzę do swojego kartonu. Na mój widok Dan mówi do gościa w mundurze:

- A jak ci się nie podoba, to mój kumpel Forrest da ci w ryj!

Gość odwraca się, mierzy mnie wzrokiem od czubka buta do czubka głowy, a potem szczyrzy z wyższością pysk. Kurde, ale ma szpary między zębami! Poza tym że ma szpary, to jest oficerem i w łapie trzyma teczkę.

- Pułkownik Oliver North - przedstawia się. - A ty, osiłku, coś za jeden?

- Ja? Ja jestem Forrest Gump - mówię. - I nie wiem o co chodzi, ale jak porucznik Dan mówi żeby dać w ryj, to daję.

Pułkownik North jeszcze raz wlepia we mnie gały, a potem nagle kiwa łbem jakby go co olśniło. Muszę przyznać że elegancik z niego: mundur leży jak ulał, buty lśnią jak wypastowane, a kłata piersiowa aż mu się mieni od kolorowych wstążeczek.

- Gump? - pyta się pułkownik. - Ten sam Gump, któremu prezydent dał Medal of Honor za zasługi w Wietnamie?

- Ta, to on - powiada Dan, a Wanda, która wciąż siedzi w pudle, potwierdza jego słowa głośnym chrząknięciem.

- Cóż to było, u diabła? - dziwi się pułkownik North.

- To Wanda - mówię.

- Trzymacie w kartonie dziewczynę?

- Wanda to świnia - tłumaczę.

- Nie wątpię - mówi pułkownik North. - Żadna porządna dziewczyna nie zadawałaby się z takimi lumpami jak wy. Dlaczego protestujecie przeciwko wojnie?

- Bo łatwiej protestować przeciwko czemuś, czego nie ma, durna pało - powiada Dan.

Pułkownik North drapie się chwilę po brodzie, duma a potem kiwa makową.

- No tak, racja. Słuchaj, Gump - zwraca się do mnie. - Dlaczego taki facet jak ty, odznaczony przez prezydenta, mieszka w parku jak włóczęga, co?

Chciałem mu opowiedzieć o świńskiej farmie koło Coalville i co się z nią stało, ale potem pomyślałem sobie: e tam, za bardzo to skomplikowane, więc tylko rzekłem:

- Dlatego że firma mi splajtowała.

- Powinieneś być zostać w wojsku - on na to. - Byłeś przecież bohaterem wojennym. Trzeba pomyśleć zanim się coś zrobi.

Pułkownik znów się zamyśla, mruży oczy i przez dobrą minutę wpatruje się w chałupę prezydenta po drugiej stronie ulicy, a potem spogląda na mnie i mówi:

- Wiesz, Gump, chyba miałbym dla ciebie pracę. Zajmuję się pewną dość poufną sprawą i sądzę, że mógłby mi się przydać taki człowiek jak ty. Masz chwilę, żeby udać się ze mną naprzeciwko i wysłuchać mojej propozycji?

Zerkłem na Dana, a on kiwnął łbem. Zresztą i tak nie miałem nic lepszego do roboty.

Rozdział 6

Piersza rzecz jaką pułkownik North mówi, kiedy zostawiamy Dana to:

- Strasznie wyglądasz. Trzeba doprowadzić cię do ładu. I doprowadził. Najpierw zabrał mnie do jakiejś jednostki wojskowej i kazał wyszukać dla mnie nowiutki mundur szeregowca, potem zabrał mnie do łaźni i kazał mi się wykapać, a na końcu poszliśmy do fryzjera, któremu kazał mnie ostrzyć i ogolić. Kurde, po tych wszystkich zabiegach lśniłem na odległość! I czułem się jakbym znów był w woju.

- No lepiej, znacznie lepiej - powiada pułkownik North. - Odtąd, Gump, wszystko masz mieć na wysoki połysk: buty, pasek, nawet dziurkę w dupie. Zrozumiano?

- Tak jest, panie pułkowniku - ja na to.

- A teraz, Gump, mianuję cię specjalnym pomocnikiem do tajnych operacji. Ale choćby nie wiem co się działo, nie wolno ci o tym nikomu pisać słowa. Zrozumiano?

- Tak jest, panie pułkowniku.

Wchodzimy do Białego Domu.

- Słuchaj, Gump - mówi pułkownik North. - Idziemy zobaczyć się z prezydentem Stanów Zjednoczonych. Masz pamiętać o dobrych manierach. Zrozumiano?

- Już go kiedyś widziałem - ja na to.

- W telewizji?

- Nie, tutaj - powiadam. - Osiem czy dziesięć lat temu.

- Teraz jest już inny prezydent - tłumaczy mi pułkownik. - Na pewno go nigdy nie spotkałeś. Aha, nie słyszy zbyt dobrze, więc gdyby cię o coś pytał, mów głośno i wyraźnie. - A po chwili dodaje: - Zresztą i tak co mu jednym uchem wpada, zaraz wypada drugim.

No dobra. Weszliśmy do pokoju o okrągłych ścianach, w którym siedział przy biurku prezydent, no i faktycznie nie był to żaden z tych prezydentów których poznałem, tylko ktoś zupełnie inny. Starszy od tamtych, o różowych polikach i dobrotliwym spojrzeniu. Wyglądał jakby kiedyś był kowbojem albo aktorem czy kimś.

- Cieszę się, panie Gump, że mogę pana poznać - powiada do mnie. - Wiem od pułkownika Northa, że otrzymał pan Medal of Honor.

- Tak, proszę pana.

- A czym pan sobie na niego zasłużył, jeśli wolno spytać?

- Tym że mam parę w nogach - mówię.

- Słucham? - pyta prezydent.

- Powiedział: tym, że ma parę w nogach - wtrąca się do rozmowy pułkownik North. - Ale nie powiedział, że ta para w nogach pozwoliła mu wynieść poza linię ognia pięciu czy sześciu rannych kolegów.

- Nie mów za pana Gumpa, Ollie - powiada prezydent. - Powinieneś się tego oduczyc.

- Przepraszam, panie prezydencie. Chciałem jedynie uzupełnić jego wypowiedź. Żeby miał pan jasny obraz sytuacji.

- Ja zawsze mam jasny obraz sytuacji - oburza się prezydent. - Przecież nie cierpię jeszcze na sklerozę. A swoją drogą, pułkowniku North, czy ja pana już kiedyś nie widziałem?

Wreszcie przeszliśmy do interesów.

W rogu pokoju stało włączone telepuddło, leciał akurat teleturniej "Koncentracja". Pomyślałem sobie że pewnie przeszkodziliśmy prezydentowi w oglądaniu programu.

- Wyłącz to świństwo, Ollie - mówi prezydent do pułkownika Northa. - Strasznie mnie ta "Koncentracja" rozprasza.

- Ja osobiście wolę "Zgadnij cenę" - powiada North.

- Ostatnim razem jak tu byłem - wtrącam się do rozmowy - to prezydent oglądał "Prawdę i tylko prawdę". Ale to było dawno temu.

- Akurat za "Prawdę" nie przepadam - mówi North.

- Dobra, nie traćmy czasu na omawianie teleturniejów - powiada prezydent. - Gadaj, Ollie, co ci leży na sercu.

- No więc chodzi o tego skurwysyna ajatollaha w Iranie, panie prezydencie... Można by go wystrychnąć na dudka, a jednocześnie odbić naszych zakładników. Przy okazji załatwić tych komuchów w Ameryce Środkowej. To jedyna i niepowtarzalna okazja, panie prezydencie.

- Tak? A jak to sobie wyobrażasz, Ollie? - pyta prezydent.

- Potrzeba jedynie trochę taktu i trochę dyplomacji - powiada pułkownik. - Plan jest następujący...

Przez kilka godzin pułkownik North tłumaczył panu prezydentowi swój plan. W trakcie pułkownikowej gadki pan prezydent ze dwa razy się zdrzemł i pułkownik musiał przerywać i budzić pana prezydenta. Łaskotał go w nos ptasim piórkiem, które nosił w tym celu w kieszeni. Ja sam zupełnie nie mogłem się pokapować w pułkownikowych planach, bo po piersze wszystko

było strasznie skomplikowane, a po drugie pułkownik wyrzucał z siebie stopy dziwnych nazwisk co się w ogóle nie dawały wymówić. Kiedy skończył byłem tak samo głupi jak na początku, ale pomyślałem sobie że może przynajmniej prezydent coś zrozumiał.

- No dobrze, Ollie - mówi prezydent. - To wszystko brzmi bardzo ciekawie. Ale wyjaśnij mi proszę, co ma ajatollah z tym wspólnego?

- Jak to co? - dziwi się pułkownik. - Cały plan się na nim opiera! Sprzedajemy Iranowi broń, oni zwalniają naszych zakładników, a my za uzyskane pieniądze finansujemy działania *guerillas* w Nikaragui. To majstersztyk, panie prezydencie!

Zacząłem dumać co to za goryle co je trzeba finansować i w ogóle, a na myśl o małpach przypomniał mi się mój orangut Zuzia.

Pocziwy stary Zuzia.

- No cóż, Ollie - powiada prezydent. - Trochę mi to wygląda na nieczysty interes, ale jeśli uważasz, że tak trzeba... Tylko pamiętaj, nie może być mowy o wymianie zakładników na broń. Jasne?

- Zostanie pan bohaterem narodowym, panie prezydencie - obiecuje pułkownik North.

- Jeszcze jednej rzeczy nie rozumiem - mówi prezydent. - Jaka jest w tym rola pana Gumpa?

- Otóż, panie prezydencie, moim zdaniem, największym zagrożeniem dla naszego narodu są ciemnota oraz apatia, a obecny tu szeregowy Gump stanowi najlepszy dowód na to, że obie te cechy można pokonać. Dlatego uważam go za niezwykle cenny nabytek.

Prezydent patrzy się na mnie jakby nic nie kapował.

- Co on gada? - pyta się mnie. - Jaka ciemnota, jaka apatia?

- Nie mam zielonego - mówię. - I właściwie guzik mnie to obchodzi.

Prezydent drapie się po łbie, po czym wstaje i włącza telepudło.

- Rób co chcesz, Ollie - mówi do pułkownika Northa. - A teraz przepraszam, ale zaczyna się teleturniej "Ubić interes".

- To bardzo ciekawy program - powiada pułkownik North.

- Najbardziej lubiłem "Zostań królową dnia", ale przestali puszczać - skarży się prezydent.

- Hm, to my już pójdziemy - mówi pułkownik North. - I niech się pan o nic nie martwi. Szeregowy Gump i ja wszystkim się zajmujemy. I zapewniamy, że przyniesiemy chlubę panu i ojczyźnie.

Ale prezydent miał w nosie chlubę. Gapił się w telepułdło i w ogóle Northa nie słuchał.

Wróciłem z pułkownikiem Northern do parku Lafayette'a. Po drodze strasznie się głowiłem nad tym co zrobić z Danem i Wandą, bo przecież nie mogłem ich zostawić samych w pudle pod gołym niebem. Jeśli chodzi o Dana, pułkownik North mówi że wszystko już obmyślił: każe go wziąć na obserwację do szpitala dla kombatantów. Zanim się kąpnę co się dzieje podjechała wielka karetka, sanitariusze wciągli Dana do środka i tyle żem go widział.

Jeśli chodzi o Wandę, pułkownik North też już wszystko obmyślił: trzeba, powiada, umieścić ją tymczasowo w zoo.

- W razie gdyby nas aresztowano, posłużę jako dowód rzeczowy.

- To ktoś nas będzie aresztował? - pytam.

- Nigdy nic nie wiadomo, Gump - pułkownik North na to.

Powiedziałem pułkownikowi że muszę zobaczyć się z małym Forrestem zanim zaczniemy się rozbijać po całym świecie, a on na to że w porządku i żebym sobie wziął prezydencki samolot.

- Temu skurwielowi dziś nie będzie potrzebny - mówi.

Inaczej jest jak się przylatuje gdzieś prezydenckim samolotem niż jak się przylatuje normalnym. Kiedy wysiadłem, na lotnisku powitała mnie orkiestra. Następnie wielka limuzyna zawiozła mnie do pani Curran. Tam przed domem kotłował się tłum. Na mój widok pani Curran wyszła na zewnątrz. Ale mały Forrest stał za siatkowymi drzwiami i nie ruszał się z miejsca, zupełnie jakby nie chciał się ze mną widzieć. No i nie chciał, co się okazało natychmiast jak weszłem do środka.

- A nie mówiłem, żebyś przynajmniej dwa razy dziennie sprawdzał ciśnienie? - pyta się mnie.

- Mówiłeś. I jak bum-cyk-cyk miałeś rację!

- Jasne, że miałem. A ty wszystko zniszczyłeś. Mogliśmy być milionerami, a jesteśmy pewnie dziadami, no nie?

- Zgadza się, synu - mówię.

- Nie nazywaj mnie synem! - oburza się mały. - Nigdy mnie tak nie nazywaj! Nie jestem twoim synem!

- Ale...

- Nie jestem i już! To było takie proste, wystarczyło przekręcić wajchę. A ty...

- Przykro mi, Forrest - mówię do dzieciaka - ale nic już na to nie poradzimy. Było, minęło, trzeba zapomnieć i zająć się czym innym.

- Tak? A czym? - pyta mój syn. - Dlaczego jesteś w mundurze? Wstąpiłeś do wojska czy co?

- No tak jakby. Zresztą kiedyś już byłem w woju - powiadam.

- Podobno.

- Muszę coś zrobić dla pułkownika Northa. Prosił mnie, a nie wypada odmawiać.

- Pewnie - chłopiec na to. - Skoro wszystko inne spieprzyłeś...

Kiedy się odwrócił, zobaczyłem że trze piąstką oko jakby wycierał łzę. Aż mnie coś zabolalo w sercu. Dzieciak wstydził się że jest moim synem. Miał rację, no bo kurde flaki, jak można być takim fajtłapem!

- A co z Wandą? - pyta się mnie po chwili. - Pewnie jest u rzeźnika, przerobiona na mięso?

- Nieprawda - ja na to. - Mieszka w Waszyngtonie. W tamtejszym zoo.

- I pewnie wszyscy wytykają ją palcami i się zaśmiewają, co?

- Nie, wcale nie. Pułkownik obiecał że będzie miała luksusowe warunki.

- Aha, już to widzę.

I tak mniej więcej toczyła się ta nasza rozmowa. Mały Forrest wcale nie cieszył się z mojej wizyty, więc w sumie czułem się jak zbity psisko. Tylko jedna rzecz pod sam koniec wizyty dodała mi ciutkę otuchy. Byłem już w drzwiach kiedy dzieciak spytał:

- Swoją drogą, musiał być niezły widok, kiedy to gówno wystrzeliło w powietrze!

- Tak, było na co popatrzeć.

- Nie wątpię - mały na to.

Chyba w tym momencie nawet się uśmiechnął, ale nie byłem do końca pewny.

No i poleciliśmy do Iranu.

A dokładniej - do takiego dużego miasta, w którym większość domów miała na dachach coś jakby bulwy albo odwrócone do góry nogami rzepy, a mieszkańcy chodzili w długich czarnych szmatach i zawijasach na łąkach i wyglądali potwornie groźnie.

Najgroźniej ze wszystkich wyglądał ten ich ajatol.

Jak nas świdrował gałami! A jaką srogą miał gębę! Nie chciałem go spotkać w ciemnej uliczce.

- Pamiętaj, Gump: takt i dyplomacja - szepcze do mnie pułkownik North. - Tylko to się liczy.

Potem wyciąga grzecznie grabę żeby się przywitać z panem ajatolem, ale ten siedzi z pokrzyżowanymi na piersi rękami i bez słowa świdruje pułkownika.

Pułkownik patrzy na mnie i mówi:

- Chryste, ale dziwak z tego sukinsyna. Uścisk dłoni to przecież normalna forma powitania.

Za ajatolem stoi dwóch facetów w takich ni to pieluchach ni to szarawarach, za paski mają wetknięte długie szable. Jeden z nich zerka na nas i powiada:

- Nie radzę wam mówić o ajatollahu "sukinsyn". Jeszcze się domyśli, co to znaczy, i każe odrąbać wam głowy.

Myślę sobie: słusznie gada.

Ale nic. Chcę przełamać piersze lody, więc pytam się pana ajatola czy zawsze się tak krzywi i zezuje na wszystkich wilkiem? A jeśli tak to dlaczego?

- Dlatego - powiada ajatol - że od trzydziestu lat próbuję zostać przewodniczącym Światowej Rady Kościołów, a te pogańskie dupki nie chcą mnie nawet przyjąć na członka! Przecież nie ma bardziej religijnego człowieka ode mnie!

- Co tak panu na tym zależy? - pytam go.

A on na to:

- A zależy! Mam swoją godność i nie dam sobą pomiatać! Zresztą kim oni są, te ścierwa zasrane, żeby odmawiać mi członkostwa w Światowej Radzie? Jestem ajatollahem! A ajatollah to gruba ryba! Rozumiesz, tępaku?

- Ej, chwileczkę - wtrąca się pułkownik North. - Może mój asystent Forrest nie jest najbystrzejszym z ludzi, ale to jeszcze nie powód, żeby go obrażać.

- Pocałuj mnie w dupę - powiada gniewnie ajatol. - Jestem ajatollahem i mogę mówić, co mi się podoba.

- A ja jestem pułkownikiem amerykańskiej piechoty morskiej i nikogo nie całuję w dupę - mówi North.

Na to ajatol wali się łapami po udach i głośno ryczy ze śmiechu.

- Bardzo dobrze, pułkowniku, bardzo dobrze! Coś mi się zdaje, że ubijemy interes.

Pułkownik North zaczął wyjaśniać swój plan.

- A więc chodzi o to, że paru pańskich ludzi w Libanie porwało paru naszych i trzyma ich jako zakładników. Dla prezydenta Stanów Zjednoczonych jest to niezwykle żenująca sytuacja.

- Tak? - powiada ajatol. - To dlaczego ich nie odbijecie?

- To nie takie proste - mówi North.

Ajatol w śmiech.

- Naprawdę? Wiem co nieco na ten temat. O tak! Pamięta pan, co się stało, kiedy wasz poprzedni prezydent, ten to był dopiero pierdoła, próbował ukraść nam zakładników? Zaraz, zaraz, jak on się nazywał...?

A North na to:

- Nieważne. Już nie urzęduje w Białym Domu.

- Tak. O tym też co nieco wiem - powiada ze śmiechem tamten i znów się trzepie po udach.

- No może - mówi pułkownik. - Ale przejdźmy lepiej do interesów. W końcu czas to pieniądz.

- Czym jest czas dla ajatollaha? - pyta ajatol i unosi łapska do góry.

Na co jeden z facetów z szablą i w szarawarach uderza dwa razy w wielki gong podobny do tego, który pani Hopewell, żona wiceprezesa od coli, miała u siebie w pokoju do masażu.

- A skoro mowa o czasie, najwyższy czas coś przekąsić - ciągnie ajatol. - Mam nadzieję, że panowie są głodni.

- Jeszcze jak! - ozywiam się.

Pułkownik North kuksnął mnie w bok, ale ajatol ucieszył się i wrzeszczy:

- No to czym chata bogata!

Do sali wbiegło stu Arabów czy koło tego, każdy z tacą lub talerzem pełnym dziwnego żarła. Zupełnie się nie mogłem pokapować w ichniejszej wałówie. Oliwki, owoce, sterty czegoś

co wyglądało jak kielbuchy owinięte liśćmi kapusty, jakiś twaróg, diabli wiedzą co jeszcze. Ułożyli wszystko na wielkim perskim dywanie i stanęli z boku z łapami pokrzyżowanymi na piersiach.

- Panie Gump, czym mogę panu służyć? - pyta się mnie ajatol.

- Może kanapką z szynką - odpowiadam.

- Na brodę Allaha, co pan mówi?! - oburza się ajatol. - Stanowczo sobie wypraszam! Tu nikt od trzech tysięcy lat nie miał w ustach wieprzowego mięsa!

Pułkownik North łypie na mnie wściekłym wzrokiem. Kątem oka widzę jak dwaj szarawańcy wyciągają z gaci szable. Kurde balas, myślę sobie, pewnie jakąś gafę strzeliłem, więc czym prędzej się poprawiam:

- Albo kilka oliwków czy coś...

Jeden ze służących Arabów nałożył mi na talerz stos oliwków - do wyboru, do koloru. I bardzo dobrze, pomyślałem sobie, w końcu na świńskiej farmie najadłem się tyle szynki że mi się dotąd odbija.

Pułkownik North również dostał talerz z zarcieciem. Zaczyna jeść paluchami i przy każdym kęsie głośno ocha i acha. Ja wpierniczam oliwki. Ajatol nie brudzi sobie rąk, je ładnie, widelcem, a na mnie i pułkownika patrzy trochę zdziwiony. Kiedy skończyliśmy wszamniać i Araby zabrały talerze, pułkownik North znów wraca do tematu zakładników.

- Niech pan słucha - mówi do gospodarza. - Ja i pan Gump możemy wam dostarczyć dość rakiet, aby wysadzić w powietrze połowę chrześcijańskiego świata. Ale jeśli chce pan dostać chociaż jedną, musi pan przekonać tych świrów w Libanie, żeby puścili wolno naszych ludzi. To co, umowa stoi?

- Ajatollah nie wchodzi w układy z Szatanem - powiada ajatol.

- Tak? To dlaczego sami nie produkujecie rakiet?

- Nie mamy czasu - mówi ajatol. - Jesteśmy zbyt zajęci modłami.

- Tak? To wymódlcie sobie rakiety! - woła pułkownik i zaczyna rzeć, strasznie z siebie zadowolony.

Ajatol naburmuszył się jak chmura gradowa, a ja zaczęłem się bać że przez takt i dyplomację pułkownika Northa wpadniemy w gówno po uszy. Pomyślałem więc sobie że trzeba rozładować napięcie, najlepiej jakimś żartem.

- Przepraszam panie ajatollah - mówię. - Zna pan ten kawał o pijaku na jednokierunkowej ulicy?

- Nie.

- No więc jedzie pijak jednokierunkową ulicą. Zatrzymuje go policjant i mówi: "Panie, nie widział pan strzałek?" A pijak na to: "Strzałki? To tu, kurwa, Indianie z łuków strzelają?"

- Na miłość boską, Gump... - syczy pułkownik.

Ale ajatol wybucha śmiechem, wali się łapskiem po kolanie, tupie nogą, no i ogólnie bardzo się cieszy.

- Widzę, panie Gump, że ma pan poczucie humoru - mówi do mnie. - Może byśmy się przeszli po ogrodzie?

No to wstałem i ruszyliśmy razem do drzwi. Zanim wyszłem na zewnątrz, zerknęłam przez ramię na pułkownika. Wyglądał jak jakiś niedorozwój czy co, kiedy tak stał z rozdziawioną gębą.

- Coś panu powiem, panie Gump - mówi ajatol, kiedy się oddaliliśmy od pułkownika. - Nie podoba mi się ten pański kolega. Jest zbyt cwany jak na mój gust. Podejrzewam, że chce mi wyciąć jakiś numer.

- Bo ja wiem? Chyba nie. Moim zdaniem to uczciwy gość.

- Uczciwy, nieuczciwy, wszystko jedno - powiada ajatol. - Chodzi o to, że nie mam czasu słuchać tych jego bajerów. Muszę lecieć się modlić. Więc niech mi pan powie... Broń w zamian za zakładników. Co pan o tym sądzi?

- Nie za bardzo się na tym znam. Ale jeśli to uczciwa wymiana, to czemu nie? Prezydentowi się pomysł podobał. Tylko jak mówię, to nie moja działka.

- Nie pana działka... a czym się pan zajmuje, panie Gump? - pyta się ajatol.

- Zanim tu przyjechałem hodowałem świnie - odpowiadam.

- Na brodę proroka! - mruczy pod nosem ajatol, po czym zaciska ręce i wywraca oczy do góry nogami. - Allahu, kogoś mi przysłał? Handlarza świniną?!

- Ale tak w ogóle to jestem wojakiem - dodaję szybko.

- No, to już trochę lepiej - ajatol na to. - Więc z pozycji wojskowego niech mi pan powie, w jaki sposób te rakiety mogą pomóc staremu ajatollahowi zwalczyć niewiernych w Iraku?

- Nie mam zielonego.

- O, właśnie taką odpowiedź ajatollah cenil. A nie tę gadkę szmatkę, jaką mi wciska pułkownik. Zachowuje się jak sprzedawca używanych samochodów, który... ale mniejsza. Niech pan wraca do niego, panie Gump, i powie mu, że umowa stoi. Broń w zamian za zakładników.

- Więc każe im pan uwolnić naszych ludzi? - pytam.

- Oczywiście nie mogę nic obiecać - mówi ajatol. - Ci w Libanie to banda pomyleńców. Ajatollah może jedynie spróbować przemówić im do rozsądku... A pan ze swej strony niech się postara, żeby rakiety trafiły tu jak najszybciej.

Tak wyglądał nasz spacer. Kiedy wróciłem do środka, pułkownik North najpierw nawrzucał mi od idiotów za to że się wtrąciłem do jego dyplomacji, a potem - jak się dowiedział na czym stałem - cieszył się jak świnia w kałuży.

- Dobry Boże! - woła w samolocie. - Trafiło nam się, Gump, jak ślepej kurze ziarno! Wreszcie wykiwaliśmy starego jełopa! Zakładnicy w zamian za stos przeterminowanych rakiet, których nie chcieliby nawet pacyfiści! Co za mistrzowskie posunięcie!

Przez całą drogę powrotną pułkownik wyśpiewywał pochwały na swoją cześć. A ja myślałem sobie: skoro mam robić karierę w woju, muszę z kimś pogadać w sprawie pensji, żebym miał co wysyłać pani Curran dla małego Forresta. Ale wszystko potoczyło się inaczej i moją karierę diabli wzięli.

Afera wybuchła wkrótce po naszym powrocie do Waszyngtonu.

Zanim jednak wybuchła postanowiłem uporządkować swoje sprawy. Najpierw pojechałem do szpitala dla kombatantów, no i faktycznie, pułkownik North nie kłamał - powiedział że wezmą Dana na obserwację i wzięli. Dan leżał na łóżku i wyglądał sto razy lepiej niż jak go ostatni raz widziałem w parku.

- Gdzieś się podziewał, chomacie? - pyta się mnie na powitanie.

- Byłem daleko. Z tajną misją - mówię.

- Ta? A gdzie?

- W Iranie.

- Po co?

- Żeby spotkać się z ajatolem.

- Tym skurwysynem? Po jakie lichy? - pyta Dan.

Więc mu mówię:

- Mieliśmy dla niego pewną propozycję. Broń za zakładników.

- Serio?

- Aha.

- Jaką broń?

- Całą kupę przeterminowanych rakiet.

- Za jakich zakładników?

- Tych w Libanie.

- I co, udało się?

- Częściowo - powiadam.

- Co to znaczy częściowo? - pyta Dan.

- Myśmy dali rakiety.

- A oni zwolnili zakładników?

- Jeszcze nie.

- I nie zwolnią, tumanie jeden! Chryste, Forrest, ale ty masz ptasi mózdzek! Po pierwsze, zdradziłeś mnie, cywilowi, tajemnicę wojskową, za co możesz trafić przed pluton egzekucyjny, a po drugie znów się dałeś wykorzystać.

No dobra, po wymianie tych serdeczności posadziłem Dana na wózek i zawiozłem do szpitalnej kawiarni na lody. W szpitalu nie serwowali ostrygów, więc Dan opychał się lodami. Mówił że przynajmniej nie połamie sobie na nich zębów. Słusznie. W każdym razie przypomniało mi się jak byłem mały i w sobotnie popołudnia siadywaliśmy z mamą na werandzie przed domem; mama kręciła w misce lody, ja patrzyłem, a potem jak już wszystko było ładnie wybełtane oblizywałem drewnianą łyżkę.

- Jak myślisz, Dan, co z nami będzie? - spytałem porucznika Dana.

- Co to za filozoficzne pytanie? Lepiej, Forrest, nie kombinuj, bo nie jesteś w tym mocny.

- Wiem. Chyba dlatego wszystko czego się tknę obraca się w gówno. Zawsze mnie wyrzucają z roboty, a jak nie wyrzucają to i tak coś chrzańię. Tęsknię za mamą, za Jenny, za Bubbą i w ogóle. Powinno się opiekować małym Forrestem, ale jak? Poza tym... wiem że nie jestem zbyt mądry, ale dlaczego wszyscy muszą mnie zaraz traktować jak debila? Tylko w nocy, kiedy śnię, wszystko mi wychodzi. Powiedz, Dan, czy to się kiedyś zmieni?

- Pewnie nie - mówi Dan. - Czasem tak już jest na tym świecie. Ty i ja jesteśmy obaj nieudacznikami i nic na to nie poradzimy. Tyle że ja się nie zastanawiam nad przyszłością, bo wiem, co mnie czeka. Długo nie pożyję. I dobrze, nikt po mnie nie będzie rozpaczał.

- Nie mów tak, Dan. Jesteś moim jedynym przyjacielem.

- Będę mówił, co mi się podoba - on na to. - Różne rzeczy można mi zarzucać, Forrest, ale nie to, że kiedykolwiek unikałem prawdy.

- Tak, ale chodzi o to że nikt nie wie ile jeszcze będzie żył.

- Przestań, Forrest. Znów zaczynasz filozofować.

No dobra, macie przykład w jakim mniej więcej stanie był Dan. Jeśli chodzi o mnie, też byłem w nie najlepszym. Zaczęłem podejrzewać że ajatol zrobił nas, znaczy się mnie i pułkownika Northa w bambuko. Sam dostał rakiety, a zakładników jak nie było tak nie ma.

Pułkownik North związał się jak w ukropie: załatwiał żeby pieniądze za sprzedaż broni dotarły do tych goryli w Ameryce Środkowej, więc nawet nie miał czasu żeby się gnębić innymi rzeczami. Któregoś dnia powiada do mnie:

- Gump, za parę dni będę zeznawał przed jakąś komisją w Kongresie. Nie jestem pewien, ale może ciebie też wezwą. Jeśli tak się stanie, to pamiętaj: nic nie wiesz o żadnych umowach, o żadnej broni i zakładnikach, jasne?

- O broni to wiem - mówię - a zakładników na oczy nie widziałem.

- Nie o to mi chodzi, cymbale! - złości się pułkownik. - Czy ty naprawdę nie rozumiesz, że to, cośmy zrobili, było nielegalne? Że możemy trafić za kratki? Więc lepiej trzymaj swoją durną gębę na kłódkę i rób, co ci każe! Słyszysz?

- Tak, panie pułkowniku - mówię.

Ale na razie miałem inne zmartwienia na głowie niż jakieś zeznania czy komisje, bo pułkownik North zakwaterował mnie w baraku piechoty morskiej co nie było dobrym pomysłem. Piechociarze różnili się od reszty wojska. Ciągłe się wydzierali i kazali pucować wszystko na połysk. Nigdy im się nic nie podobało, a najbardziej to to że w ich baraku mieszka szeregowy Gump, który do piechoty nie należy. Tak bardzo mi dopieprzali że w końcu wzięłem i się wyprowadziłem, a ponieważ nie miałem się gdzie podziać, wróciłem do parku Lafayette'a. Ktoś zajął moje pudło, więc przytachałem sobie nowe i kiedy już się w nim zagościłem, postanowiłem wybrać się do zoo i odszukać Wandę.

Znalazłem ją bez trudu między fokami a tygrysem.

Wsadzili ją do niedużej klatki, na zewnątrz powiesili napis "Swinus Americanus", na podłogę rzucili trochę siana, trochę wiórów i myśleli że to jej starczy. A ona miała bardzo nieszczęśliwą minę.

Wandzia od razu mnie rozpoznała, więc wetkłem łapę do klatki i poklepałem ją po ryju. Odpowiedziała głośnym chrząkiem. Było mi jej tak żal że nie wiedziałem co robić. Kurde, gdybym mógł wyrwać pręty i wypuścić ją na zewnątrz... No nic, poszedłem do kiosku, kupiłem prażoną kukurydzę, batona i wróciłem. Chciałem jej też kupić hot doga, ale w końcu zrezygnowałem. Najpierw poczęstowałem Wandzię batonem, a kiedy zacząłem ją karmić kukurydzą jakiś głos się mnie pyta:

- Co pan robi?

Patrzę, za mną stoi wielki strażnik zoologiczny.

- Daję Wandzi jeść - mówię mu.

- Tak? - on na to. - A nie umie pan czytać? Tu pisze: "Nie karmić zwierząt".

- Założę się że zwierzęta tego nie napisały - mówię.

- O, dowcipniś się znalazł. - Facet chwytą mnie za kołnierz. - Idziemy, bratku. Ciekawe, czy w kiciu też będziesz sypał dowcipami.

Kurde flaki, myślę sobie, co za dużo to niezdrowo! Nie dość że się czuję jak zbity psisko, nie dość że nic mi w życiu nie wychodzi, to jeszcze ten typ będzie mnie tarosił i straszył kiciem? Tylko dlatego że chciałem nakarmić zwierzątko mojego syna? Mówię wam, porządnie mnie to rozpiekliło!

Jak się nie odwróć! Jak nie dźwignę go nad głowę! Potem kilka razy zakręciłem nim w górze - tak jak w dawnych czasach Profesorem i Warzywem - a następnie posłałem gościa w cholere. Przefrunął nad płotem jak papierowy samolocik i wylądował z wielkim pluskiem na środku foczego basenu. Foki natychmiast siup! do wody. Podpłynęły zainteresowane, krążą dokoła, trącają faceta płetwami, a on się pieni i wścieka i wygraża mi pięścią! Nic sobie z tego nie robiłem. Wyszedłem z zoo i wróciłem autobusem do centrum. Czasem trzeba postąpić po męsku i już.

Skurwysyn i tak miał szczęście że nie cisłem go w drugą stronę, do tygrysów.

Rozdział 7

Niedługo później wszystko się rypło.

Okazało się że nasz układ z ajatolem nie przypadł do gustu ważniakom na Kapitolu. Uważali że dostawa broni do Iranu w zamian za wypuszczenie zakładników to głupi pomysł. To że szmal za broń trafił do goryli walczących w Nikaragui też im się nie podobało. Kongresmeni podejrzewali że za wszystkim stoi prezydent. I zawzięli się żeby to udowodnić.

Pułkownik North tak ładnie zeznawał przed komisją za pierwszym razem, że zaproszono go po raz drugi. Za drugim razem w komisji siedziało pełno cwanych prawników z Filadelfii i wszyscy próbowali go zagiąć. Ale pułkownik też jest nie w ciemno bity i kiedy posługuje się taktem i dyplomacją wcale niełatwo go zgiąć.

- Pułkowniku, co by pan zrobił, gdyby prezydent Stanów Zjednoczonych kazał panu popełnić przestępstwo? - pyta jeden z prawników.

A pułkownik North na to:

- Proszę pana, jestem oficerem piechoty morskiej, a oficer piechoty morskiej słucha rozkazów swoich przełożonych. Więc gdyby prezydent kazał mi popełnić przestępstwo, zasalutowałbym i ruszył zdobywać kolejne wzgórze.

- Jakie wzgórze? Wzgórze Kapitolu?

- Nie, idioto! Mówię w przenośni. Bo kiedy trzeba zdobyć jakieś wzgórze, to wysyłają właśnie nas, morską piechotę. W całym wojsku my jesteśmy najlepsi!

- Tak? To dlaczego mówi się "piechota to chołota"?

- Zabiję cię, sukinsynu! Poderżnę ci gardło i napluję do krtani!

- Pułkowniku, niech pan się opanuje. Agresją nic pan nie zwojuje. A zatem twierdzi pan, że ta transakcja nie była pomysłem prezydenta?

- Tak twierdzą, dupku.

- A więc kto był jej pomysłodawcą? Pan?

- Oczywiście, że nie, ty barani łbie!

Takt i dyplomacja pułkownika nabierają coraz większego rozmachu.

- W takim razie kto? - pyta prawnik.

- Nikt, a zarazem wiele osób. Pomysł, że tak powiem, sam się zrodził.

- Sam? Z niczego? Nie wierzę. Ktoś musiał pierwszy na to wpaść. Takie rzeczy nie dzieją się same!

- Istotnie, był jeden człowiek, który najlepiej miał wszystko przemyślane...

- Czyli był ktoś, kto był pomysłodawcą tej nielegalnej transakcji?

- Można go tak określić.

- Czy był nim admirał Poindexter, doradca prezydenta do spraw bezpieczeństwa narodowego?

- Co? Ten pierdoła z fajką w gębie? A skądże! Nie umiałby wylać sików z buta, gdyby mu ktoś do nich naszczał, a co dopiero wymyślić taki numer!

- No dobrze, pułkowniku, więc czy może nam pan zdradzić, kto wpadł na pomysł transakcji?

- Tak. Szeregowy Forrest Gump.

- Kto?

- Gump. Szeregowy Forrest Gump, specjalny pomocnik prezydenta do tajnych działań. Transakcja była jego pomysłem.

W ten sposób zostałem wciągnięty w bagno.

Którejś nocy dwóch drabów w prochowcach podchodzi do mojego pudła w parku i zaczyna się dobijać. Kiedy wylażę sprawdzić co się dzieje, jeden z nich wciska mi do łapy jakiś świstek i powiada że mam się rano stawić przed specjalną komisją senacką, która bada aferę o nazwie Iran-contras.

- I radzę, koleś, żebyś wyprasował mundur, zanim się pojawisz - mówi. - Chryste, aleś sobie narobił bigosu!

Zupełnie nie wiem co robić. Jest za późno żeby dzwonić do pułkownika Northa i go budzić, a pewnie on ze swoim taktem i dyplomacją ma wszystko starannie obmyślane. Więc przez godzinę czy dwie włączyłem się bez celu i w końcu wylądowałem przy pomniku Lincolna. Siedział sobie staruszek na fotelu z marmura, duży i jakby trochę smutny, cały oświetlony reflektorami. Znad rzeki Potomac nadciągała mgła, poza tym siąpił deszcz. Czułem się nieszczęśliwy i ogólnie pokrzywdzony... Nagle patrzę, a tu z mgły wyłania się Jenny i idzie w moją stronę!

- I co, Forrest? Znow się wpakowałeś w kłopoty? - mówi bez żadnych ogródków.

- Tak jakby.

- Mało ich miałeś, kiedy poprzednim razem służyłeś w wojsku? - pyta się.

- Dużo...

- Więc co cię podkusiło? Chciałeś zaimponować małemu Forrestowi?

- Tak - mówię.

Odgarnęła ręką włosy a potem odrzuciła w tył głowę, tak jak dawniej, a ja stałem bez słowa jak ten ciołek i wykręcałem sobie paluchy.

- Co, żal ci samego siebie? - pyta mnie Jenny.

- Tak - mówię.

- Coś mi się zdaje, że nie bardzo masz ochotę stawać przed Kongresem i zeznawać, jak było?

- Nie bardzo - potwierdzam.

- Nie wygłupiaj się, Forrest. Musisz im powiedzieć prawdę. Sprzedaż broni w zamian za obietnicę zwolnienia zakładników to poważne przestępstwo.

- Podobno...

- Co zamierzasz zrobić? - pyta się mnie.

- Nie wiem - mówię.

- Na twoim miejscu wyśpiewałabym wszystko od początku do końca. I nikogo nie osłaniała. Słyszysz?

- Pewnie masz rację.

I w tym momencie znad rzeki przyplłynął wielki obłok mgły i porwał Jenny. Przez chwilę kusiło mnie żeby rzucić się za nią, złapać i przyprowadzić z powrotem... no ale nawet ja nie jestem taki głupi. Odwróciłem się i ruszyłem w stronę mojego pudła w parku. Znow byłam sam jak palec. Jenny zawsze mi mówiła żebym mówił prawdę. To był ostatni raz kiedy jej nie posłuchałem.

- Powiedźcie, szeregowy Gump, kiedy po raz pierwszy wpadliście na pomysł, że można wymienić zakładników na broń?

Siedziałem w pokoju przesłuchań przy długim stole, przodem do tych wszystkich senatorów, prawników i innych wzdętych ważniaków. Reflektory biły mnie w oczy, a kamery telewizyjne wszystko rejestrowały. Pytania zadawał jeden taki przystojny blondyn.

- A kto mówi że to był mój pomysł?

- Ja tu zadaję pytania. Wy, szeregowy Gump, macie na nie odpowiadać - mówi.

- Nie za bardzo wiem jak odpowiedzieć - ja na to. - Bo nawet nie pyta pan czy to był mój pomysł, tylko od razu chce pan wiedzieć kiedy mi przyszedł do łba...

- Zgadza się. A więc kiedy...?

Zerkłem na pułkownika Northa, który przypiął sobie do munduru chyba wszystkie medale jakie w życiu dostał. Pułkownik wpatruje się we mnie intensywnie i powoli kiwa makową jakby zachęcał mnie do odpowiedzi.

- To chyba było wtedy jak spotkałem się z prezydentem - mówię.

- Dobrze. I czy podczas tego spotkania powiedzieliście prezydentowi o swoim planie wymiany zakładników na broń?

- Nie, proszę pana.

- A zatem co powiedzieliście prezydentowi? - pyta się mnie blondyn.

- Że poprzedni prezydent, z którym gadałem najbardziej lubił oglądać "Prawdę i tylko prawdę".

- Czyżby? A co na to obecny prezydent?

- Że on sam woli "Ubić interes".

- Szeregowy Gump! - krzyczy blondyn. - Przypominam wam, że zeznajecie pod przysięgą! Macie mówić prawdę!

- No dobrze. Więc kiedy przyszedł prezydent oglądał "Koncentrację" i powiedział że to go rozprasza.

- Szeregowy Gump! Jeszcze raz przypominam wam o przysiędze! Wyraźnie unikacie odpowiedzi! Naigrawacie się z członków komisji senackiej! Radzę uważać, bo możemy was oskarżyć o obrazę Kongresu.

- Kurde flaki, coście tacy obrażalscy? - pytam go.

- Osłaniasz ich, ty skurwysynu! - wrzeszczy blondyn. - Osłaniasz ich wszystkich! Prezydenta, pułkownika Northa, Poindextera, diabli wiedzą kogo jeszcze! Ale my dojdziemy do prawdy, choćby miało nam to zająć rok!

- Tak jest! -ja na to.

- Słuchajcie, szeregowy Gump. Pułkownik North zeznał, że to wyście obmyślili cały ten haniebnny plan sprzedaży broni Iranowi w zamian za zwolnienie zakładników, a następnie

przekazania pieniędzy uzyskanych ze sprzedaży broni partyzantom w Ameryce Środkowej. Czy to prawda?

- Nic nie wiem o żadnych partyzantach - mówię. - Myślałem że forsa idzie dla goryli walczących w Nikaragui.

- Aha! - woła blondyn. - Czyli przyznajecie, że świetnie się orientowaliście, gdzie trafia pieniądze!

- No, do goryli. Tak mi mówiono.

- Tak wam mówiono, powiadacie? A ja twierdzą, że kłamiecie, szeregowy Gump. Twierdzą, że to wy, za cichą zgodą prezydenta, obmyśliliście cały plan! Więc teraz nie udawajcie wariata!

- Ja nic nie udaję, ja naprawdę...

- Panie przewodniczący - przerywa mi blondyn - to chyba oczywiste, że szeregowy Gump, specjalny pomocnik prezydenta do tajnych działań, kłamie jak najęty. Traktuje nas jak głupców! Uważam, że powinno się go oskarżyć o obrazę Kongresu.

Przewodniczący komisji senackiej wydał pierś i kikuje na mnie jakbym był jakim robalem czy co.

- Szeregowy Gump - powiada. - Rzeczywiście wygląda na to, że stroicie sobie z nas żarty. Czy zdajecie sobie sprawę, jaka może was spotkać za to kara?

- Nie, proszę pana - mówię.

- Powiem prosto z mostu: możemy cię, skurwysynu, wpakować do pierdła.

- Ta? To na co czekacie? - pytam, naśladując takt i dyplomancję pułkownika Northa. - Pakujcie.

I tak znalazłem się za kratkami.

Następnego dnia "The Washington Post" drukuje artykuł zatytułowany: IDIOTA ARESZTOWANY ZA OBRAZĘ KONGRESU.

THE WASHINGTON POST

Podczas wczorajszych przesłuchań dotyczących sprzedaży broni do Iranu, pewien upośledzony umysłowo mieszkaniec

Alabamy został oskarżony o obrazę Kongresu. Sprawę afery Iran-contras dokładnie opisywaliśmy na łamach naszej gazety.

Forrest Gump, człowiek bez stałego miejsca zamieszkania, został skazany na bezterminowy pobyt w więzieniu za lekceważenie członków komisji senackiej, która bada zarzuty stawiane czołowym przedstawicielom administracji prezydenta Reagana, podejrzanym o mamienie irańskiego przywódcy ajatollaha Chomeiniego obietnicami sprzedaży broni w celu wyłudzenia gotówki.

Gump, który podobno uczestniczył w wielu podejrzanym interesach z ramienia rządu Stanów Zjednoczonych, w tym również w programie lotów kosmicznych, jest - jak twierdzi nasz informator - "członkiem skrajnie prawicowego odłamu amerykańskiego wywiadu, jednym z tych facetów, co to się snią po nocach".

Zasiadający w komisji senator, który prosił o zachowanie anonimowości, powiedział nam, że Gump "będzie gnił w pierdłu dla psychicznych, dopóki nie wyrazi skruchy za to, że próbował zrobić głupców z członków Kongresu. Tylko członkowie Kongresu mają do tego prawo, a nie jakiś wypierdek z Alabamy".

Dali mi ciuchy w czarno-białe paski, a potem wsadzili mnie do celi razem z fałszerem, ze zboczeńcem co molestował dzieci, z gościem co urządzał wybuchy i ze świrem o nazwisku Hinckley, który cały czas gadał o aktorce Jodie Foster. Najsympatyczniejszy był fałszer.

Po przejrzeniu różnych moich akt i papierów naczelnik więzienia dla psychicznych skierował mnie do robienia tablic rejestracyjnych. Życie w więzieniu płynęło nudno i spokojnie. Zbliżały się święta Bożego Narodzenia, a dokładniej była Wigilia i na zewnątrz padał śnieg, kiedy do celi przyszedł strażnik i powiedział że mam gościa.

Spytałem go jakiego gościa, a on na to:

- Słuchaj, Gump, zważywszy na przestępstwo, jakiego się dopuściłeś, ciesz się, że w ogóle ktokolwiek się zdecydował cię odwiedzić. Jak tam uważam, że ludzi, którzy robią durni z członków Kongresu amerykańskiego, powinno się trzymać po ciemku, o suchym chlebie i wodzie. Więc nie gadaj, tylko podnoś dupsko i wyłaż.

Poszłem z nim do sali widzeń. Za oknem grupa kołędowników z Armii Zbawienia śpiewała "Cichą noc", a święty Mikołaj potrząsał dzwonkiem zbierając datki. Kiedy usiadłem w

wyznaczonym miejscu, ze zdziwienia szczęka prawie opadła mi na kolana, bo po drugiej stronie drucianej siatki zobaczyłem małego Forresta.

- Cześć - mówi do mnie dzieciak. - Wesołych świąt.

- Dzięki. - Tak mnie zatkało na jego widok że nie wiedziałem co innego powiedzieć.

Przez minutę siedzimy bez słowa i się na siebie gapimy. A raczej ja się gapię na niego, a on w blat, tak jakby wstydził się że jego tatuś przebywa za kratkami.

- Skąd się tu wzięłeś? - pytam go w końcu.

- Babcia mnie przysłała. Pisali o tobie we wszystkich gazetach, mówili w telewizji.

Babcia pomyślała, że ucieszysz się, jak cię odwiedzę.

- Miała rację - mówię. - Bardzo się cieszę, że przyjechałeś.

- To nie był mój pomysł - mały na to.

Kurde, mógł sobie tę uwagę darować.

- Słuchaj, Forrest - mówię do dzieciaka. - Wiem że wszystko spieprzyłem i trudno żebyś był ze mnie dumny. Ale wiedz że się starałem. Serio.

- Co się starałeś? - pyta się mały.

- Nic nie spieprzyć - ja na to.

Dzieciak wciąż wpatruje się w blat, wreszcie po chwili mówi:

- Poszedłem do zoo, żeby zobaczyć się z Wandą.

- Jak się miewa?

- Ze dwie godziny jej szukałem. Dygotała z zimna, więc chciałem wsunąć jej między przęta kurtkę, ale pojawił się taki wielki strażnik i zaczął się na mnie wydzierać.

- Nie uderzył cię ani nic, co?

- Nie - mówi mały Forrest. - Powiedziałem mu, że to moja świnia, a on na to: "Dobra, dobra, to samo mówił tamten świr". Potem sobie poszedł.

- Jak szkoła? - pytam.

- W porządku. Tylko dzieciaki mi trochę dokuczają z twojego powodu. No wiesz, że zamknęli cię w pace.

- Nie przejmuj się - mówię mu. - I nie zwracaj na nich uwagi. Przecież to nie twoja wina.

A on na to:

- Sam nie wiem... Może gdybym częściej przypominał ci o sprawdzaniu zaworów, wciąż byś mieszkał na farmie i hodował świnie.

- Nie trzeba oglądać się wstecz - mówię do syna. - Widać los chciał inaczej. Nic się na to nie poradzi.

Resztką sił staram się zachować twarz.

- Co będziesz robił na święta? - pyta mały.

- Pewnie urządzą nam tu wielką fetę - kłamię. - Podadzą indyka i w ogóle, a potem przyjdzie święty Mikołaj i przyniesie nam kupę prezentów. Dyrekcja więzienia bardzo się o nas troszczy. A ty co będziesz teraz robił?

- Wrócę autobusem do domu. Już widziałem wszystkie tutejsze atrakcje. Po zoo obejrzałem sobie z zewnątrz Biały Dom, potem Kapitol i pomnik Lincolna.

- I co? Podobał ci się?

- Wiesz, to było dziwne. Akurat zaczął padać śnieg, znad rzeki nadciągnęła mgła i... i...

- I co?

- Nic, po prostu tęsknię za mamusią - powiada dzieciak.

- A czy mamusia... czy ona... widziałeś ją tam?

- Nie całkiem.

- Ale tak jakby? - pytam.

- Tak. Tak jakby. Dosłownie przez chwilę. Ale to był tylko sen. Nie jestem taki głupi, żeby wierzyć w duchy.

- Mówiła ci coś? - pytam go.

- Tak. Żebym się tobą opiekował. Że poza babcią i tobą nie mam nikogo na świecie, a ty potrzebujesz teraz mojej pomocy.

- Tak ci mamusia powiedziała?

- Słuchaj, przecież mówiłem, że to był tylko sen. Sny nie mają znaczenia.

- Nigdy nie wiadomo - ja na to. - Kiedy odchodzi twój autobus?

- Za godzinę. Muszę się zbierać.

- No to miłej podróży. Przykro mi, że musiałeś mnie oglądać w takim miejscu, ale może już niedługo wyjdę na wolność.

- Zamierzają cię zwolnić?

- Chyba tak. Przychodzi tu społecznie taki jeden facet, kaznodziej, który chce się zająć moją rehabilitacją. Mówi że za kilka miesięcy może zdoła mnie stąd wyciągnąć. Że jest jakiś

federalny program odpracowywania kary czy coś takiego i w ramach tego programu mogliby mnie wypuścić. Facet ma w Karolinie wesołe miasteczko i potrzebuje takich jak ja do pracy.

- Jak się nazywa? - pyta mały Forrest.

- Wielebny Jim Bakker.

No i zaczęłem pracować u wielebnego Jima Bakkera.

Wielebny Jim Bakker miał w Karolinie posiadłość o nazwie Ziemia Święta i był to największy lunopark o tematyce biblijnej jaki w życiu widziałem. Wielebny Bakker miał również żonę, która się nazywała Tammy Faye Bakker. Tammy Faye Bakker wyglądała jak jedna z tych lalek, którymi małe dziewczynki lubią się bawić. Miała rzęsy długie na pół metra i czerwone rumieńce na polikach. Koło wielebnego Bakkera kręciła się też inna kobieta, młodsza od Tammy Faye, która się nazywała Jessica Hahn i była sekretarką, a przynajmniej tak ją wielebny określał.

- Wiesz, Gump - powiada do mnie któregoś dnia - skoro takiemu tepakowi jak Walt Disney udało się odnieść sukces, to czemu mnie miałyby się nie udać? Zobaczysz, będę miał największy park ze wszystkich! Z całego świata będą się zjeżdżać wierni. Pięćdziesiąt tysięcy luda albo i więcej dziennie! Odtworzymy tu każdą scenę z Biblii, każdą przypowieść! Zgarniając po dwadzieścia dolców od łebka, wkrótce zarobimy miliardy!

Jeśli o to chodzi wielebny Bakker się nie mylił.

Wybudował w parku ponad pięćdziesiąt różnych atrakcji, a planował ich jeszcze więcej. Była na przykład atrakcja pod tytułem "Mojżesz i gorejący krzak". Polegała na tym że goście szli przez lasek, w którym urzędował facet przebrany za Mojżesza. Kiedy podchodzili bliżej, on naciskał coś nogą i nagle ogień strzelał w górę na trzy metry. Goście odskakiwali do tyłu jakby zobaczyli diabła czy co, krzyczeli ze strachu i bardzo się radowali.

Dalej był strumyk gdzie niemowlak Mojżesz pływał owinięty ręcznikiem w plastikowej łódeczce - atrakcja nazywała się "Mojżesz w sitowiu".

Dalej było "Przejście przez Morze Czerwone" - wielebny Bakker jakoś wykombinował żeby wodę z jeziora coś wsysało pod ziemię i ludzie mogli przejść po dnie suchą nogą jak kiedyś Izraelity. Po drugiej stronie jeziora stały wypuszczone na rehabilitację draby z więzienia dla psychicznych przebrane za armię faraona. Kiedy ludzie dochodzili na drugi brzeg draby rzucały się za nimi w pogoń, a wtedy pompy szybko wpompowywały wodę z powrotem do jeziora i armia faraona się topiła.

Inne atrakcje też były.

Był “Jakub w sukni rozmaitych farb” i sceny z życia biednego Hioba, który wycierpiał się jak mało kto. Kiedy jedna grupa zwiedzających przechodziła przez Morze Czerwone i woda wracała z powrotem na miejsce, następna mogła obejrzeć jak pan Jezus zamienia chleb w ryby. W ramach oszczędności karmiło się ryby chlebem, a kiedy były duże i grube sprzedawało się je obok w smażalni po piętnaście dolców za porcję.

Dalej był “Daniel w lwiej jamie” i “Jonasz w brzuchu wieloryba”. W poniedziałki kiedy Ziemia Święta była zamknięta właściciel pobliskiego baru wypożyczał z parku lwa i tresera. Płacił wielebnemu pięćdziesiąt dolarów za noc, a potem podpuszczał naiwników, żeby brali się z lwem za bary i zgarniał za to szmal.

Wieloryb był sztuczny. Otwierał paszczę, połykał Jonasza i wszystko szło jak po maśle dopóki wielebny nie odkrył za midgałkami rybska kilku butelek whisky. Okazało się że za każdym razem jak Jonasz lądował w brzuchu wieloryba, pociągał sobie łyka. Pod koniec dnia ledwo się trzymał na nogach. Najgorsze było to że zanim wieloryb zatrząskiwał pysk, Jonasz pokazywał publiczności język albo wypinał tyłek. Wszystko się wydało kiedy dzieciaki zaczęły go naśladować i mamusie poskarżyły się wielebnemu.

Ale największą atrakcją parku było “Wniebowstąpienie Jezusa”. Trochę przypominało to te skoki z wysokich mostów, kiedy skaczący ma przywiązany do nóg taki rozciągliwy sznur, a potem dynda nad ziemią - tyle że tu było odwrotnie. Człowiek w przebraniu Jezusa leciał ze dwadzieścia metrów do góry i tam znikał w kłębach mgły wytwarzanej przez jakąś maszynę. Wyglądało to całkiem realistycznie. Za dodatkowe dziesięć dolców goście też mogli wstąpić do nieba.

Któregoś dnia kaznodziej Bakker mówi do mnie:

- Gump, chciałbym, żebyś wziął udział w naszej najnowszej atrakcji. Będzie to “Walka Dawida z Goliatem”.

Nawet nie musiałem zbytnio wyteżać rozumu żeby domyślić się którego z tych dwóch mam odgrywać.

Myślałem że rola Goliata będzie łatwa i przyjemna, ale wcale nie była.

Ubrali mnie w nakrapianą kciekę która udawała tygrysią skórę, dali tarczę i włócznię, a do pyska przykleili długą czarną brodę. A potem kazali żebym ryczał, tupał i stroił groźne miny.

Kiedy tak srożę się w najlepsze, pojawia się Dawid ubrany w pieluchy i zaczyna strzelać do mnie z procy.

Dawida gra ten świr Hinckley, który tak długo tłumaczył wielebnemu że naprawdę jest świrnięty i nie powinien siedzieć za kratkami, że go wielebny też wyciągnął na rehabilitację. Kiedy Hinckley nie strzela do mnie z procy, pisze listy do Jodie Foster. Mówi, że Jodie to jego kumpelka.

Kłopot w tym że do strzelania z procy Dawid-Hinckley używa prawdziwych kamyków. Czasami któryś trafia do celu i mówię wam: boli paskuctwo jak cholera! Odgrywamy naszą scenkę pięć albo sześć razy dziennie i pod wieczór mam ze dwadzieścia siniaków na ciele. Hinckleyowi ta zabawa sprawia frajdę, ale mnie nie za bardzo, więc po tygodniu czy dwóch idę poskarżyć się do wielebnego. To niesprawiedliwe, mówię, dlaczego ja mam w kółko obrywać kamieniami i chodzić posiniaczony, w dodatku ten gnojek Hinckley już mi dwa razy nadłamał zęba, czy nie mógłbym dla odmiany postrzelać sobie w niego?

Ale wielebny kaznodziej powiada że nie, że robimy tak jak jest w Biblii, a Biblia jest święta i nie można jej zmieniać. Kurde flaki, myślę sobie, ja bym tam pozmieniał, ale trzymam język za nadkruszonymi zębami, bo wielebny mówi że jak mi się nie podoba i nie chcę dłużej grać Goliata, to proszę bardzo, droga wolna, mogę wracać do pierdła. Serce ściska mnie z tęsknoty za małym Forrestem, za Jenny też, i ogólnie czuję się bardzo opuszczony.

Któregoś dnia nie wytrzymałem. Ziemia Święta pękała w szwach, bo zjechały się tabuny ludzi. Kiedy zgromadzili się gdzie stałem, zaczęłem ryczeć, robić groźne miny i wygrażać Dawidowi włócznią, a on zaczął walić do mnie z procy. Jeden z kamyków trafił mnie w łapę. Zaskoczony upuściłem tarczę. Kiedy się po nią schyliłem sukinsyn strzelił mi prosto w tyłek! Mógł chwilę poczekać, ale nie, złośliwiec jeden! I wtedy miarka się przebrała.

Stał z głupim uśmiechem na pysku. A jaki był z siebie zadowolony! Więc rzuciłem się na niego, chwyciłem go za pieluchę, podniosłem do góry, zakręciłem nim w powietrzu i go puściłem. Poszybował nad drzewami i wylądował w jeziorku, w którym Jezus obracał kawałki chleba w ryby.

Łądowanie Dawida w jeziorze musiało spowodować jakieś zwarcie w głównym ustrojstwie, które kierowało wszystkimi atrakcjami w parku. Nagle włączyły się pompy i Morze Czerwone zaczęło się rozstępować. Ni z gruszki ni z pietruszki buchnął w górę ogień przy gorejącym krzaku i Mojżesz, który stał za blisko, zaczął się palić. Mechaniczny wieloryb

wypłynął z jeziora na brzeg i kłapał szczękami jak oszalały. Wybuchła istna pandemonia. Kobiety piszczały, bachory ryczały, mężczyźni spieprzali gdzie pieprz rośnie. Cały ten tumult zdenerwował Danielowego lwa. Zwierzę wyskoczyło z jamy i zaczęło ganiać wkoło jakby je pchły oblazły. Facet, który robił za Jezusa wniebowstępującego, stał przy kiosku, popijał colę i czekał aż się zbierze więcej widzów, kiedy nagle liną szarpło i frrr! poleciał do nieba. Nie był odpowiednio przywiązany ani nic, więc po chwili wylądował w smażalni ryb, w wielkim garnku pełnym gorącego tłuszczu.

Ktoś zadzwonił po policję, która natychmiast przyjechała i od razu puściła pałki w ruch. Tymczasem lew zawędrował w sitowie gdzie zaskoczył wielebnego Bakkerę i jego sekretarkę Jessicę Hahn, którzy coś tam robili na golasa. Wyskoczyli z sitowia jak oparzeni, a lew za nimi! Kiedy policja zobaczyła co się dzieje, migiem aresztowała wielebnego za “obrazę moralności” i odwiozła do paki. Ostatnie słowa wielebnego kaznodzieja zanim go gliniarze wepchli do suki były skierowane do mnie.

- Gump, kretynie jeden, jeszcze mi za to zapłacisz!

Rozdział 8

Po tej ucieczce na golasa przed lwem wielebny Jim Bakker zakończył karierę kaznodzieja. Parę rzeczy wyszło na jaw i koniec końców władze wzięły go za jego świętobliwy tyłek i zanikły w ciupie na dobre. Teraz może tam rehabilitować dwadzieścia cztery godziny na dobę nie tylko więźniów, ale i samego siebie.

Wyglądało na to że ja też wrócę za kratki, ale tak się nie stało.

Środki masowego przekazu zwęszyły że w Ziemi Świętej wybuchły zamieszki i moje zdjęcie znów trafiło do gazet i do telepułda. Czekam na autobus, który ma mnie zawieźć z powrotem do paki, kiedy nagle podlatuje do mnie jakiś gość i wywija mi pod nosem papierem. Mówi że to mój “nakaz zwolnienia”.

Facet jest elegancko odpicowany: marynarka, spodnie na szelkach, wielkie białe zęby i wypastowane na glans buty. Wygląda na maklera.

- Gump - powiada do mnie - jestem twoim aniołem miłosierdzia.

Nazywa się Ivan Bonzosky.

Mówi że próbował mnie znaleźć od czasu mojego wystąpienia przed komisją senacką w sprawie afery Iran-contras.

- Czy przeglądałeś dziś prasę? - pyta się.

- Nie, proszę pana.

- Więc może chciałbyś rzucić okiem... - mówi i wręcza mi egzemplarz “The Wall Street Journal”. Tytuł artykułu brzmi: SZALENIEC SPRAWCĄ ZAMKNIĘCIA DOCHODOWEGO LUNAPARKU.

THE WALL STREET JOURNAL.

Czterdziestokilkuletni mężczyzna, zwolniony niedawno z waszyngtońskiego więzienia dla psychicznie chorych, wpadł w szal w małym miasteczku w Karolinie, swoim zachowaniem wywołując ciąg zdarzeń, które doprowadziły do zwichnięcia kariery jednego z najbardziej szanowanych obywateli Karoliny i pozbawiły możliwości zarobkowych tysiące ciężko pracujących Amerykanów.

Według naszych źródeł, winowajca nazywa się Forrest Gump. Jest to człowiek o niskim ilorazie inteligencji, który wcześniej wywołał podobne zamieszki w Atlancie, w Coalville oraz w innych miastach.

Gump, aresztowany za obrazę Kongresu, został zwolniony z więzienia w ramach specjalnego programu rehabilitacyjnego zainicjowanego przez wielbego Jima Bakker. Wielbny Jim Bakker, żarliwy wyznawca amerykańskiego stylu życia, osobiście sprawował opiekę nad byłymi więźniami, których zatrudniał w swoim lunaparku związanym tematycznie z Ziemią Świętą.

Występując w roli olbrzyma Goliata, Gump, mężczyzna pokażnej postury, zaczął się wczoraj zachowywać w sposób - jak to określiło kierownictwo parku - "bardzo nieodpowiedzialny". W pewnej chwili podniósł swojego biblijnego przeciwnika Dawida i cisnął go nad drzewami do jeziora z mechanicznym wielorybem, który - "zdenerwowany tym przykrym zajściem" - rzucił się na zwiedzających.

W zamieszaniu, jakie wybuchło, wielbny Jim Bakker oraz jego sekretarka, panna Jessica Hahn, zaplątali się w sitowiu porastającym teren jednej z biblijnych atrakcji. Ostre pędy roślin zdarły z nich ubranie. Nagą parę zabrała radiowozem policja, co rzecznik Ziemi Świętej uznał za "niefortunną pomyłkę".

Kurde flaki, same bzdety powypisywali w tym szmatławcu. Ale nic, Ivan Bonzosky zabiera mi gazetę i mówi:

- Gump, podoba mi się twój styl. Miałeś szansę wsypać pułkownika Northa i prezydenta, a jednak tego nie zrobiłeś. Oślaniałeś ich i wzięłeś na siebie całą winę. Oto prawdziwie społeczna postawa! Mojej firmie przydałby się taki pracownik.

- A co to za firma? - pytam.

- Hm - on na to. - Kupujemy i sprzedajemy różne rzeczy, głównie akcje, obligacje. Czasem spółki. Nie obracamy towarem jako takim, tylko papierami, ale po odbyciu kilku rozmów przez telefon i spisaniu paru umów zwykle lądujemy z kupą szmalu.

- Poważnie?

- Jasne - mówi Bonzosky. - Nie ma nic prostszego. Wszystko opiera się na podłości, intrygach, drobnych oszustwach, cynkach i czystej kradzieży. Świat, w którym żyjemy, to jedna wielka dżungla, Gump, a ja jestem groźnym tygrysem.

- Co miałbym u pana robić? - pytam go. Ivan kładzie łapę na moim ramieniu i mówi:

- Gump, w nowojorskiej filii mojego biura maklerskiego otwieram nowy dział o nazwie Szwindel. Chciałbym, żebyś został jego prezesem.

A to mnie zdziwił!

- Prezesem? Ja? Dlaczego? - pytam.

- Z uwagi na twoją prawość i odwagę. Tylko wyjątkowo prawy człowiek potrafiłby stanąć przed komisją senacką, kłaniać jak z nut i wziąć na siebie winę za tego durnia, Northa. Tak, Gump, szukałem kogoś właśnie takiego jak ty.

- Ile bym zarabiał? - pytam go.

- Krocie, Gump, krocie! - on na to. - A co, potrzebujesz pieniędzy?

- Każdy potrzebuje, nie?

- Mam na myśli prawdziwe pieniądze. Sumy liczone w milionach - powiada Ivan.

- No, trochę by mi się przydało - mówię. - Muszę opłacać szkołę małego Forresta, odkładać na jego studia, no i w ogóle.

- Małego Forresta? To twój syn? - pyta Ivan.

- Tak jakby - mówię. - Znaczą się, sprawuję nad nim opiekę.

- Chryste, Gump, tyle u mnie zarobisz, że będziesz mógł go posłać do wszystkich najlepszych szkół naraz: Choate, Andover, St. Paul's i Episcopal High. A kiedy umrzesz, zostanie mu tyle szmalu, że będzie mógł wysyłać koszule do pralni we Francji.

I tak rozpoczęłem karierę na wysokim szczeblu.

Po raz pierwszy w życiu zobaczyłem Nowy Jork. To było coś niesamowitego!

Myślałem że na całym świecie nie ma tyle ludzi co w tym jednym mieście. A były ich, kurde, miliony - na ulicach, chodnikach, w drapakach chmur, w sklepach. A jaki robili raban! Klaksony trąbiły, młoty pneumatyczne dudniły, syreny wyły i Bóg wie co jeszcze. Czułem się jakbym wylądował w mrowisku wśród mrówek, którym odbiła kompletna szajba.

Najpierw Ivan Bonzosky zabrał mnie do swojej firmy, która mieściła się w jednym z tych dużych drapaków przy Wall Street. W środku siedziały setki osób. Wszyscy pracowali przy komputerach, wszyscy ubrani byli w koszule i krawaty i szelki, prawie wszyscy mieli zaczesane gładko do tyłu włosy i okrągłe druciane cyngle na nosach. Wszyscy co do jednego gadali przez telefony i palili cygara. Dymu było tyle że w pierwszej chwili chciałem wzywać strażaków.

- Dobra, Gump - mówi Ivan - wytłumaczę ci, o co w tym wszystkim chodzi. Otóż staramy się zaprzyjaźnić z ludźmi, którzy prowadzą duże przedsiębiorstwa. Kiedy dowiadujemy się, że zamierzają wypłacić dywidendę albo przedstawić swój roczny bilans, że chcą sprzedać firmę, otworzyć filię albo uczynić cokolwiek, co mogłoby podnieść cenę ich akcji, wtedy szybko je skupujemy nie czekając, aż wiadomość trafi do gazet i wszyscy skurwysyni z Wall Street będą mieli równe szansę na zysk.

- A jak się zaprzyjaźniacie z tymi ludźmi? - pytam go.

- To proste - on na to. - Trzeba zaglądać do różnych restauracji, klubów i innych miejsc, do których te bubki lubią chodzić. Fundować drinki, zapraszać na obiady, podsuwać dziewczyny i ogólnie włożyć im w dupę. Czasem opłacamy komuś pobyt w Aspen na nartach, czasem nad morzem w Palm Beach. Ale o to się nie martw. Takimi rzeczami zajmują się inni, a ty... Ty po prostu masz być prezesem. Będziesz kontaktował się ze mną. Mniej więcej raz na pół roku zadzwonisz i zdasz mi relację.

- Z czego? - pytam.

- To się później okaże. Na razie pokażę ci twój gabinet.

Przeszliśmy korytarzem do dużego narożnikowego pokoju. W pokoju stało mahoniowe biurko, skórzane fotele, kanapy, a na podłodze leżał perski dywan. Z okien rozciągał się widok na miasto i dalej na rzekę, po której pływały statki i parniki. W oddali widać było Statuę Wolności, która połyskiwała w blasku zachodzącego słońca.

- No, Gump, jak ci się podoba? - pyta mnie Ivan Bonzosky.

- Całkiem ładny widok - mówię.

- Całkiem ładny? Kurwa, Gump, wiesz, jaki płacę czynsz? Dwa tysiące dolarów za metr kwadratowy! To jeden z najdroższych punktów w mieście! No dobra, teraz słuchaj.

Przydzielę ci osobistą sekretarkę, pannę Hudgins. Wygląda jak gwiazda filmowa. Co pewien czas będzie ci przynosić różne papiery do podpisania, a ty masz je podpisywać. I to wszystko. Nie zwracaj sobie głowy czytaniem, bo to nudy na pudy. Uważam, że kadra kierownicza powinna jak najmniej wiedzieć o tym, co się dzieje w przedsiębiorstwie... Nie sądzisz, że tak jest lepiej?

- No nie wiem - ja na to. - Całe życie lądowałem w tarapatach, bo nie wiedziałem co się dzieje.

- Nie przejmuj się, Gump - mówi Ivan. - Tym razem na pewno będzie inaczej. I choćby przez wzgląd na syna, nie powinienes zmarnować okazji, bo druga może się już nigdy nie nadarzyć. - Obejmuje mnie ramieniem i szczyrzy swoje wielkie zębiska. - Masz może jakieś pytania? - pyta się.

- Tak - mówię. - Gdzie jest ubikacja?

- Ubikacja? Ależ tu, za drzwiami. A co, zastanawiałeś się, czy masz własną czy będziesz musiał korzystać ze wspólnej na korytarzu?

- Nic się nie zastanawiałem - ja na to. - Po prostu chce mi się siku.

Trochę się Ivan zdumiał.

- Cóż - powiada - widzę, że lubisz walić prosto z mostu. To dobrze... Idź, skorzystaj z toalety. Poczekam na zewnątrz.

No więc skorzystałem. A korzystając dumałem nad tym czy mądrze robię że zadaję się z Ivanem Bonzoskym. W końcu inni przed nim też mnie bajerowali i gównem z tego miałem.

Wreszcie Ivan wziął i poszedł, a ja zostałem sam w swoim nowym gabinecie. Patrzę: na biurku stoi wielka miedziana tabliczka, a na niej pisze "Prezes Forrest Gump". Rozsiadam się wygodnie w miękkim skórzanym fotelu, kładę giry na blacie, kiedy nagle drzwi się otwierają i do pokoju wchodzi piękna młoda kobitka. Domyślam się że to panna Hudgins.

- Ach, pan Gump - mówi. - Witam w nowym dziale Ivana Bonzosky'ego.

Patrzę na pannę Hudgins i myślę sobie: kurde flaki, jest na co popatrzeć. Z wrażenia aż mi zęby dzwonią. Bo jest to wysoka brunetka o niebieskich oczach, szerokim uśmiechu i tak krótkiej spódniczce że przy najmniejszym skłonie cała jej pupka będzie na widoku.

- Czy przynieść panu coś do picia? - pyta się mnie. - Kawę albo...

- Nie, dziękuję bardzo - odpowiadam grzecznie.

- Gdyby pan jednak zmienił zdanie... A może colę? Albo whisky z wodą?

- Dziękuję. Naprawdę nic mi nie potrzeba - mówię.

- W takim razie może chciałby pan obejrzeć swoje nowe mieszkanie? - ona na to.

- Moje co? - dziwię się.

- Mieszkanie. Ponieważ pełni pan funkcję prezesa, pan Bonzosky wynajął dla pana apartament.

- Serio? - pytam. - Myślałem że tu będę spał. Mam kanapę, własną ubikację...

- Ależ, panie Gump! - oburza się panna Hudgins. - Skądże znowu! Pan Bonzosky prosił mnie, żebym znalazła dla pana odpowiednie lokum na Piątej Alei. Takie, w którym mógłby pan podejmować gości.

- Ja? Podejmować gości? Jakich gości?

- Różnych - mówi panna Hudgins. - To co, będzie pan gotów do drogi za... powiedzmy, za jakieś pół godzinki?

- Pewnie. Już jestem gotów. A jak się dostaniemy na tę Piątą Aleję? - pytam.

- Jak to jak? - dziwi się moja sekretarka. - Pańską limuzyną, oczywiście.

Po chwili jesteśmy na ulicy i wsiadamy do wielkiej czarnej limuzyny. Myślę sobie: kurde, taki długi wóz w życiu nigdzie nie skręci, ale okazuje się że kierowca, któremu na imię Eddie, to bardzo zdolny chłopak. Tak sprytnie laseruje po chodnikach, między taksówkami i po jezdni, że po kilku minutach - rozpędziwszy ludzi na Madison Avenue - zajeżdża na miejsce.

Budynek, przed którym stajemy to wielkie gmazysko z białego marmuru, z markizą nad drzwiami i portierem w drzwiach. Portier ma na sobie uniform, taki jak na starych filmach. Na ścianie na zewnątrz pisze "Helmsley Palace". Domyślam się że to nazwa budynku. W wejściu mijamy się z wyfutrzoną kobietą, która idzie z pudłem na spacer. Kobieta gapi się na nas podejrzliwie, a potem mierzy mnie od czubka nogi do czubka głowy - i nie dziwota, bo wciąż ubrany jestem w strój Goliata.

Wysiadamy z windy na osiemnastym piętrze. Panna Hudgins wyciąga klucz i... o kurde, aż nie wierzę własnym oczom, wchodzimy do pałacu! Kryształowe żyrandolify, ogromne lustro w złotych ramach, na ścianach malowidła. Dalej kominki, eleganckie meble, stoliki, na nich książki z lustracjami. Drewniana biblioteczka, na podłodze piękne dywany, w rogu barek.

- Chce pan obejrzyć sypialnię? - pyta mnie panna Hudgins.

Z wrażenia nie mogłem wydukać ani słowa, więc nic nie powiedziałem tylko kiwnę łem.

Przeszliśmy do sypialni i mówię wam: to dopiero było coś! Przykryte kapą łóżko dla wielkoluda, kominek, wbudowane w ścianę telepułdo. Panna Hudgins mówi że można na nim oglądać sto kanałów. Łazienka też dech zatyka: marmurowe podłogi, złote krany i schowany za szklaną taflą prysznic, z którego woda leci na wszystkie strony. Są nawet dwa kible, tyle że jeden wygląda jakoś nietypowo.

- Co to? - na wszelki pytam się panny Hudgins.

- Bidet - ona na to.

- A co się do niego robi? Nawet nie ma deski - mówię. Panna Hudgins waha się przez chwilę.

- Lepiej niech pan korzysta z tego drugiego - mówi wreszcie. - O bidetach porozmawiamy kiedy indziej.

Muszę przyznać że chałupa robiła wrażenie.

- Myślę, że prędzej czy później spotka pan tę miłą panią, która jest właścicielką budynku - powiada moja sekretarka. - Nazywa się Leona Helmsley i przyjaźni się z panem Bonzoskym.

Następnie panna Hudgins powiedziała że musimy się wybrać na zakupy po ubranie, "które byłoby godne prezesa działu w firmie pana Bonzosky'ego". No dobra. Prowadzi mnie do sklepu o nazwie "Mr. Squeegee's". W drzwiach wita nas pan Squeegee we własnej osobie - mały łysy grubas z wąsami jak Hitler.

- A, pan Gump. Oczekiwałem pana.

Pan Squeegee dwoi się i czworzy, pokazuje dziesiątki garniturów, marynarek i spodni, różne kroje i materiały, krawaty, a nawet skarpety i majty. Za każdym razem jak coś mi się podoba, panna Hudgins kręci nosem.

- Nie, to zupełnie nie pasuje - mówi i wybiera coś zupełnie innego.

Wreszcie pan Squeegee ustawia mnie przed lustrem i bierze miarę na spodnie.

- No, no, ależ z pana wspaniały okaz samca - mówi.

- Nie da się tego ukryć! - wtrąca panna Hudgins.

- A swoją drogą, panie Gump... po której stronie się pan nosi?

Za chiny nic nie kapuję.

- Po której stronie czego?

- Czy nosi się pan po prawej czy lewej? - pyta pan Squeegee.

W dalszym ciągu nic nie kapuję.

- I po tej i po tej - mówię. - Po prostu się noszę i już.

- No tak, hm... - on na to. - Ale...

- Niech pan szyje na dwie strony - radzi mu panna Hudgins. - Widać pan Gump lubi pogrywać w kieszonkowy bilard.

- W porządku - zgadza się krawiec.

Nazajutrz Eddie przyjechał pod dom limuzyną i zawiózł mnie do biura. Ledwo weszłem, kiedy do gabinetu wpada Ivan Bonzosky i mówi:

- Zapraszam cię później na obiad. Chcę ci kogoś przedstawić.

Przez cały ranek podpisywałem jakieś papiery co mi zносиła panna Hudgins. Pewnie podpisałem ze dwadzieścia czy trzydzieści różnych świstków, do paru nawet zajrzałem, ale zupełnie nie mogłem się pokapować o co w nich chodzi. Koło południa brzuch mi się rozburczał jak sto diabłów i zaczęłem marzyć o maminej zapiekance z krewetków. Brakowało mi mamy i jej kuchni.

Niedługo później zjawia się Ivan i mówi że pora ruszać na obiad. Jedziemy limuzyną do restauracji "The Four Seasons". Kelner zaprowadza nas do stolika, przy którym siedzi wysoki chudziak w garniturze i szczerzy się jak jakiś wilk czy co.

- Chciałbym ci przedstawić mojego przyjaciela - mówi do mnie Ivan.

Przyjaciel wstaje i wyciąga łapę. Nazywa się Mike Mulligan.

Okazuje się że Ivan Bonzosky prowadzi z Mulliganem interesy. Mulligan jest maklerem, ale handluje tylko takimi obligacjami, które - jak powiada - przynoszą duży zysk, a w razie niepowodzenia ogromne straty. Widać lubi ryzyko - w przeciwieństwie do mnie, bo ja tam nie jestem żaden ryzyk-fizyk. W każdym razie domyślałem się że ten Mulligan to duża szyszka.

Po wstępnych uprzejmościach Ivan z Mulliganem przechodzą do sedna rzeczy.

- A więc, Gump - powiada Bonzosky - raz na jakiś czas Mike do ciebie zadzwoni i poda ci nazwę jakiegoś przedsiębiorstwa. Chciałbym, żebyś ją zapisał na kartce. Na wszelki wypadek, żeby nie było żadnych pomyłek, Mike przeliteruje ci nazwę. Po zakończeniu rozmowy przekaz kartkę pannie Hudgins. Ona będzie wiedziała, co z nią zrobić.

- Tak? A co? - pytam.

- Im mniej wiesz, tym lepiej - mówi Ivan. - Czasem z panem Mulliganem wyświadczamy sobie drobne przysługi. Na przykład, zdradzamy sobie sekrety. Rozumiesz?

Puszcza do mnie wielkie oko. Myślę sobie: kurde balas, coś mi w tym wszystkim śmierdzi! Właśnie zamierzam im to powiedzieć, kiedy nagle Ivan tak mnie zaskakuje że mi szczęka opada na kolana.

- Zastanawiałem się, Gump, nad twoją pensją. Należy ci się przyzwoite wynagrodzenie. Takie żebyś mógł posyłać syna do dobrej szkoły i czuł się finansowo zabezpieczony. Co myślisz o sumie dwustu pięćdziesięciu tysięcy rocznie?

Co myślę? Nic. Zamurowało mnie. Owszem, dawno temu całkiem sporo zarabiałem, ale dwieście pięćdziesiąt tysięcy to naprawdę kupa szmalu jak dla idioty. Przez chwilę siedziałem bez słowa, a potem skinęłam makową. Że niby się zgadzam.

- W porządku - ucieszył się Ivan Bonzosky. - Więc umowa stoi.

A pan Mike Mulligan tylko się uśmiechnął jak głodna pchła na widok tłustego kota.

Przez następnych parę miesięcy zasuwam jak mały parowozik. Łapa niemal mi odpada od podpisywania dokumentów dotyczących fuzji, kupna, wykupna, wyprzedaży, opcji takich, siakich i nijakich. Któregoś dnia natykam się w holu na Ivana. Idzie i rechocze jak kto głupi.

- Wiesz, Gump - mówi do mnie - lubię takie dni jak dzisiejszy. Wykupiliśmy pięć linii lotniczych. Trzy zamknąłem, dwóm zmieniłem nazwy. A durni pasażerowie nawet się nie domyślają, co jest grane! Wsiadli do wielkiego stalowego cygara, zapięli pasy, prują dziewięćset kilometrów na godzinę i nie wiedzą, że wylecieli samolotem jednej linii, a dolecą zupełnie innej! To mi się podoba!

- Pewnie się zdziwią - mówię.

- Ale nie tak jak ci, co lecą liniami, które zamknąłem - mówi Ivan i trzęsie się ze śmiechu.

- Nadaliśmy przez radio wiadomość dla pilotów, że mają natychmiast lądować na najbliższym lotnisku i wysadzić wszystkich pasażerów. Jezu, już to sobie wyobrażam! Myśli jakiś cymbał, że leci do Paryża, a nagle ląduje w Thule na Grenlandii. Albo ktoś wybiera się do Los Angeles, a tu nagle musi wysiąść w Montanie, Wisconsin czy diabli wiedzą gdzie!

- Nie będą źli? - pytam.

- Chrzanię to, Gump. Na tym polega dobry, stary kapitalizm! Czego można więcej chcieć? Trzeba konsolidować interesy, wywalać ludzi z roboty, napędzać im stracha, a kiedy nie patrzą, dobierać się im do kieszeni. O to w tym wszystkim chodzi, mój drogi!

I tak się to ciągnęło: ja podpisywałem różne papiery, a Ivan z Mulliganem coś tam kupowali i sprzedawali. Powoli zaczęłam rozkoszować się życiem w Nowym Jorku. Oglądałem sztuki na Broadwayu, chodziłem do ekskluzywnych klubów i na imprezy dobroczynne w "Tavern on the Green". Chyba nikt w Nowym Jorku nie gotował w domu - wszyscy codziennie łazili do restauracji i pałaszowali dziwnie wyglądające potrawy, które kosztowały tyle co cała szafa

nowych ubrań. Mnie akurat ceny nie przeszkadzały, bo zarabiałem fortunę. Na ogół towarzyszyła mi panna Hudgins. Zresztą to ona wyciągała mnie na te imprezy, mówiła że Ivan chce żeby mnie “widywano” na mieście. No więc daję się widywać. Nie ma tygodnia żeby nie pisali o mnie w rubryce towarzyskiej, często też drukują moje zdjęcie. Panna Hudgins mówi że w Nowym Jorku są trzy gazety: “gazeta dla mądrych”, “gazeta dla głupich” i “gazeta dla kretynów”. Ale “każdy, kto jest kimś” czyta wszystkie trzy żeby sprawdzić czy w którejś o nim przypadkiem nie piszą.

Któregoś wieczoru byliśmy na wielkim balu dobroczynnym. Kiedy bal się skończył Eddie odwiózł mnie do domu, a potem miał odwiedzić pannę Hudgins. Ale tym razem panna Hudgins wysiada ze mną z limuzyny i mówi żebym ją zaprosił na drinka. Nie wiem dlaczego nie może się napić u siebie, ale nieładnie jest odmawiać kobiecie, więc ruszamy razem do windy.

Kiedy wchodzimy do mieszkania panna Hudgins najpierw nastawia jakąś muzykę, potem idzie do barku i nalewa sobie szkocką - bez wody i kostków lodu. Następnie zrzuca buty i rozsiada się na kanapie w pozycji prawie leżącej.

- Może byś mnie pocałował? - mówi.

No to podchodzę i cmokam ją w polika, ale ona chyba chce czegoś więcej, bo chwytą mnie i przewraca na siebie.

- Zaczekaj, Forrest. Powąchaj.

Wyjmuje fiolkę i wysypuje na czubek paznokcia ciupkę białego pyłku.

- Po co? - pytam.

- Dobrze się poczujesz - ona na to. - Silny, jurny...

- Dlaczego mam się tak czuć?

- Nie zadawaj pytań, Forrest. Po prostu powąchaj i już. Jak ci się nie spodoba, możesz tego więcej nie robić.

Wcale nie miałem ochoty nic wąchać, ale biały pyłek wyglądał niegroźnie. Zresztą było go tyle co kot napłakał. Więc wciągnęłam go do nosa i zaraz kichnęłam.

- Nawet nie wiesz, Forrest, jak długo czekałam na tę chwilę - powiada panna Hudgins. - Pragnę cię.

- Eeee... - ja na to. - Myślałam że... że łączą nas tylko stosunki zawodowe.

- No właśnie, czas je skosztować - mówi ona i dyszy mi do ucha, a potem ściąga mój krawat i zaczyna mnie obłapiać to tu to tam.

Zupełnie nie wiedziałem co robić. Niby słyszałem że nie należy zadawać się intymnie z osobami, z którymi się pracuje, bo - jak powiadał porucznik Dan - "zły to ptak, co własne gniazda kala", ale... No właśnie, miałem problem. Po pierwsze panna Hudgins była bardzo piękną kobietą, a ja z żadną, ani piękną ani brzydką, od dawna nie byłem sam na sam... po drugie nie odmawia się kobiecie... wynajdowałem różne usprawiedliwienia i wymówki i po chwili razem z panną Hudgins kotłowałem się w łóżku.

Kiedy było po wszystkim panna Hudgins zapaliła papierosa, ubrała się i wyszła, a ja zostałem sam. Wcześniej rozpałała ogień w kominku, więc było nastrojowo, szczapki się żarzyły i w ogóle, ale nie czułem się dobrze i błogo, przeciwnie - czułem się samotny i wystraszony. Leżałem w łóżku, gapiłem się w ogień i dumałem nad tym jakie będzie to moje życie w Nowym Jorku, kiedy nagle zobaczyłem w płomieniach twarz Jenny.

- No i co, ważniaku, pewnie jesteś z siebie dumny? - pyta się mnie.

- Nie, zupełnie nie, właściwie to żałuję. Słowo daję, wcale nie chciałem iść z panną Hudgins do łóżka.

- Nie o tym mówię, Forrest - powiada Jenny. - Nawet by mi do głowy nie przyszło oczekiwać, że zostaniesz mi wierny. Przecież jesteś facetem z krwi i kości. Masz swoje potrzeby. Nie, nie to miałam na myśli.

- Więc co? - pytam.

- Twoje życie, matolku - ona na to. - Zastanów się: co tu robisz? Kiedy ostatni raz widziałeś się z małym Forrestem?

- Eeee, dzwoniłem do niego kilka tygodni temu. I wysłałem mu trochę pieniędzy...

- Myślisz, że do tego sprowadza się rola ojca? Że wystarczy czasem zadzwonić i wysłać czek?

- No nie, ale co mam robić? Muszę zarabiać na życie. A gdzie ja znajdę pracę? Ivan przynajmniej płaci mi fortunę - mówię.

- Tak? A wiesz za co? Czy chociaż domyślasz się, jakie dokumenty codziennie podpisujesz?

- Nie, ale tak ma być. Pan Bonzosky mówił że im mniej wiem tym lepiej.

- No właśnie. Obawiam się, Forrest, że czeka cię przykra niespodzianka. Aha, jeszcze jedno. Pewnie również nie wiesz, co to był ten biały proszek, który wciągnąłeś do nosa?

- No nie bardzo - mówię.

- Ale mimo to go spróbowałaś. I po co? Oj, Forrest, tyle razy ci mówiłam, że może nie grzeszysz zbytnim rozumem, ale jesteś mądrzejszy niż się ludziom wydaje. A ty koniecznie starasz się udowodnić, że się mylę. Wiesz, w czym tkwi twój problem? W tym, że nie myślisz. Że nie zastanawiasz się, zanim coś zrobisz. Rozumiesz?

- Trochę liczyłem na twoją pomoc...

- Przecież mówiłam, że nie mogę ciągle cię mieć na oku - ona na to. - Sam musisz się o siebie troszczyć, Forrest. A przy okazji zacząć się bardziej troszczyć o syna. Mamie przybywa lat... nie można wszystkiego zostawiać na jej głowie. Zresztą chłopcu w tym wieku potrzebny jest tatuś.

- No dobrze, ale co mam robić? - pytam. - Chcesz żebym go ściągnął tutaj? Może jestem głupi, ale na głowę nie upadłem. Nowy Jork to nie miejsce żeby wychowywać dzieciaka. Żyją tu albo same bogacze albo sama biedota, nie ma ludzi normalnych, takich pośrodku. I nie liczą się żadne wartości, tylko pieniądze i inne takie bzdety, na przykład czy gazety piszą o tobie czy nie.

- W takim światku się obracasz. Nie pomyślałeś, że żyjesz z klapkami na oczach? Miasto ma również inne oblicze. W końcu wszędzie są ludzie dobrzy i źli.

- Po prostu robię to co mi Bonzosky każe - mówię.

- Kiedyś robiłeś to, co ci dyktowało sumienie.

Nie wiedziałem jak zareagować. Nagle twarz Jenny zaczęła znikać w płomieniach.

- Jenny, poczekaj! - zawołałem. - Dopiero zaczęliśmy sobie wyjaśniać pewne rzeczy! Nie odchodź! Przecież byłaś tu tylko kilka minut...

- Dobranoc, Forrest - ona na to. - Karaluszki do poduszki... - I po chwili całkiem się rozplynęła.

Usiadłem na łóżku. Łzy naleciały mi do oczu. Byłem zupełnie sam, nikt mnie nie rozumiał, nawet Jenny. Miałem ochotę naciągnąć kołdrę na łeb i nigdy więcej nie wstawać, ale po jakimś czasie dźwigłem się na nogi, ubrałem i poszedłem do biura. Na biurku leżał stos papierów, które panna Hudgins zostawiła mi do podpisu.

W jednej sprawie Jenny miała rację. Powinnem spędzać więcej czasu z małym Forrestem. No więc umówiłem się z panią Curran że dzieciak przyleci do mnie na kilka dni. Przyleciał w piątek. Eddie odebrał go z lotniska. Myślałem że limuzyna zatka małemu dech. Nie zatkała.

Wszedł do mojego gabinetu ubrany w dżinsy i bawełniany podkoszulek, rozejrzał się i z miejsca oświadczył że wolał świńską farmę.

- Dlaczego? - pytam.

- Bo mi się tu nie podoba. Widok z okna, owszem, jest ładny, ale co z tego?

- Ja tu pracuję, zarabiam...

- Jak?

- Podpisuję dokumenty.

- Całe życie będziesz podpisywał? - pyta się mnie.

- Nie wiem - mówię. - Dobrze mi płacą. Mały Forrest pokręcił głową i podszedł do okna.

- Co to? - pyta. - Statua Wolności?

- We własnej osobie - mówię.

Nie mogę się nadziwić jak bardzo urósł i jaki ładny zrobił się z niego chłopaczek. Ma około metra pięćdziesiąt wzrostu, jasne włosy takie jak Jenny i jej niebieskie oczy.

- Chcesz ją obejrzyć? - pytam go.

- Kogo?

- No, ją. Statuę Wolności.

- Może - mówi.

- To dobrze. Bo zabieram cię na zwiedzanie miasta. Przez kilka najbliższych dni obejrzymy wszystko co jest do zobaczenia.

I zaczęliśmy zwiedzać. Najpierw obejrzelśmy sklepy na Piątej Alei, potem Statuę Wolności, potem Empire State Building skąd mały Forrest chciał coś zrzucić żeby zobaczyć jak długo będzie spadało, ale mu nie pozwoliłem, potem grobowiec Granta, potem Broadway gdzie jakiś gość się obnażał, a na końcu park Centralny - tyle że tam byliśmy krótko, bo to ulubione miejsce bandytów. Przejechaliśmy ze dwie stacje metrem i wysiedliśmy przy Pięćdziesiątej Dziewiątej. Stamtąd poszliśmy do hotelu Plaża napić się coli. Rachunek wyniósł dwadzieścia pięć dolców.

- Kupa szmalu - powiedział mój syn.

- Ale nas stać - odpowiedziałem.

Dzieciak pokręcił głową i ruszył do wyjścia. Widziałem, że nie najlepiej się bawi, ale co mogłem na to poradzić? Nic, kurde. Żadne sztuki go nie interesowały, największy sklep z zabawkami też nie. W Metropolitan Museum przez chwilę patrzył zaciekawiony na coś co

przypominało grobowiec egipskiego króla Tutka czy jak mu tam, ale potem oświadczył że to tylko sterta starych kamulców i znów wyszliśmy na ulicę.

Wreszcie odwoziłem go do domu, a sam wróciłem do biura. Kiedy panna Hudgins przyniosła mi kolejny stos papierów do podpisu zapytałem ją o radę.

- Może chciałby popatrzeć na znanych ludzi?
- Gdzie ja ich znajdę? - spytałem.
- Jak to gdzie? W "Elaine's".
- Co to?
- Najmodniejsza restauracja w mieście. Jedyna w swoim rodzaju.

Więc poszliśmy do restauracji pani Elaine.

Zjawiliśmy się punkt piąta, bo o tej porze większość ludzi jada, ale restauracja pani Elaine świeciła pustkowiem. Poza tym lokal wcale nie był elegancki ani nic i w ogóle niczym się nie wyróżniał. Po sali pałętało się kilku kelnerów, a przy końcu baru siedziała sympatyczna grubaska i robiła jakieś obliczenia. Pomyślałem sobie że to właśnie Elaine.

Zostawiłem małego Forresta przy drzwiach, a sam poszedłem się przedstawić i wyjaśnić po co przyszedłem.

- No tak - powiada Elaine - ale trochę za wcześnie się pan zjawił. Goście zaczną się schodzić dopiero za jakieś pięć godzin.

- Tak? To co? Najpierw jedzą gdzie indziej, a potem tu przychodzą? - pytam.

- Nie, głuptasie - ona na to. - Przychodzą wtedy, kiedy kończy się bankiet, premiera albo wernisaż. Jesteśmy czynni prawie do rana.

- A czy ja z synem moglibyśmy teraz coś zamówić?

- Oczywiście, proszę bardzo.

- A nie wie pani przypadkiem jacy sławni ludzie wpadną dzisiaj? - pytam.

- Pewnie ci sami co zwykle - ona na to. - Barbra Streisand, Woody Allen, Kurt Vonnegut, George Plimpton, Lauren Bacall. Może Paul Newman albo Jack Nicholson, jeśli akurat są w mieście.

- Oni wszyscy tu przychodzą?

- Tak, dość często zaglądają. Ale uprzedzam, mamy jedną zasadę, której bezwzględnie należy się trzymać. Nie wolno podchodzić do stolików, przy których siedzą sławy, i zawracać im

głowy - mówi pani Elaine. - Nie można robić żadnych zdjęć ani nagrywać rozmów, jasne? Może pan usiąść przy tamtym dużym okrągłym stole. Nazywamy go "stołem rodzinnym". Jeśli przyjdzie ktoś sławny, kto akurat nie będzie z nikim umówiony, posadzę go obok i będzie mógł pan porozmawiać.

Więc usiedliśmy we dwóch, mały Forrest i ja, przy dużym stole rodzinnym. Zjedliśmy kolację, zamówiliśmy jeden deser, potem drugi, ale gości w restauracji wciąż była zaledwie garstka. Mały Forrest wiercił się i ziewał, ale chciałem czymś zaimponować synowi i ci sławni ludzie to była moja ostatnia deska. Dzieciak już zasypiał z nudów, kiedy drzwi otwierają się i kto wchodzi? Elizabeth Taylor we własnej osobie!

Wreszcie lokal zaczął się zapełniać. Zjawili się Bruce Willis, Donald Trump i gwiazda filmowa Cher. Potem George Plimpton z przyjacielem, niejakim panem Spinellim i pisarz William Styron. Następnie Woody Allen z całym dworem i pisarze Kurt Vonnegut, Norman Mailer i Robert Ludlum. Różne sławy się schodzą, wszystkie odpicowane w drogie ciuchy i futra. Tłumaczyłem synkowi kto jest kto, bo o wielu z nich czytałem w gazetach.

Niestety wszyscy są z kimś poumawiani i siedzą ze sobą, a nie z nami. Po jakimś czasie pani Elaine przysiąda się do naszego stolika, pewnie żebyśmy się nie czuli zbyt samotni i sponsonowani.

- Przykro mi - powiada. - Miałam nadzieję, że uda mi się kogoś wam dosadzić.

- No trudno - mówię. - Ale skoro nie możemy pogadać z nikim sławnym, może chociaż pani nam powie o czym oni gadają między sobą. Chciałbym żeby mały Forrest miał jakie takie pojęcie o nowojorskich znakomitościach...

- O czym gadają? Hm, gwiazdy filmowe na pewno o sobie - mówi pani Elaine.

- A pisarze? - pytam.

- Pisarze? Hm, pewnie o tym co zawsze. O baseballu, pieniądzach i dupach.

W tym momencie w drzwiach staje jakiś facet i Elaine macha do niego, żeby się do nas przysiadł.

- Panie Gump - zwraca się do mnie gospodyni - przedstawiam panu Toma Hanksa.

- Miło mi - mówię, po czym przedstawiam mu mojego syna.

- Widziałem cię w telewizji - mówi do Hanksa mały Forrest.

- Pan jest aktorem? - pytam gościa.

- Tak - odpowiada Tom Hanks. - A pan?

No więc zaczęłem mu streszczać swoje liczne kariery. Przez jakiś czas Hanks słuchał w milczeniu, a potem mówi do mnie:

- Barwne wiódł pan życie, panie Gump. Ktoś powinien nakręcić o panu film.

- E tam - mówię. - Kogo obchodzi los idioty?

- Nigdy nic nie wiadomo - mówi Hanks. - Życie jest jak pudełko czekoladek. A propos czekoladek... może się pan poczęstuje? Mam tu całą bombonierkę...

- Nie, dziękuję, nie przepadam za czekoladkami. Tom Hanks przygląda mi się jakoś dziwnie.

- Poznać głupiego po czynach jego - mówi, po czym wstaje i odchodzi do innego stolika.

Następnego dnia w biurze panuje straszne zamieszanie. - O Boże! O Boże! - krzyczy panna Hudgins. - Aresztowali pana Bonzosky'ego!

- Kto? - pytam się jej.

- Policja! - ona wrzeszczy w odpowiedzi. - Kto inny aresztuje ludzi?! Zabrali go do więzienia!

- Za co? - pytam.

- Jak to za co? Za szwindel! Za szwindel! - ryczy panna Hudgins.

- Przecież to ja odpowiadam za Szwindel - mówię. - Ja jestem prezesem. Dlaczego mnie nie aresztowali?

- Nie martw się, frajerze, jeszcze nic straconego. Obejrzałem się do tyłu. Głos który to powiedział należał do rosnącego detektywa. Facet stał w drzwiach, a za nim stało dwóch typów w mundurach. Wyglądał mało sympatycznie.

- No dobra, marsz do radiowozu. Grzecznie, spokojnie, to nie będziesz miał kłopotów.

Gównu prawda. Poszłem grzecznie, spokojnie, a kłopoty i tak miałem.

I znów trafiłem do pierdła. Mogłem się niby spodziewać że to moje prezesowanie długo nie potrwa, ale nie spodziewałem się że wybuchnie afera aż na tyle fajerek. Jak się gliniarze rozkręcili to aresztowaniom końca nie było. Nie tylko znikli w pace mnie i Ivana, ale również Mike'a Mulligana i pełno innych osób. Pannę Hudgins też. Pozwolili mi wykonać jeden telefon, więc zadzwoniłem do małego Forresta i powiedziałem że nie wrócę wieczorem na kolację. Nie miałem serca powiedzieć mu: "Synku kochany, tatuś znów jest w ciupie".

Ivan przebywa w sąsiedniej celi. Wcale się nie gnębi - przeciwnie, jest wesoły jak szczygieł, co mnie trochę dziwuje.

- No, Gump - powiada - czas najwyższy, żebyś odstawił swój numer.

- Jaki numer? - pytam go.

- Taki sam, jaki odstawiłeś, kiedy oskarżono Northa. Bierz winę na siebie! Kłam i osłaniaj!

- Kogo? - pytam.

- A jak myślisz, idioto jeden! - on na to. - Mnie! Do jasnej cholery, a po co uczyniłem cię prezesem działu Szwindel? Ze względu na twoją prezencję i wyjątkowy intelekt? Nie, fujaro! Zatrudniłem cię, żebyś w razie wpadki nadstawiał za nas karku!

- Aha - mówię.

Kurde, powinienem był wiedzieć że jest jakiś haczyk.

Przez następnych kilka dni przepytują mnie setki różnych gliniarzy, prawników i speców z agencji finansowych. A ja ani mru-mru. Trzymam gębę na kłódkę, więc oni szaleją z wściekłości, ale nic nie mogą zrobić. Tyle się ich wokół kręci że zupełnie nie umiem się połapać, którzy reprezentują nas - znaczy się mnie, Ivana Bonzosky'ego i Mike'a Mulligana - a którzy chcą nam dokopać. Ale wszystko jedno, bo i tak nic nie mówię. Siedzę cicho jak truś pod miotłą.

Któregoś dnia strażnik mówi mi że mam gościa. Idę do sali widzeń, patrzę - a tam znów czeka mały Forrest.

- Skąd się dowiedziałeś? - pytam go.

- Trudno się było nie dowiedzieć - on na to. - Wszyscy o tym trąbia, prasa, telewizja. Ludzie mówią, że to największy skandal od czasu afery korupcyjnej w Teapot Dome.

- Gdzie?

- Nieważne - mówi dzieciak. - Chciałem ci powiedzieć, że poznałem właścicielkę domu, panią Leone Helmsley. Tę, która miała być taka miła.

- I co? Dobrze się tobą opiekuje? - pytam.

- Jasne. Wyrzuciła mnie na bruk - powiada mały.

- Co?

- Obu nas wyrzuciła. Powiedziała, że nie życzy sobie, aby w jej domu mieszkał jakiś aferzysta.

- Jak sobie radzisz?

- Znalazłem pracę przy zmywaniu naczyń - mówi dzieciak.

- Słuchaj, poszukaj mojej książeczki czekowej. Mam trochę grosza w banku. Starczy ci na opłacenie mieszkania, dopóki nie będziesz musiał wrócić do Mobile. Może nawet starczy na wpłacenie za mnie kaucji.

- Dobra - mówi mały Forrest. - Ale tym razem naprawdę wpakowałeś się w gówno.

No cóż, ma dzieciak rację.

Po wpłaceniu kaucji wyszłem na wolność. Ale daleko nie zaszłem. Wynajęłem mieszkanie w dzielnicy, w której się roiło od przestępców, żebraków i prostytutków.

Małego Forresta ciekawiło jak się zachowam na procesie, ale z ręką na sercu - sam nie bardzo wiedziałem. No bo kurde flaki! - po to mnie Ivan zatrudnił, żebym był kozłem ofiarnym, więc głupio byłoby go zawieść, nie? Z drugiej strony myślę sobie: Forrest, nie bądź durniem, dlaczego do usranej śmierci masz gnić w kiciu? Po to żeby Ivan Bonzosky i Mike Mulligan mogli sobie używać na wolności? Trochę mi się to wydało niesprawiedliwe.

Któregoś dnia mały Forrest mówi:

- Wiesz, chętnie bym znów zwiedził Statuę Wolności. Podobała mi się tamta wycieczka.

Więc wybraliśmy się statkiem na wyspę. Statua lśniła w słońcu i w ogóle była w porządku. Najpierw przeczytaliśmy napis na cokole o "zgrupowanych tłumach tęskniących, by odetchnąć wolnością", a potem weszliśmy na górę, najwyżej jak się dało, i stamtąd oglądaliśmy port i te wszystkie drapaki, które prawie dotykały chmur.

- To co, będziesz sypał na procesie? - pyta mnie dzieciak.

- Co sypał?

- Nie co, tylko kogo. Bonzosky'ego i Mulligana.

- Nie wiem. A bo co?

- Bo czas najwyższy się zdecydować - powiada mój syn.

- Dumam i dumam - ja na to - i nic nie mogę wydumać.

- Nieładnie być kapusiem - mówi mały Forrest. - Pułkownika Northa, na przykład, nie wsypałeś...

- Tak, i sam wylądowałem w więzieniu.

- A mnie wszyscy dokuczali w szkole. Ale pewnie jeszcze bardziej by mi dokuczali, gdybyś sypał.

Chyba dzieciak miał rację. Ale nic. Stałem prawie na czubku Statuy Wolności, myślałem i myślałem (w czym nie jestem za dobry), gnębiłem się (w czym jestem świetny) i wreszcie podjąłem decyzję.

- Czasem - powiadam do syna - trzeba postąpić tak jak dyktuje sumienie.

W końcu rozpoczął się proces. Odbywa się w wielkiej sali w sądzie federalnym, a prokurator nazywa się Guguglianti. Powinien być burmistrzem czy coś, bo strasznie się szarogęsi. Nieprzyjemny typ. Zwraca się do nas takim tonem jakbyśmy zabili kogo siekierą albo gorzej.

- Wysoki Sądzie, szanowna ławo przysięgłych - mówi. - Ci trzej mężczyźni, których macie przed sobą, to najgorszy rodzaj przestępcy, jaki istnieje. Są winni zuchwałej kradzieży, kradzieży waszych pieniędzy...

Kurde flaki, to był dopiero początek mieszania nas z błotem!

Potem wyzywał nas od kanciarzy, złodziejów, kłamców, oszustów. Gdyby nie to że byliśmy w sądzie pewnie powyzywałby nas również od kutasów i śmierdzieli.

Kiedy pan Guguglianti przestał wycierać sobie nami pysk, do akcji przystąpiła obrona. Ivan Bonzosky pierwszy składał zeznania.

- Panie Bonzosky, czy przyznaje się pan do korzystania z nielegalnie uzyskanych informacji oraz przekazywania ich innym? - pyta go nasz adwokat.

Reprezentuje nas duża nowojorska firma adwokacka panów B. Lagiera, O. Szusta i H. Ieny.

- Nie. Jestem absolutnie, totalnie, stuprocentowo niewinny - mówi Ivan Bonzosky.

- W takim razie kto je przekazywał, jeśli nie pan? - pyta adwokat.

- Forrest Gump - powiada Ivan. - Mianowałem go szefem działu Szwindel z wyraźnym poleceniem, ażeby ukrócił wszystkie szwindle. Zależało mi na dobrej reputacji firmy. Okazuje się, że zatrudniłem oszusta i hochsztaplera...

Ciągnie dalej na tę nutę i robi ze mnie takiego łobuza że tylko się i płakać. Mówi że jestem odpowiedzialny za wszystkie szwindle. On o niczym nie wiedział. Jest czysty jak łąza. To ja chciałem się z bogacić w nielegalny sposób.

- Niech Bóg zlituje się nad duszą tego łajdaka - powiada na zakończenie.

Po nim zeznawał Mike Mulligan. Mulligan mówił że dzwoniłem do niego i radziłem mu jakie akcje ma kupić, a jakie sprzedać, ale on oczywiście nie wiedział że przekazuję mu nielegalnie uzyskane informacje, bo niby skąd miał wiedzieć. Myślał że tak sobie gadamy po przyjaźni. Pieprzył różne takie bzdury, no i wreszcie się kapłem że obaj, Mike z Ivanem, wiążą mi smyczek na szyi. A prokurator Guguglianti cały czas świdrował mnie złym wzrokiem.

W końcu nadeszła moja kolej.

- Panie Gump - mówi Guguglianti - niech pan nam powie, czym się pan zajmował, zanim został pan prezesem działu Szwindel w firmie pana Bonzosky'ego?

- Byłem Goliatem.

- Kim?

- Goliatem. Wie pan, tym olbrzymem z Biblii.

- Panie Gump, przypominam panu, że znajdujemy się w sądzie. Lepiej niech pan nie żartuje sobie z Wysokiego Sądu, bo jeszcze Wysoki Sąd zażartuje sobie z pana. Czy wyrażam się jasno? - pyta Guguglianti.

- Ale ja wcale nie żartuję - mówię. - Naprawdę byłem Goliatem. W Ziemi Świętej.

- Panie Gump, czy panu brak piątej klepki...?

W tym momencie zrywa się z miejsca nasz prawnik.

- Wysoki Sądzie, zgłaszam sprzeciw! - woła. - Mój szanowny kolega obraża świadka!

- Hm... - sędzia na to. - Pan Gump rzeczywiście sprawia wrażenie pomyłonego... Goliat, tak...? Chyba jednak skieruję pana Gumpa na badania psychiatryczne.

I tak zrobił.

Zawieźli mnie do szpitala dla bzików. Od razu zlecieli się doktory i dawaj walić mnie po kolanach małym gumowym młotkiem. Nawet się zbytnio nie dziwiłem, bo z młodości pamiętałem że lekarze lubią te gumowe młotki. Następnie dali mi pełno różnych układanek do układania, potem zaczęli zanudzać mnie pytaniami, po pytaniami zrobili mi test, a na koniec znów chwycili za młotki. Potem zostałem odstawiony z powrotem do sądu.

- Panie Gump - mówi sędzia - mam tu oświadczenie psychiatry. Tak jak się spodziewałem, jest pan człowiekiem upośledzonym umysłowo. A zatem oddalam sprzeciw. Oskarżyciel może kontynuować przesłuchanie.

Prokurator Guguglianti zadaje mi tabuny pytań na temat mojej pracy i roli w szwindlach. Przy naszym stole Ivan Bonzosky i Mike Mulligan szczerzą zęby jak na fotelu u dentysty.

Przyznałem się do podpisywania dokumentów, do tego że czasami dzwoniłem do Mike'a Mulligana i dawałem mu rady. Nie, nie uprzedzałem go że przekazuję nielegalnie zdobyte informacje. Wreszcie pan skarżyciel Guguglianti powiada:

- Wygląda na to, panie Gump, że zaraz zacznie się pan bić w pierś, do wszystkiego się pan przyzna i zaoszczędzi pracy zarówno Wysokiemu Sądowi, jak i ławie przysięgłych. Czy mam rację?

Przez chwilę siedziałem bez słowa i rozglądałem się po sali. Sędzia gapił się na mnie z wyczekującą miną, panowie Bonzosky i Mulligan siedzieli z pokrzyżowanymi rękami i uśmiechali się z wyższością, nasi adwokaci kiwali głowami jakby chcieli mnie zachęcić do przyznania skarżycielowi racji. Na ławie dla widzów zauważyłem małego Forresta. Buzię miał jakąś taką smutną. Chyba domyślał się co chcę zrobić i wiedział że nie mam innego wyjścia. No dobra, w końcu westchnęłam i mówię:

- Nie myli się pan... jestem winny. Ale tylko jednej rzeczy: podpisywania dokumentów.

- Zgłaszam sprzeciw! - woła nasz obrońca.

- Na jakiej podstawie? - pyta sędzia.

- No, hm... zaledwie przed chwilą lekarze ustalili, że ten człowiek jest niespełna rozumu. Czy zatem ktoś, kto jest niespełna rozumu, może kogokolwiek obciążać winą?

- Oddalam sprzeciw - mówi sędzia. - Ciekaw jestem, co świadek ma nam do powiedzenia.

No to im powiedziałem.

Wszystko od początku do końca - o tym jak robiłem za Goliata, o rozruchach w Ziemi Świętej, o tym jak miałem wrócić do paki, ale pan Bonzosky wstawił się za mną i dał mi pracę, o jego instrukcjach żeby podpisywać dokumenty, ale ich nie czytał, bo i po co. Zresztą i tak bym nic nie zrozumiał, bo jestem biedny idiota, który w ogóle nie wie o co w całej tej sprawie chodzi.

Słowem, wsypałem panów Bonzosky'ego i Mulligana.

Kiedy skończyłem, na sali sądowej wybuchła istna pandemonia. Wszyscy adwokaci poderwali się z krzesel i jeden przez drugiego wrzeszczeli: sprzeciw, sprzeciw! Gryzypiórki rzuciły się pędem do telefonów. Ivan Bonzosky i Mike Mulligan skakali w górę i w dół jak nakręcane pajace i darli się na pełny regulator że jestem podłą szumowiną, niewdzięcznikiem, wrednym skurwysynem, kłamcą i skarżypytą. Sędzia walił młotkiem w stół i krzyczał że ma być

spokój, ale nikt go nie słuchał. Zerknęłam w stronę małego Forresta i po jego minie zobaczyłam że podjęłam słuszną decyzję. I w tym momencie podjęłam jeszcze jedną: że choćby nie wiem co się działo, już nigdy więcej nie będę żadnym kozłem ofiarnym i za nikogo nie będę nadstawiać karku, koniec, kropka.

Jak mówiłam synowi, czasem trzeba postąpić tak jak sumienie dyktuje.

Rozdział 9

Wyglądało na to że będę wolny jak ptak, ale oczywiście się myliłem.

Wkrótce po moich zeznaniach sędzia przywalił Bonzosky'emu i Mulliganowi wyrok - a Bonzosky'emu jeszcze dodatkowo jakąś księgą w łeb, bo tak się na niego zdenerwował - i prosto z sądu odtransportowano ich do ciupy. Następnego dnia rozlega się pukanie do moich drzwi. Otwieram i widzę dwóch żandarmów w lśniących czarnych hełmach, z pałkami przy pasku i opaskach na rękach.

- Szeregowy Gump? - pytają mnie.

- Ano - mówię.

- Musicie się z nami udać - powiadają - ponieważ zdezerterowaliście z wojska.

- Jak to? Ja nigdzie nie zerterowałem - mówię im. - Ja grzecznie siedziałem w pierdlu.

- Słyszeliśmy - oni na to. - Ale do końca służby zostały wam jeszcze dwa lata. Na tyleście się zaciągnęli, kiedy zaczęliście pracować z pułkownikiem Northern. Już od jakiegoś czasu was szukamy, no i wczoraj zobaczyliśmy o was artykuł w gazecie...

Żandarm pokazuje mi "New York Post", a tam wielkimi literami pisze: **PRZYGLUP KABLUIE NA WIELKICH FINANSISTÓW.**

THE NEW YORK POST

W dniu wczorajszym człowiek o ilorazie inteligencji "w granicach 70-tki" wsypał w sądzie dwóch finansistów, których nazwiska często figurowały na łamach naszej gazety, w wyniku czego obaj zostali skazani na długoletnie kary więzienia.

Forrest Gump, o którym nasz informator powiada, że jest "głupszy niż but", zeznał przed sędzią federalnym na Manhattanie, że pracując na stanowisku prezesa działu Szwindel biura maklerskiego Ivana Bonzosky'ego nie miał najmniejszego pojęcia o jakichkolwiek szwindlach.

Z panem Gumpem, który ma niezwykle barwną przeszłość - między innymi był sprzedawcą encyklopedii, wynalazcą, specjalistą od przetwarzania zwierzęcych odchodów, a także szpiegiem na rzecz rządu Stanów Zjednoczonych, nie udało nam się, niestety, porozmawiać. Proces trwał kilka tygodni. Pan Gump nie został skazany.

- To co ze mną teraz będzie? - pytam żandarmów.

- Pewnie wsadzą was do aresztu, dopóki czegoś nie wymyślą - mówi jeden z nich.

Z pokoju wyszedł mały Forrest i przysłuchuje się rozmowie.

- Kto to? - pyta żandarm. - Wasz syn?

Milczę, mały Forrest też nic nie mówi, tylko łypie na obcych.

- Mogę pogadać chwilę z dzieciakiem? - pytam. - Nigdzie nie zwieję...

- No dobra. Poczekamy na zewnątrz. Tylko nie próbujcie żadnych sztuczek.

Kurde, cyrkowiec jestem czy co? Zresztą żadne mi nie były w głowie. Zamknęłam drzwi i usiadłam koło małego Forresta na kanapie.

- Słuchaj - mówię do chłopca - ci faceci przyszli mnie zabrać do woja i chcę czy nie chcę, muszę do niego iść. Więc wracaj do babci i przygotuj się na początek nowego roku szkolnego. Dobrze?

Dzieciak nie patrzył na mnie, gapił się na buty. W końcu pokiwał głową.

- Przykro mi że nie możemy dłużej pobyc razem - ciągnę dalej - ale tak już jest.

Mały znów pokiwał głową.

- Słuchaj, postaram się coś wykombinować. Pogadam z pułkownikiem Northern. Przecież nie będą mnie trzymać w areszcie w nieskończoność. Wyjaśnię im co i jak, a potem możemy wspólnie robić plany na przyszłość. Dobrze?

- Wiele z nich spaliło na panewce - mały na to.

- No to prawda - mówię. - Miałem pecha... Ale wreszcie coś musi mi się udać. Czas najwyższy żeby szczęście się do mnie uśmiechło.

Po tych słowach mały Forrest wstaje i rusza do swojego pokoju. W drzwiach odwraca się i po raz pierwszy od przyjścia żandarmów patrzy mi w oczy.

- W porządku - mówi. - Daj znać, jak cię wypuszczą z mamra. A o mnie się nie martw. Dam sobie radę.

Potem on poszedł się pakować, a ja poszłam z żandarmami. Czułam się jak zbity pies, a chandrę miałem na kilometr. Kurde, Forrest, myślałam sobie, masz takiego fajnego syna, ładnego, bystrego... dlaczego ciągle sprawiasz mu zawód?

Żandarmy miały rację: kiedy odstawili mnie do Waszyngtonu, od razu wpakowano mnie do paki. Na szczęście strasznie długo tam nie tkwiłam.

Natychmiast po tym jak mnie zanikli wysłałem list do pułkownika Northa i się poskarżyłem na swoją dolę. Bo to była - moim zdaniem - jawna niesprawiedliwość. Parę miesięcy później pułkownik przyszedł mnie odwiedzić.

- Przykro mi, Gump - powiada - ale niestety nie mogę ci pomóc. Po pierwsze, nie jestem już w piechocie morskiej, a po drugie, nie mam czasu, bo bez przerwy muszę strzec się kumpli ajatollaha. Chcą mnie ukatrupić, wiesz? Poza tym zamierzam kandydować do senatu. Jeśli wygram, nareszcie będę mógł bezkarnie obrażać tych wszystkich skurwysynów!

- To bardzo miło, panie pułkowniku. Ale co ze mną?

- Nie wiem. Jak dłużej posiedzisz, może się jeszcze spotkamy - mówi i wybucha śmiechem.

Po kolejnych kilku miesiącach o chlebie i wodzie komendant wzywa mnie do siebie.

- Postójcie na bacność, Gump - mówi - a ja tymczasem przejrzę wasze akta. - Jakies pół godziny później mówi: - Spocznijcie, Gump. - Odchyła się na krzesło i ciągnie dalej: - Widzę, że macie bardzo urozmaicony przebieg służby. Najpierw dostajecie zaszczytny Medal of Honor, a potem dezertujecie. Szajba wam odbijała czy co?

- Panie komendancie, ja nie zertererowałem. Ja siedziałem w więzieniu.

- Jeszcze gorzej - on na to. - Gdyby ode mnie zależało, natychmiast wywaliłbym was z wojska na zbity pysk. Ale widać ci z dowództwa nie chcą wyrzucać posiadaczy tak zaszczytnych odznaczeń. Pewnie uważają, że to by źle wyglądało. Więc musimy wydumać, co z wami zrobić. Macie jakieś propozycje?

- Mógłby mnie pan dać do kuchni albo co...

- Do kuchni? Czyście oszaleli? W tych aktach jest wszystko, Gump! O waszej przygodzie w kuchni też! O tym, jak gotowaliście gulasz w kotle parowym i jak ten kocioł wybuchł, niszcząc dach stołówki. Naprawa kosztowała majątek. Więc choćbyście błagali mnie na klęczkach, do kuchni was nie wpuszczę. - Przez chwilę komendant myśli, drapie się po brodzie i wreszcie powiada: - Chyba już wiem. Nie potrzebuję tu żadnych rozrabiaków czy wandali, toteż zostanieie przeniesieni. Jak najszybciej i jak najdalej stąd. To wszystko, Gump. Możecie odejść.

Z tym przeniesieniem "jak najdalej stąd" komendant wcale nie żartował. Zanim się obejrzałem przydzielono mnie do wojskowej stacji meteorologicznej na Alasce. A - kurde flaki! - był styczeń! Ale przynajmniej znów zaczęli wypłacać mi żołąd, więc wysłałem trochę pieniędzy

do Mobile dla małego Forresta. Właściwie to wysłałem prawie cały szmal, no bo co u licha miałem z nim robić na Alasce? I to jeszcze w środku zimy?

- Gump - powiada do mnie porucznik kierujący stacją. - Z waszych akt wynika, że kilka razy bardzo się nie popisali. Ale tu nie powinniście mieć żadnych kłopotów. Tylko się zbytnio nie wychylajcie...

Jeśli chodzi o kłopoty, to oczywiście się pomylił.

Było tak zimno na tej Alasce że jak się otwierało pysk, to słowa zamarzały w powietrzu, a jak się sikało na śnieg, to strumień zamieniał się w żółty sopel lodu.

Z początku moja praca miała polegać na czytaniu map pogody i innych takich bzdetach, ale po paru tygodniach tutejsze dowództwo kapło się że jestem ciołek i dało mi inną pracę, która polegała głównie na zamiataniu podłóg i pucowaniu kiblów. W wolne dni chodziłem na ryby. Robiłem dziurę w lodzie, wtykałem wędkę... Raz w trakcie tego łowienia pogonił mnie misiek polarny, a raz taka wielka foka z kłami jak słoń, która w dodatku zżarła wszystkie ryby co wcześniej złowiłem.

Stacja meteo znajdowała się w małej mieścinie nad oceanem. Mieszkańcy mieściny większość czasu spędzali na upijaniu się, Eskimosy też. Te Eskimosy to bardzo sympatyczni ludzie, chyba że się upiją i po pijaku urządzają na ulicy zawody w rzucaniu harpunem. Wtedy lepiej omijać ich dużym lukiem.

W którąś sobotę wieczorem, mniej więcej po dwóch miesiącach od mojego przyjazdu, wyszłem z chłopakami w miasto. Tak naprawdę wcale nie miałem ochoty nigdzie się szwendać, ale rzadko gdziekolwiek chodziłem, więc pomyślałem sobie: a co mi tam!

Postanowiliśmy zajrzeć do lokalu co się nazywał "Gorączka złota". W środku strasznie dużo się działo: jedni pili, inni się nawalali, jeszcze inni grali na pieniądze w karty, a na ladzie barowej gibała się striptizerka. Od razu przypomniał mi się rozbierany lokal Wandy w Nowym Orleanie i pomyślałem sobie, że powinienem wysłać jej pozdrowienia z Alaski czy coś. A kiedy zaczęłem myśleć o Wandzie-striptizerce przypomniała mi się świnia Wanda, którą dałem w Coalville małemu Forrestowi. Oczywiście na myśl o świni Forresta natychmiast zaczęłem myśleć o samym Forreście. Ale ponieważ w myśleniu nie jestem za dobry, postanowiłem nie myśleć tylko działać. I tak zrobiłem, to znaczy wyszłem na zewnątrz żeby kupić dzieciakowi jakiś prezent.

Zbliżała się siódma wieczór, ale tu przy kole polarnym o siódmej wieczór słońce świeci jak za dnia i wszystko jest otwarte. To znaczy głównie otwarte są bary i inne takie, sklepów nie ma zbyt wiele, a domów towarowych wcale. Ale nic, włożę do sklepiku z pamiątkami, w którym sprzedają różne cenne rzeczy, a to samородki złota, a to orle pióra, rozglądam się, patrzę i wreszcie wypatruję prezent dla małego Forresta. Prawdziwy alaskowy totem!

Nie był z tych wielkich trzymetrowców, miał tylko z metr wysokości, ale za to był całkiem ładnie pomalowany w jaskrawe kolory i ładnie wyrzeźbiony w orle dzioby, groźne indiańskie twarze, niedźwiedzie łapska i w ogóle. Zapytałem faceta za ladą ile totem kosztuje, a on na to:

- Tysiąc dwieście sześć dolarów. Wojsko ma u mnie specjalną taryfę.
- O kurde! A ile kosztował przed zniżką?
- Moja sprawa.

Przez chwilę stałem i dumałem: że robi się późno, że nie wiem kiedy znów będę w miasteczku, że powinienem odezwać się do małego Forresta. W końcu sięgnęłam do kieszeni, wyciągnęłam forszę i kupiłam totem.

- Mógłby mi pan go wysłać do Mobile w Alabamie? - pytam gościa.

- Jasne - on na to. - Ale to dodatkowe czterysta. Nie chciałem się spierać - byłem daleko od domu, na samym końcu świata - więc ponownie sięgnęłam do kieszeni i wygrzebałem kolejne cztery stówy. Zresztą tu i tak nie bardzo miałem na co wydawać forszę.

Następnie zapytałem sklepikarza czy mogę dołączyć list do syna, a on na to że pewnie, ale to mnie będzie kosztować jeszcze pięćdziesiąt dolców.

No trudno, pomyślałem sobie, skoro za tak okazijną cenę kupuję antyczny alaskowy totem, szarpnę się na kolejne pięć dychów. I napisałem taki list:

Kochany mały Forreście!

Pewnie dumasz co się ze mną dzieje na tej Alasce. Otóż wykonuję bardzo ważną pracę dla wojska Stanów Zjednoczonych i mam mało czasu na pisanie listów. Wysyłam ci do zabawy najprawdziwszy totem. Tutejsi Indianie uważają że to są święte przedmioty, więc dbaj o niego. Mam nadzieję że uczysz się dobrze i słuchasz babci.

Ściskam,

Już chciałem się podpisać “Tata”, ale dzieciak nigdy tak do mnie nie mówił, więc w końcu podpisałem się samym imieniem. Pomyślałem sobie że chłopiec jest bystry i domyśli się kto to taki ten “Forrest”.

No nic. Kiedy wróciłem do knajpy, moi kumple byli w trakcie upijania się. Usiadłem przy barze, siorbię sobie piwko, kiedy nagle spostrzegam faceta, który kima przy sąsiednim stoliku. Widziałem tylko jedną połowę jego twarzy, bo druga połowa leżała na blacie, ale gość wydał mi się znajomy, więc podchodzę bliżej, okrążam go raz i drugi i wiecie kogo widzę? Pana McGivvera, właściciela świńskiej farmy!

Podniosłem jego głowę i zaczęłem go budzić. Z początku pan McGivver w ogóle nie kapuje co ja za jeden. Nic dziwnego skoro na stoliku stoi prawie pusta butelka dżinu. Litrowa butelka. Ale po chwili oczy mu się zaświeciły i jak się nie zerwie na nogi! Jak się na mnie nie rzuci! Bałem się że będzie zły jak wąż, któremu ktoś depta po ogonie - przecież spowodowałem wybuch który wszystko mu zniszczył, ale pan McGivver wyściskał mnie mocno i ogólnie się ucieszył.

- Nie przejmuj się, chłopcze - mówi. - Pewnie dobrze się stało. Nigdy nie sądziłem, że ten świński interes aż tak się rozwinie, a później to ciągle napięcie tylko psuło mi zdrowie. Kto wie, może nawet wyrządziłeś mi wielką przysługę.

Oczywiście w wyniku wybuchu pan McGivver stracił wszystko. Mieszkańcy Coalville i ludzie z ochrony środowiska zamkli mu farmę i wygnali go z miasteczka. A banki - ponieważ był im winny kupę forsy, którą pożyczył na budowę napędzanej górnem floty - przejęły cały jego interes.

- Nie szkodzi, Forrest. Moją pierwszą miłością zawsze było morze. Co mnie, kurwa, podkusiło, żeby zostać jakimś pieprzonym hodowcą? Teraz przynajmniej robię to, o czym od dziecka marzyłem.

Zapytałem co.

- Pływam na statku. Jestem kapitanem - powiada dumny jak pawi ogon. - Moja łajba stoi w porcie. Chcesz ją obejrzeć?

- A długo to zajmie? - pytam. - Bo muszę wkrótce wracać do stacji meteo.

- Nie, chłopcze, dosłownie chwilę - mówi pan McGivver.

Tak bardzo to się chyba jeszcze nigdy w życiu nie pomylił.

Kiedy wsiedliśmy do szalupy pomyślałem sobie: kurde balas, łajba jak łajba, czym on się tak chwali? Ale potem okazało się że szalupa nie jest tym statkiem, o którym mówił. Statek stał dalej i był tak wielki że ze zdumienia oczy stanęły mi dęba. Z odległości wyglądał jak pasmo górskie - miał prawie kilometr długości, a wysoki był na dwadzieścia pięter.

Nazywał się "Exxon-Valdez".

- Wchodzimy! - krzyczy McGivver.

Jest mi zimno jak łysej małpie na mrozie, ale nic, gramolę się po drabince na górę, a potem idziemy na mostek. Pan McGivver wyciąga butelkę whisky, ale grzecznie odmawiam, bo niedługo muszę wracać do stacji meteo. Więc pan McGivver nalewa sobie - pije czystą whisky bez wody, bez lodów - i przez chwilę gadamy o dawnych czasach.

- Wiesz, Forrest - powiada. - Wiele bym dał, żeby zobaczyć jedną rzecz.

- Jaką? - pytam.

- Twarze tych wszystkich ważniaków, kiedy wystrzeliło gówno.

- O tak, to był niezły widok.

- A swoją drogą, co się stało ze świnią, którą dałem twojemu chłopakowi? Z... Jak ją nazwaliście?

- Wanda - mówię.

- Racja. Mądra była bestyjka.

- Jest w zoo w Waszyngtonie.

- Serio? Co tam robi?

- Nic. Siedzi w klatce, a ludzie przychodzą ją oglądać.

- A niech mnie! Żywy pomnik naszej głupoty!

Po jakimś czasie spostrzegam że pan McGivver znów jest pijany. Jest nie tylko pijany, ale zatacza się jak kulawa stonoga. W pewnym momencie dorwał się do tablicy rozdzielczej i zaczął się nad nią znęcać: wciskał różne guziki, pociągał wajchy, kręcił gałkami. Nagle "Exxon-Valdez" zatrząśniętą się. Pan McGivver musiał włączyć silnik.

- Chcesz się wybrać na małą przejażdżkę? - pyta mnie.

- Eee... nie, dziękuję - mówię. - Muszę wracać do stacji. Za godzinę mam dyżur.

- Za godzinę? Synku, za parę minut będziemy z powrotem! Zrobimy tylko krótki rejsik po zatoce!

Potyka się, zatacza, coś tam włącza. Wreszcie chwytą za ster i zaczyna kręcić. Ster obraca się w prawo, a pan McGivver razem z nim i w końcu ląduje na podłodze.

- Do kroćset piorunów! - wrzeszczy po pijacku. - Rumu mi dajcie! Piętnastu chłopów na skrzyni umrzyka... Wyciągajcie działa! Ale z ciebie junak, młody Jimie. Jam jest Długi Jan Silver, a tyś kto...?

Takie różne bzdety wygadywał. Ale nic, dźwiłem go z powrotem na nogi, kiedy drzwi na mostek się otwierają i do środka wpada jakiś marynarz. Pewnie usłyszał hałas.

- Pan McGivver chyba ciut za dużo wypił - mówię. - Zanieśmy go lepiej do kabiny.

- Dobra - mówi marynarz - ale widywałem go w gorszym stanie.

- Przysłali ci, chłopcze, Czarną Plamę! - ryczy pan McGivver. - Stary ślepiec Pew kuty jest na cztery nogi! Wciągajcie piracką banderę! Zaraz was zrzucę rybom na żer!

Zanieśliśmy pana McGivvera do kabiny i położyli na łóżku. Jego ostatnie słowa brzmiały:

- Przeciągnę was psubraty pod kilem! Z jednej burty na drugą!

- Nie wie pan, dlaczego kapitan włączył silnik? - pyta się mnie marynarz.

- Nie mam zielonego - ja na to. - Jestem ze stacji meteorologicznej.

- Co?! Myślałem, że pan jest pilotem!

- A skąd. Jestem szeregowy Gump.

- O kurwa! Mamy czterdzieści milionów litrów ropy pod pokładem! - wrzeszczy marynarz i wybiega z kabiny.

Pan McGivver spał, a raczej leżał ubzdryngolony, więc pomyślałem sobie: Forrest, nic tu po tobie - i wróciłem na mostek. Nikogo tam na było, a statek... statek płynął w najlepsze. Zaiwaniał tak szybko że boje i inne takie dosłownie migały mi w oczach. Nie wiedziałem co robić, więc chwyciłem za ster żebyśmy płynęli prosto, a nie zygzakiem. Daleko żeśmy nie odpłynęli, kiedy nagle wpadliśmy na coś z wielkim hukiem. Pomyślałem sobie że to dobrze, przynajmniej "Exxon-Valdez" się zatrzymał. Okazało się że wcale nie było dobrze.

Kurde flaki, ale się na mostku zaroilo! Pewnie ze stu facetów ganiało w kółko, wszyscy się darli, wrzeszczeli i wykrzykiwali rozkazy. Jakby tego było mało to wkrótce zjawiły się jeszcze jakieś typy ze straży przybrzeżnej i zaczęły psioczyć że wylaliśmy do wody czterdzieści milionów litrów ropy. Że zanieczyściliśmy Zatokę Księcia Williama. Że wszystko wyginie - ptaki, foki, ryby, miśki polarne, wieloryby i Eskimosy. Że będzie wielka afera.

- Kto stał za sterem? - pyta oficer ze straży przybrzeżnej.

- On! - rykli chórem wszyscy na mostku i dawaj wskazywać na mnie.

Od razu się kapłem że znów wpadłem w gówno po uszy i że nie ujdzie mi to płazem.

SZALONY WOJAK PRZY STERZE SPRAWCĄ KATASTROFY - pisze w jednej gazecie. DEBIL DOPROWADZA DO WYLEWU ROPY - pisze w drugiej. GROŹNY POMYLENIEC WYWOŁUJE KATAKLIZM - pisze w trzeciej. Same takie dyrdymały muszę o sobie czytać.

No nic, z Waszyngtonu specjalnie przysłali jakiegoś generała żeby zajął się mną i problemem ropy. Miałem szczęście, bo wojsko bardzo nie chciało aby je ktokolwiek obwiniął o ten ropny wyciek i uznało że im szybciej się mnie pozbędzie tym lepiej.

- Gump - mówi do mnie generał. - Gdyby to ode mnie zależało, postawiłbym was przed plutonem egzekucyjnym, ale skoro nie mogę, zastosuję drugie najlepsze wyjście. Odeślę was najdalej stąd jak tylko można, czyli do Szwabów. Jeśli los się do nas uśmiechnie, może nikt was tam nie znajdzie, a wtedy wina za wypadek i katastrofę ekologiczną spadnie na kapitana McGivvera. Rozumiecie?

- Tak, panie generale. A jak się tam dostanę?

- Samolot czeka z włączonym silnikiem - on na to. - Macie, Gump, pięć minut, żeby dotrzeć na lotnisko.

Rozdział 10

Lot do Szwabów wcale nie był żadną przyjemnością. Głównie dlatego że leciało ze mną czterech żandarmów, którzy zapięli mi kajdany na rękach i nogach i ciągle mnie straszili że jak zacznę rozrabiać albo co, to mają rozkaz walić mnie pałką po łbie.

Ktoś z dowództwa wydał też rozkaz że mam otrzymać najbrudniejszą robotę jaka się nawinie, więc przydzielono mnie do kompanii czołgów i kazano usuwać błoto z gąsienic. A błota na gąsienicach czołgowych w zimie w Niemczech - tak się nazywał kraj gdzie mieszkały Szwaby - było od groma i ciut!

Poza tym ktoś pewnie puścił plotkę że przynoszę pecha albo zarażam głupotą czy coś, bo nikt się do mnie nie odzywał - jeśli nie liczyć sierżantów, którzy bez ustanka darli na mnie mordę. W ciągu dnia zimno było w tych Niemczech i mokro, a w nocy zimno, mokro i ponuro. Jeszcze nigdy nie czułem się tak samotny i nieszczęśliwy. Pisałem do małego Forresta, ale listy od niego były tak krótkie jakby o mnie zapomniał. Czasami w nocy próbowałem przyśnić sobie Jenny, ale mi nie wychodziło. Chyba ona też o mnie zapomniała.

Któregoś dnia ktoś mi mówi że będę miał pomocnika, więc żebym mu pokazał co i jak. No dobra. Idę na parking czołgowy, patrzę, a tam stoi jakiś gość i gapi się na gąsienicę, do której dolepiło się z pół tony błota.

- Ty jesteś ten nowy? - pytam.

Gość się odwraca - a ja prawie orła wywijam! Bo zgadnijcie kogo widzę? Sierżanta Kranza, starego znajomka z Wietnamu, który później stacjonował niedaleko farmy pana McGivvera i dostarczał nam wałówkę dla świń! Od razu jednak zauważam że sierżant Kranz już nie jest majorem (czym mi się pochwalił, kiedy go odwiedziłem w sprawie wojskowych odpadów) ani nawet sierżantem, tylko takim jak ja zwykłym szeregowcem.

Na mój widok sierżant Kranz ciężko wzdycha:

- O Jezu...

Najwyraźniej wini mnie o to że go cofnięto z majora na szeregowca, ale nawet taki dureń jak ja wie że chyba ciutkę przesadza.

Bo było tak: po tym jak mieszkańcy Coalville przegonili pana McGivvera, sierżant Kranz doszedł do wniosku że dlaczego wojsko ma oddawać swoje śmiecie za frajer skoro może je sprzedawać wszystkim farmerom w okolicy, którzy hodują świnię. Po jakimś czasie wojacy mieli

tyle forsy że nie wiedzieli co z nią robić. Więc sierżant Kranz zaproponował żeby zbudować nowe kasyno oficerskie. Generał uznał to za świetny pomysł i kazał sierżantowi Kranzowi nadzorować budowę.

Wreszcie nadszedł dzień uroczystego otwarcia. Urządzono wielkie przyjęcie, były muzyka, darmowe drinki i inne bajery, a pod koniec wieczoru występ striptizerki z Australii. Podobno była nie tylko najlepszą striptizerką w Australii, ale w ogóle najlepszą striptizerką na świecie.

W kasynie panował tak potworny tłok że ledwo było widać jak się kobieta striptizuje, więc generał postanowił wleźć na stół żeby mieć lepszy widok. Okazało się jednak że wiatraki u sufitu zamontowano jakieś pół metra niżej niż normalnie i kiedy generał wdrapał się na stół, z miejsca został oskalpiony. Wyglądał jak po wizycie we wrogim plemieniu indiańskim.

Wściekły był jak sto diabłów. Trzymał się za łeb, wrzeszczał: "Co ja powiem żonie?", no i oczywiście za wszystko obwinił sierżanta Kranza. Natychmiast kazał go aresztować, a potem wysłać jak najdalej, czyli do Szwabów, i przydzielić go do najbrudniejszej roboty.

- Kurwa, Gump, byłem jednym z pierwszych Murzynów, który zaszedł tak wysoko w wojsku - powiada sierżant Kranz. - Ale ilekroć ty się pojawiaasz na horyzoncie, zawsze dzieje się coś złego.

Mówię mu że przykro mi z powodu tego co się stało, ale że chyba nie ma racji zrzucając na mnie winę za skalpujący wiatrak.

- Może nie. Tylko że odsłużyłem w wojsku dwadzieścia osiem lat i nagle dwa lata przed emeryturą ponownie zostaję pieprzonym szeregowcem. Ktoś musi być odpowiedzialny, tak już w wojsku jest. A przecież ja nie zawiniłem. W końcu gdybym był tumanem, nie zaszedłbym tak wysoko, nie?

- Może miałaś szczęście? - ja na to. - Ale nie powinneś narzekać. Przynajmniej długo byłeś sierżantem. A ja? Ja zawsze byłem na dnie drabiny.

- Może. Zresztą to teraz nie ma znaczenia. Poza tym nawet się cieszę...

- Z czego?

- Że miałem okazję zobaczyć, jak śmigło robi skurwiela na łysą pałę.

Sierżant Kranz i ja nie nudzimy się ani przez chwilkę. Dywizja ciągle jeździ na manewry, błota jest ciągle w bród. Więc od rana do wieczora szorujemy czołgi, pucujemy, polewamy,

splukujemy i tak dokoła wojtek. Kiedy kończymy pracę, jesteśmy tak upaprani że inni nie chcą nas wpuścić do baraków dopóki sami nie spluczemy się na mrozie.

Sierżant Kranz rzadko się odzywa, ale jak już mówi to głównie o Wietnamie, skąd - o dziwo - ma miłe wspomnienia.

- Tak, Gump, to były dobre czasy - powiada. - Prawdziwa wojna, prawdziwa walka, a nie jakieś gówniane manewry i patrole jak tu. Mieliśmy, kurwa, czołgi jak się patrzy, haubice, bombowce i nieźle dawaliśmy tym żółtkom popalić.

- Oni też nam czasem dawali - mówię.

- Ta. Tak to jest na wojnie. Ludzie giną. Dlatego te działania nazywa się wojennymi.

- Ja nikogo nie zabiłem - mówię.

- Co?! Zresztą skąd wiesz? - pyta się.

- Tak mi się wydaje. Tylko raz czy dwa razy strzeliłem z karabinu, a wtedy celowałem w krzaki.

- Nie masz powodu być z siebie dumny, Gump - powiada sierżant Kranz. - Właściwie powinieneś się wstydzić.

- No a Bubba? - pytam go.

- Co Bubba? Jaki Bubba? - on na to.

- Mój kumpel. Ten co zginął.

- Tak, pamiętam. Wracałeś się po niego, prawda? Pytasz, dlaczego zginął? Nie wiem, pewnie zrobił coś głupiego.

- Na przykład wstąpił do wojska - mówię.

I tak nam mijał czas, na zdrapywaniu błota i gadaniu o Wietnamie. Sierżant Kranz może nie był najciekawszym rozmówcą, ale przynajmniej miałem do kogo gębę otworzyć. Już myślałem że do końca życia będę zasuwał przy gąsienicach, kiedy nagle zjawia się ktoś od komendanta i mówi że komendant chce się ze mną zobaczyć. Sierżant Kranz splukał ze mnie błoto i ruszyłem do dowództwa.

- Czy to prawda, Gump, że grywaliście kiedyś w futbol? - pyta się mnie komendant.

- Tak. Trochę - mówię.

- Opowiedzcie, kiedy i gdzie.

No to mu opowiedziałem. A kiedy skończyłem komendant zawołał: - Bóg mi was zesłał!

Na szczęście nie muszę już całymi dniami czyścić czołgów. Na nieszczęście muszę je czyścić nocami. W ciągu dnia gram teraz w futbola. Nasza drużyna nazywa się Cuzamen.

Cuzamom daleko do bycia najlepszą drużyną na świecie. W zeszłym roku na jedenaście meczów chłopaki przerznęli jedenaście, a w tym trzy na trzy. Pod tym względem trochę mi przypominali poczciwych Saintsów z Nowego Orleanu. W każdym razie kapitanem jest taki mały energiczny facet, Pete, który grywał w piłkę jak chodził do szkoły średniej. Nawet jest szybki, sprytny i nieźle rzuca, ale kurde flaki! - gdzież mu do starego Węża! Komendant oczywiście potwornie się gnębi naszymi wynikami i zmusza nas do intensywnego treningu. Takiego co trwa dwanaście godzin na dobę. Po treningu wracam na plac i pucuję czołgi do trzeciej nad ranem, ale nawet nie narzekam, bo przynajmniej nie mam czasu o niczym myśleć. Aha, sierżant Kranz, znaczy się szeregowy Kranz został menadżerem Cuzamów.

Pierwszy mecz, w którym biorę udział rozgrywamy przeciw kompanii ogrzewczej z jednostki w Hamburgu. W drużynie przeciwnika grają same brudne wredne typasy, które gryzą, drapią i rzucają przekleństwa, ale radzę sobie z nimi bez problemu i kończymy wynikiem czterdzieści pięć do zera. Również następne trzy mecze wygrywamy i po raz pierwszy Cuzamy mają na swoim koncie więcej wygranych niż przegranych. Komendant cieszy się jak suchotnik na widok deszczu i z tej radości, ku zdumieniu wszystkich, daje nam dzień wolny w niedzielę byśmy mogli pójść sobie do miasta.

Ładna to była miejscina pełna starych budynków, wąskich brukowanych uliczek, śmiesznych gargulców na rynnach. Wszyscy dokoła szwargocili po niemiecku, więc żaden z nas nic nie kapował. Jedyne słowo jakie ja znałem w tym języku to *ja*.

Oczywiście chłopaki od razu znaleźli jakąś piwiarnię i wkrótce złopali piwo z wielkich kuflów roznoszonych przez kelnerki w ludowych kieckach. Tak przyjemnie było siedzieć wśród cywilów, nawet jeśli się ich nie rozumiało, że ja też zamówiłem sobie piwo.

Siedzieliśmy w piwiarni kilka dobrych godzin i pewnie zachowywaliśmy się trochę hałaśliwie, bo z drugiego końca sali świdrowała nas grupa Szwabów. Co jakiś czas któryś coś do nas wykrzykiwał, na przykład *Affenarschs* i *Scheiss-kopf*, ale ponieważ myśmy nie znali tych słów, to nie zwracaliśmy na niego uwagi. W pewnej chwili jeden z Cuzamów poklepał po tyłku kelnerkę. Chociaż ona nie zapiszczała ani nic, Szwaby z drugiego końca sali mocno się wpieniły. Dwóch podeszło do naszego stolika i zaczęło szwargocić na całe gardło.

- *Du kannst mir mai!* - powiada pierwszy.

- He? - pyta nasz skrzydłowy, Mongo.

Szwab jeszcze raz powtarza to samo. Biedny Mongo, który ma ze trzy metry wzrostu, siedzi z ośłą miną i nic nie kapuje. Wreszcie jeden z naszych, który liznął parę słów po szwabsku, mówi do Monga:

- Nie wiem, co on gada, ale chyba nic miłego.

Więc Mongo podnosi się i staje twarzą w twarz ze Szwabem.

- Słuchaj, koleś - mówi do niego - przestań pieprzyć i zjeżdżaj stąd.

Szwabowi bynajmniej to nie było w głowie.

- *Scheiss*.

- Co on gada? - pyta Mongo.

- Chyba powiedział gówno - mówi nasz poliglot. No to się Mongo wkurzył. Chwył Szwaba za poły i - siup! - cisł go przez okno. Migiem zlecieli się koleżki wyrzuconego i rozpętała się najnormalniejsza bijatyka. Kuksańce, szturchańce, gryzienie, wrzaski. Kelnerki piszczały, krzesła latały w powietrzu. Przypomniały mi się dobre dawne czasy w rozbieranym barze Wandy w Nowym Orleanie. Jakiś typ szykował się zdzielić mnie butelką po łbie, kiedy poczułem jak ktoś chwyta mnie za rękę i ciągnie do tyłu. Była to jedna z kelnerek. Nie wiem dlaczego, ale uparła się że wyprowadzi mnie na zewnątrz. Tak też zrobiła. Wskazała mi drogę przez zaplecze i po chwili oboje byliśmy na ulicy. Usłyszałem w oddali wycie policyjnych syren i pomyślałem sobie: kurde, Forrest, zwiewaj, bo inaczej znów wylądujesz w pierdłu. Kelnerka prowadzi mnie boczną uliczką w przeciwną stronę niż piwiarnia. Jest bardzo sympatyczna i ma na imię Gretchen.

Ja nie mówiłem po szwabsku, Gretchen właściwie nie mówiła po mojemu, ale jakoś się dogadywaliśmy - na migi, na uśmiechy, czasem ja kiwałem głową i mówiłem: *ja, ja*, czasem ona próbowała coś dukać. W każdym razie szliśmy przed siebie aż wyszliśmy z wioski i doszli na takie ładne wzgórze. Dokoła kwitły małe żółte kwiatki, w oddali widać było zaśnieżone szczyty, a w dole zieloną dolinę z domkami wielkości pudełków zapatek. Gdzieś hen hen ktoś jodłował. W pewnym momencie Gretchen dźga mnie paluchem i pyta jak się nazywam, więc mówię jej że Forrest Gump.

- *Ja*, Forrest Gump - ona na to. - Ładnie.

Po jakimś czasie usiedliśmy na ślicznej łące i zaczęliśmy podziwiać widoki. Niedaleko pasły się owce, po drugiej stronie doliny słońce powoli opadało za Alpy, w dole płynął strumyk, a woda migotała w blasku popołudniowych promieni. Było tak pięknie i spokojnie że nigdzie nie chciałem się ruszać.

Z każdą minutą Gretchen i ja coraz lepiej się porozumiewamy. Gretchen tłumaczy mi że pochodzi z Niemiec Wschodnich. Wschodnie Niemce są w posiadaniu Rusków, którzy wybudowali tam taki wielki mur żeby nikt nie mógł się wydostać na zewnątrz. Ale Gretchen jakoś udało się uciec. Od pięciu lat pracuje jako kelnerka i ma nadzieję że któregoś dnia zdoła wyciągnąć na zachód swoją rodzinę, bo tu na zachodzie nikt nikogo nie odgradza murem. Próbowałem opowiedzieć Gretchen o sobie, ale nie wiem czy cokolwiek zrozumiała. Nie szkodzi. Tak i tak coraz bardziej się zaprzyjaźniamy. W pewnej chwili Gretchen wzięła mnie za rękę i uściśnęła ją, a potem położyła głowę na moim ramieniu i tak sobie siedzieliśmy patrząc jak słońce znika za górami.

W ciągu następnych kilku miesięcy rozegraliśmy od groma meczów. Graliśmy z marynarzami, z lotnikami, ale najczęściej z normalnymi wojakami. Kiedy mecz odbywał się niedaleko naszej jednostki zapraszałem Gretchen żeby przyszła i mi kibicowała. Nie umiała się pokapować co się dzieje na boisku i głównie wołała *ach! ach!* ale mnie to nie przeszkadzało. Po prostu lubiłem jak była blisko. Zresztą chyba dobrze że nie mówiliśmy tym samym językiem, gdyby tak było Gretchen szybko by się połapała jaki ze mnie głupek i więcej nie chciałaby się ze mną zadawać.

Któregoś dnia poszedłem do miasta. Idziemy sobie razem ulicą, ja i Gretchen, i ja jej mówię że chcę kupić prezent dla małego Forresta. Ona na to że chętnie pomoże mi coś wybrać. Odwiedzamy jeden sklep, drugi, Gretchen pokazuje mi różne zabawki, ołowiane żołnierzyki, drewniane traktory, więc jej tłumaczę że mały Forrest nie jest aż tak mały. Wreszcie znajduję coś co mu się powinno spodobać.

Jest to tuba, wielka, lśniąca, metalowa, taka na jakich grają w soboty w szwabskich piwiarniach.

- *Ach, Forrest* - mówi Gretchen - ona bardzo droga. Ja wiedzieć, że szeregowy nie zarabiać tona pieniędzy.

- Cena nie gra roli - ja na to. - Widzisz, Gretchen, mało czasu spędzam z synem. Boję się że mnie zapomni. A jak mu będę dawał ładne prezenty, to może będzie mnie pamiętał.

- *Ach*, Forrest, ty źle myśleć. Mały Forrest na pewno woleć dwa, trzy lista tygodniowo. Na pewno woleć lista niż tuba.

- Może - mówię - ale nie jestem zbyt dobry w pisaniu. Niby wiem co chcę powiedzieć, a zupełnie nie umiem powiedzieć tego na papierze. Lepiej dogaduję się ustnie, rozumiesz co mam na myśli?

- *Ja*, Forrest, *ja* - ona na to. - Ale ta tuba kosztować osiemset dolarów!

- Trudno. Oszczędzałem.

Więc wzięłem i kupiłem dzieciakowi tubę. Można nawet powiedzieć że dostałem rabat, bo sklepikarz nie policzył ani grosza za list, który doczepiłem do prezentu. Właściwie nie był to żaden list, tylko parę słów że tęsknię i że niedługo wrócę do domu. Okazało się że z tym ostatnim znów nałgałem.

Pod koniec sezonu piłkarskiego Cuzamy mają dziesięć meczów wygranych, trzy przegrane i startują w ogólnowojskowych mistrzostwach, które się odbędą w Berlinie. Sierżant Kranz chodzi cały przejęty i mówi że jeśli wygramy jeszcze ten jeden raz, to na pewno zwolnią nas z szorowania czołgów. Ale wcale nie jestem taki przekonany.

Dobra, wreszcie zbliża się wielki dzień. Poprzedniego wieczoru wybrałem się do miasta żeby zobaczyć się z Gretchen. Kiedy wszedłem do piwiarni, akurat roznosiła gościom kufle z piwem, ale na mój widok zrobiła sobie krótką przerwę, usiadła przy moim stoliku i wzięła mnie za rękę.

- Cieszyć mnie twój widok, Forrest - powiada. - Brakować mi.

- Mnie ciebie też - ja na to.

- Może jutro iść razem na majówka, co? - pyta. - Ja mieć dzień wolny od praca.

- Chciałbym - mówię. - Ale jutro gramy mecz.

- *Ach!*

- A może miałabyś ochotę mi pokibicować? W Berlinie.

- Berlin? - ona na to. - Berlin daleko.

- Wiem - mówię. - Ale wojsko zamówiło autobus żeby przewieźć kilka żon, trochę sprzętów, no i w ogóle. Mógłbym spytać czy nie znalazłoby się jeszcze jedno miejsce.

- Ach! - Gretchen na to. - Wy i wasz futbol. Nic go nie rozumieć. Ale jak ty chceć, Forrest, to ja pojechać.

I tak oboje wybraliśmy się do Berlina.

Ogólnowojskowe mistrzostwa rozgrywaliśmy na wielkim boisku koło muru berlińskiego. Za przeciwników mieliśmy facetów z sekcji wywiadowczej Trzeciej Dywizji Pancерnej - Magów z Wiesbaden. Kurde, bystre to były chłopaki! Niby nic dziwnego, do wywiadu głupich nie biorą.

Byliśmy więksi i szybsi, ale wywiadowcy górowali sprytem. Najpierw zastosowali zagrywkę o nazwie Statua Wolności. Nikt z naszych w życiu takiej na oczy nie widział, więc bez problemu zdobyli punkty przez przyłożenie.

Potem stosują zagrywkę Chwytaj Na Oślep i wkrótce wynik jest czternaście do zera - dla nich, rzecz jasna. Nasi, zwłaszcza sierżant Kranz, mają minę nieszczęśliwą jak grubas na diecie.

W drugiej połowie meczu Magi z Wiesbaden wprowadzają w błąd naszą obronę i robią takie zamieszanie że cofamy się prawie do linii pola punktowego. W dodatku nasz kopacz potłukł sobie kolano i jest wyłączony z gry. Robimy młyn i się naradzamy.

- Cholera, kto będzie kopał? - pyta się ktoś.

- Co się na mnie gapicie? - mówię, ale to nic nie pomaga, bo dalej się gapią. - Nigdy jeszcze nie wykopywałem piłki.

- Nie szkodzi, Gump - stwierdza jeden z Cuzamów. - Dostajemy po dupie. Potrzebny będzie kozioł ofiarny. Jeżeli ktoś ma oberwać od komendanta, równie dobrze możesz to być ty. Wszyscy i tak cię ciągle opieprzają.

Niby racja, pomyślałem sobie. Biegnę z powrotem pod pole punktowe, rozgrywający posyła mi piłkę, ale wywiadowcy wykonują sprytny numer: tuż przed naszą linią obrony zapadają się pod ziemię i jak duchy wyłaniają się za mną. Już chciałem kopnąć piłkę, ale myślę sobie: jeszcze nie, Forrest, przydałoby ci się trochę więcej miejsca, więc zacząłem ganiać w kółko. Ganiam i ganiam, problem w tym że pod własną bramką, pewnie ze sto jardów pokonałem tyle że nie w kierunku pola przeciwnika. Wreszcie znalazłem skrawek wolnej przestrzeni i zanim Magi z Wiesbaden mnie dopadły, z całej siły kopłem piłkę. Stałem i gapilem się jak szybuje do nieba. Wszyscy zadarli łby i się gapili. A piłka poleciała tak wysoko że prawie znikła nam z oczu. Potem chłopaki mi mówili że jeszcze nigdy w życiu nie widzieli takiego kopa.

Ale to było potem - na razie piłka poszybowała nad murem berlińskim i spadła gdzieś po drugiej stronie. Kurde flaki, ale pasztet! Wszyscy łypią na mnie gniewnie, tykają mnie paluchami, cholerują, przeklinają i ogólnie zachowują się nieładnie.

- No dobra, Gump - powiada wreszcie któryś z graczy. - Musisz ją przynieść z powrotem.

- Mam się wdrapać na mur? - pytam.

- A jak inaczej się tam dostaniesz? - on na to.

Racja.

Paru chłopaków mnie podsadziło i zanim się obejrzałem byłem po drugiej stronie. Rozglądałem się i... O psiakrew! Dokoła pełno wieżyczek, a w nich wschodnioszwabskich żołnierzy; każdy trzyma w łapie karabin maszynowy. Ale dobra. Pędzę przed siebie, mijam ich, a oni nic, stoją, gapią się i nic. Pewnie mieli rozkaz strzelać do uciekinierów ze wschodu, a tu nagle jakiś wariat sady w przeciwnym kierunku.

Nagle zdałem sobie sprawę ze strasznego ryku - jakby darło się ze sto tysięcy gąb. W dodatku hałas pochodził stamtąd gdzie na mój rozum wylądowała kopnięta przeze mnie piłka. Kurde, ale nawarzyłem piwa!

Okazało się że po drugiej stronie muru, znaczy się po wschodnioszwabskiej, odbywały się finały mistrzostw świata w piłce nożnej. Z różnych krajów zjechały się tłumy widzów. Do końca meczu między Niemcami Wschodnimi a Ruskimi zostały dwie minuty.

Trzeba wam wiedzieć że ludzie w Europie bardzo serio podchodzą do takich rzeczy jak piłka nożna.

Kiedy dotarłem na stadion nie bardzo umiałem się pokapować co się dzieje, ale ogólnie nie działo się dobrze. A było tak: akurat wtedy kiedy ja kopłem naszą piłkę, Niemcy mieli kopnąć swoją, strzelić Ruskom gola i zdobyć nad nimi przewagę. Piłkarz szwabski zrobił piękny drybling przez boisko i był tuż przed ruską bramką, kiedy nagle zobaczył przed sobą drugą piłkę. Trochę mu się w głowie pokićkało i zamiast kopnąć swoją kopł moją - w dodatku prosto do bramki przeciwnika. Szwaby oszalały z radości, no bo strzeliły gola i wygrały mecz.

Ale po chwili sędzia ogłosił że gol się nie liczy, bo nie ta piłka co trzeba wylądowała w ruskiej bramce, a potem rozległ się gwizdek i mecz zakończył się remisem. Najpierw Szwaby się zdziwiły, potem zaczęły protestować, a kiedy wszedłem na boisko i poprosiłem o zwrot mojej piłki, na stadionie wybuchła istna pandemonia. Ludzie zbiegali z trybun i wrzeszczeli na mnie: *Du Schwanzgesicht, stisse Scheiss-kopf!* i inne takie rzeczy, które zdaje się wcale nie były miłe.

Nie wiem jak by się kto inny zachował na moim miejscu, gdyby zobaczył sto tysięcy wkurzonych szwabskich kibiców, którzy pędzą w jego stronę, ale nie zastanawiałem się nad tym tylko czym prędzej zrobiłem w tył zwrot. Pognałem tą samą trasą, znów minęłam żołnierzy w wieżyczkach i tym razem oddali do mnie parę strzałów, ale chyba tylko dla przyzwoitości żebym nie myślał że mnie olewają. Zaczęłam gramolić się na mur, kiedy pojawił się rozwścieczony tłum. Na widok tylu tysięcy zawziętych gąb wartownicy kompletnie zbaranieli, nie wiedzieli co robić, do kogo strzelać, no i nie robili nic. Byłam prawie po drugiej stronie muru, kiedy ktoś chwycił mnie za nogawkę spodni, ale trzymałam się mocno i nie dawałam się ściągnąć, więc mi ściągnął same portki.

Zeskoczyłam na drugą stronę, a za mną kilku napalonych kibiców ze wschodu - i dawaj ganiać mnie po naszym trawniku. Potem następni przeleźli przez mur i jeszcze następni. Tak mnie wszyscy chcieli dopaść że zaczęli ten mur rozwalać. Wkrótce było jasne że nic z niego nie zostanie. Kurde, ale im musiałem zaleźć za skórę!

Nasi gracze stoją bez ruchu, oczy mają w słup, szczęki opadnięte. A ja ganiem i ganiem - w samej koszulce i kalesonach. Kiedy przebiegam koło komendanta ten krzyczy za mną:

- Gump, ty idioto! Ostrzegano mnie przed tobą! Coś ty najlepszego narobił? Czy wiesz, że wywołałeś międzynarodowy incydent?!

Może, ale nie miałem czasu się nad tym zastanawiać. Minęłam sierżanta Kranza, który był cały fioletowy na pysku, walił się pięścią po kolanie i wrzeszczał coś o tym że do usranej śmierci będziemy zdrapywać błoto z czołgów, a potem nagle zauważyłam na trybunach Gretchen.

Pomachała żebym do niej przyszedł, więc wbiegłam na trybuny. Gretchen wzięła mnie za rękę i zaciągnęła na ulicę.

- Nie wiem, co ty był zrobić, Forrest, ale ludzie burzyć mur. Po raz pierwszy od trzydzięści lat Niemcy nie być podzielone. Ja może znów zobaczyć rodzinę. *Ja?*

Przez jakiś czas ukrywaliśmy się w zaułku, potem Gretchen zabrała mnie do domu swoich znajomych. Trochę się dziwnie czułam ze względu na brak portków, ale znajomi Gretchen nie patrzyli jak jestem ubrany - patrzyli z podnieceniem w telepułdo gdzie pokazywano jak Niemcy ze wschodu rozwalają mur, tańczą na ulicach i w ogóle. Tak się cieszyli, tak obściskiwali i całowali że chyba zapomnieli już o mnie i o tym że nie wygrali mistrzostw.

Gretchen i ja po raz pierwszy spędziliśmy ze sobą noc i o dziwo, nawet nie miałem potem żadnych wyrzutów na sumieniu. Spodziewałem się że Jenny mi się ukaze i kiedy szłem korytarzem do ubikacji, wydawało mi się że mnie obserwuje. Nie wiem czy to była prawda czy nie, bo ja jej nie widziałem.

Rozdział 11

Nazajutrz wróciliśmy ciuchcią do Ugomugatuga czy jak się tam zwała miejscina, w której Gretchen mieszkała, a ja stancjonowałem. W bazie czekała na mnie niespodzianka. Okazało się że komendant przeniósł mnie ze służby przy szorowaniu czołgów do służby przy szorowaniu kiblów.

W dodatku był na mnie wściekły jak kibic wschodnio-szwabski, bo - jak mówił - przez moją durnotę może stracić posadę.

- Gump, cymbale jeden! Czy wiesz, do czego twoja durnota doprowadziła? Przez ciebie Niemcy rozwalili mur! Wszyscy twierdzą, że komunizm padł! Tylko spójrz, co o tym pisze "The New York Times"! - wrzeszczy i podtyka mi egzemplarz gazety.

Widzę duży nagłówek: PÓŁGLÓWEK KOŃCZY ZIMNĄ WOJNĘ.

THE NEW YORK TIMES

Przypadkowe, zbyt dalekie wykopanie piłki może, zdaniem niektórych specjalistów, doprowadzić do zlikwidowania trwającego blisko pół wieku rozłamu pomiędzy Wschodem a Zachodem.

Jak się dowiedzieliśmy, wczoraj - podczas rozgrywanych w Berlinie Zachodnim finałów ogólnowojskowych mistrzostw w futbolu - żołnierz armii amerykańskiej, szeregowy Forrest Gump, tak silnie kopnął piłkę w stronę bramki przeciwnika, że poszybowała nad murem berlińskim i wylądowała po jego drugiej stronie. A dokładnie - na środku stadionu, na którym drużyna NRD walczyła o piłkarski tytuł mistrza świata z drużyną Związku Radzieckiego. Trwały ostatnie sekundy finałowego meczu.

Jego przebieg zakłóciło pojawienie się na stadionie szeregowego Gumpa, który przedarł się przez mur, żeby odzyskać kopniętą przez siebie piłkę. Zdenerwowani kibice wschodnioniemieccy, których było osiemdziesiąt pięć do stu tysięcy, ruszyli w pościg za panem Gumpem, przypuszczalnie mając wobec niego wrogie zamiary.

Pan Gump, który podobno cierpi na niedorozwój umysłowy, przedarł się z powrotem przez mur na terytorium Republiki Federalnej Niemiec. Pragnąc pochwycić pana Gumpa, zacierzewieni kibice wschodnioniemieccy również zaczęli wdrapywać się na

mur, a przy okazji rozbierać ten sztuczny twór, który od kilkudziesięciu lat stanowił symbol komunistycznej opresji.

Uszczęśliwieni berlińczycy o różnych przekonaniach politycznych przyłączyli się do kibiców sportowych i razem zburzyli mur, po czym - jak nas informuje nasz korespondent - wzięli udział w "największej na świecie zabawie na wolnym powietrzu, podczas której lały się rzeki piwa".

W powszechnym zamieszaniu pan Gump umknął bez szwanku.

Mecz piłki nożnej między drużyną NRD a drużyną Związku Radzieckiego zakończył się remisem trzy do trzech. Nie udało nam się dowiedzieć, jaki był wynik meczu futbolowego w chwili, gdy gra została przerwana.

Kiedy skończyłem czytać komendant znów podnosi głos: - Gump, ty baranie! Ty głąbie! Bez komunizmu nie mamy powodu tu dłużej siedzieć! Nawet te skurwysyny Ruskie gadają o odejściu od komunizmu! Z kim my, do diabła, będziemy walczyć, jak nie będzie komuchów? Przez ciebie cała armia straciła rację bytu! Odeślą nas z powrotem do Stanów, do jakiejś zabitej dechami dziury! Będziemy musieli opuścić tę uroczą miejscinę pośrodku niemieckich Alp! Kretynie jeden, pobyt tu to marzenie każdego żołnierza, a ty je zniszczyłeś! Chyba zupełnie oszalałeś!

Krzyczy tak na mnie i krzyczy, wali pięścią w stół, rzuca przedmiotami, ale nie przerywam mu ani nic, no bo co mogę powiedzieć? Kiedy skończył krzyczeć udałem się do moich nowych obowiązków - szczoteczką do zębów i specjalnym proszkiem miałem szorować kafelki w łazience. A sierżant Kranz - chyba za karę że się ze mną zadawał - miał je do czysta polerować. Oczywiście sierżant Kranz tak samo się cieszy z tej roboty jak ja.

- Jeszcze będziemy tęsknić do błota i czołgów - mówi. Raz na tydzień, w niedzielę, dostawałem przepustkę i szłem do miasta, ale odtąd komendant zawsze wysyłał ze mną dwóch żandarmów. Kazał im nie spuszczać mnie z oka. Sami rozumiecie, trochę to utrudniało moje stosunki z Gretchen, ale nic, robiliśmy dobre miny do złej gry. Było za zimno żeby chodzić na spacer po górach, bo zimą w Alpach panuje duży mróz. Większość czasu spędzaliśmy w piwiarni. Siedzieliśmy przy stole i trzymali się za ręce, a żandarmy siedziały obok i wwiercały w nas gały.

Gretchen to naprawdę fajna dziewczyna. I ładna. Wcale nie chce do starości kelnerować w piwiarni, ale nie wie co innego mogłaby robić. Gnębi się że jeszcze nic w życiu nie osiągnęła.

- Być za stara na modelka - mówi - *und* za młoda, żeby nie mieć ambicja. Może pójść na studia. Zostać kimś.

- To dobry pomysł - ja na to. - Też kiedyś studiowałem.

- *Ja*, Forrest? A co? - pyta Gretchen.

- Futbol - mówię.

- *Ach!*

Jak mówiła moja mama, nie ma tego dobrego co by się nie skończyło... i tak było w tym przypadku.

Wkrótce po incydencie ze zburzeniem muru komendant wezwał nas na plac apelowy.

- Żołnierze - powiada. - Mam dla was wieści, które jednych ucieszą, a innych zmartwią.

Rozległ się cichy pomruk.

- Zmartwią obiboków i tchórzy, co tylko biorą od wojska forszę, a nie chcą wypełniać swych żołnierskich powinności.

Znów się rozszedł pomruk.

- Ucieszą zaś tych, którzy tęsknią za wojną i walką na śmierć i życie, co, gdybyście nie wiedzieli, jest waszym psim obowiązkiem. Właśnie nadarza się ku temu okazja! A wszystko dzięki takiemu jednemu skurwysynowi, który rządzi Irakiem i się nazywa Saddam Husajn. Otóż skurwiel Saddam Husajn i zwierzchnik naszych sił zbrojnych, prezydent Stanów Zjednoczonych George Herbert Walker Bush, wypowiedzieli sobie wojnę.

Pomruki podzieliły się na pomruki zadowolenia i pomruki niezadowolenia.

- Lecimy wszyscy do Iraku! - ciągnie dalej komendant. - Dać w dupę tym pogańskim świniom!

I tak też zrobiliśmy.

Dzień przed wyjazdem dostałem przepustkę i poszedłem zobaczyć się z Gretchen. Gretchen zaoszczędziła na kelnerowaniu dość pieniędzy żeby zapisać się na uniwersytet. Akurat miała pierwsze zajęcia, więc czekałem na nią przed salą wykładową.

- Och, Forrest, jakie cudowne! - woła po wyjściu z sali. - Ja uczyć się mówić po angielski!

Spacerowaliśmy trzymając się za ręce, a ja opowiadałem jej o Sradamie Husajnie, o powinnościach żołnierza i o tym że jadę na wojnę. Kiedy skończyłem Gretchen nie zaczęła krzyżeć, wrywać włosów z głowy ani nic, ścisła mnie tylko mocniej za rękę; spodziewała się że wcześniej czy później coś takiego się stanie.

- Dobre *rzeczy* nie trwać wiecznie - powiada. - Ale ja się łudzić, że kiedyś być lepiej... Ty tu wrócić, *ja*?

- *Ja* - ja na to.

Ale nie miałem zielonego czy mówię prawdę czy tak jak ona tylko się łudzę. W końcu mnie również życie zbytnio nie pieściło.

- Jak ty wrócić, *ja* mówić po angielski jak ty - obiecuje Gretchen.

- *Ja*.

Następnego ranka opuściliśmy Niemcy.

Najpierw załadowaliśmy na statek nasze bety, czyli czołgi, karabiny maszynowe i inne takie, a potem popłynęliśmy do Arabii Saudyjskiej. Razem z nami nasza dywizja liczyła osiemnaście tysięcy żołnierzy. A cała nasza armia około miliona. Arabów było dwa razy tyle, ale generał Norman Scheisskopf twierdził że siły są mniej więcej wyrównane.

Sradam Husajn wraz ze swoim wojskiem okupuje malutki kraik o nazwie Kuwejt, który znany jest głównie z tego że ma od metra szybów naftowych. Kurde, ma ich tyle, że kuwejckiej ropy starczyłoby nam w Stanach na co najmniej dziesięć lat. Zresztą pewno dlatego przyłączyliśmy się do tej wojny. Żeby wyrzucić Sradama i zagarnąć ropę dla siebie.

To co najbardziej rzucało się w oczy w Arabii Saudyjskiej to piach i kurz. Piachu są całe tony i kurzu też są tony. Piasek dostaje się pod powieki, do uszów, do nosów, do ubrań, po prostu wszędzie, a kiedy się go spłucze, za chwilę obrasta się nim od nowa. Ktoś powiedział że generały specjalnie nawieźli tyle piachu i kurzu żebyśmy się przypadkiem nie poczuli tu za dobrze zanim ruszymy do walki ze Sradamem.

Ponieważ w tej Arabii nie ma normalnych kiblów, jedynie dziury wykopane w ziemi, sierżanta Kranza i mnie ponownie przydzielono do czyszczenia czołgów - tyle że teraz nie

usuwamy błota, a piasek i kurz. Codziennie wymiatamy z gąsienic wiadra piachu, chociaż po pięciu minutach są tak samo zapiaszczone.

Któregoś dnia wszyscy dostajemy przepustkę i ruszamy do miasta.

Chłopaki są nieszczęśliwe, bo w tej Arabii nie ma ani whisky ani kobiet. Jedno i drugie jest zabronione, znaczy się picie whisky jest zabronione, a Arabki właściwie też. Niby chodzą po ulicy, ale ma się wrażenie jakby ich w ogóle nie było - są tak szczelnie okutane w długie czarne szmaty że ledwo ślipia im widać. Mężczyźni arabscy też się ubierają w długie szmaty, poza tym większość z nich nosi śmieszne buty z zakręcanymi nosami. Chłopaki mówią że kiedy taki Arab chce się wysrać na pustyni, przytrzymuje się tych zakrętasów i wtedy nie traci równowagi. Może. Nie znam się na tym.

Idziemy przez bazar i nagle przychodzi mi do łepetyny że może powinnem skorzystać z okazji i kupić kolejny prezent dla małego Forresta, niech dzieciak wie że jego stary znowu podróżuje. Więc wchodzę do sklepiku i oglądam różne bajery, kiedy pojawia się sprzedawca i pyta czego szukam. Mówię że ładnego prezentu dla syna. Arabowi oczy się zapalają. Odsuwa jakąś kurtynę i znika na zapleczu, a po chwili wraca z zakurzoną drewnianą skrzynką. Stawia ją na ladzie, otwiera... W środku leży duży lśniący nóż.

Sklepikarz ostrożnie przesuwając palce po trzonku. Trzonek jest czarny, drewniany, pełen wysadzanych klejnotów, a ostrze szerokie, zakrzywione i pokryte arabskim piśmidłem.

- Ten sztylet należał do naszego wielkiego wyzwoliciela, Saladyna Wspaniałego - powiada Arab. - Saladyn miał go przy sobie, kiedy w dwunastym wieku pokonał europejskich krzyżowców. To bezcenna pamiątka.

- Tak? To ile kosztuje? - pytam.

- Jak dla pana... dziewiętnaście dolarów i dziewięćdziesiąt pięć centów.

Więc wzięłem i kupiłem sztylet. Byłem pewny że musi być w tym jakiś haczyk, że na przykład za dołączenie listu facet będzie chciał tysiąc dolców, ale nie chciał. A nawet powiedział że może wysłać nóż do Stanów bez dodatkowej opłaty. Pomyślałem sobie: kurde, Forrest, ale zrobiłeś interes! W liście do małego Forresta opisałem opowiedzianą przez sklepikarza historię sztyleta i ostrzegłem małego że ostrze jest tak diabło ostre, że można nim ciąć papier, więc lepiej niech uważa na palce. Wiedziałem że mały zwariuje z radości jak otrzyma tę przesyłkę.

Dołączyłem do chłopaków, którzy szli i potwornie marudzili, no bo faktycznie, w całym mieście nie było nic do roboty - jedynie można było kupić pamiątkę albo napić się kawy. Łazimy po różnych uliczkach, po wąskich ciemnych zaułkach gdzie miejscowi sprzedają mydło, powidło i inne takie. Nagle przystaję. W cieniu prowizycznego daszka siedzi facet, który popija z butli oranżadę i gra na katarzynie. Twarzy gościa nie widzę, ale widzę że trzyma w łapie sznur, do którego przywiązany jest wielki orangut. Orangut tańczy, facet siedzi i gra, a na ziemi stoi blaszana puszka, więc domyślam się że to żebrak z małpą. Tyle że małpa wygląda jakos znajomo.

Podchodzę bliżej. Przez chwilę orangut gapi się na mnie jakby nie dowierzał własnym gałom, a potem skacze mi w ramiona. Małpiszon jest tak ciężki że zwala mnie z nóg. Kiedy otwieram oczy widzę nad sobą pysk Zuzi, mojego starego kompana z lotu w kosmos i pobytu w dżungli wśród kamibali na Nowej Gwinei. Zuzia kłapie zębiskami, gada po małpiemu, popiskuje i obsypuje mnie zaślinionymi pocałunkami. Nagle słyszę:

- Ej, ty! Odwal się od małpy!

I wiecie co? Patrzę przed siebie, a tam pod daszkiem siedzi nie kto inny jak mój dobry kumpel porucznik Dan! Ze zdumienia o mało się nie posikałem.

- Dobry Boże! - woła na mój widok Dan. - To ty, Gump?

- Ano chyba ja - mówię.

- A co ty, u diabła, tu robisz? - pyta się mnie.

- Ano chyba mógłbym cię spytać o to samo - odpowiadam.

Porucznik Dan wygląda znacznie zdrowiej niż kiedy widzieliśmy się ostatni raz. A ostatni raz widzieliśmy się w szpitalu dla kombatantów gdzie go kazał umieścić pułkownik North. W każdym razie Dan już nie kaszle, troszkę przytył i oczy mu lśnią jak nowe.

- No cóż, Gump - powiada. - Czytałem o tobie w prasie. Jedno trzeba ci przyznać: nie próżnujesz. Najpierw zakpiłeś z ajatollaha, potem trafiłeś do paki za zniewagę Kongresu, następnie wzniciłeś rozruchy w jakimś wesołym miasteczku, potem cię aresztowano i oskarżono o to, że okradłeś miliony ludzi, później przyczyniłeś się do największej na świecie morskiej katastrofy ekologicznej, a także spowodowałeś zmierzch komunizmu w Europie. Dość pracowicie spędziłeś kilka ostatnich lat, prawda?

- Tak - mówię - ale poza tym to niewiele się działo. Porucznik Dan też nie próżnował. Na początku, kiedy go przywieźli do szpitala, myślał że to już koniec, ale lekarzom udało się go przekonać że jeszcze ma przed sobą kupę lat życia. Więc Dan wyjaśnił z wojskiem sprawę swojej renty, zaczął dostawać forszę i nie musiał się dłużej gnieździć w pudle przed Białym Domem. Trochę podróżował, głównie samolotami wojskowymi, bo jako kombatant na rencie miał do tego prawo, no i w ramach tego latania doleciał do Arabii Saudyjskiej.

Jakiś czas temu, powiada, wpadł do Nowego Orleanu żeby obejrzeć stare kąty i zjeść trochę pysznych ostrygów. W przeciwieństwie do wielu innych miast Nowy Orlean prawie w ogóle się nie zmienił. Któregoś dnia Dan siedział sobie na Jackson Square, tam gdzie kiedyś robiłem za jednoosobową orkiestrę, kiedy nagle zobaczył małpę, w której rozpoznał naszego Zuzię. Zuzia całkiem sprytnie zarabiał na swoje utrzymanie: łąził za facetami co śpiewali albo tańczyli na ulicy i też podrygiwał rytmicznie. Kiedy pod wieczór blaszane puszkę były pełne, małpiszon porywał garść monet - swoją dolę - i dawał drapaka.

W każdym razie Dan z Zuzią na nowo się skumali. Dan wciąż się nie mógł przyzwyczaić do sztucznych nóg bo go uwierały, więc włąził do wózka na zakupy i pozwalał się małpie wozić po całym mieście.

- Jeśli muszę, to wkładani protezy - tłumaczy mi. - Ale prawdę mówiąc, wolę po prostu siedzieć na dupsku.

- Ale nie kapuję, Dan, co robisz w tej Arabii - mówię do niego.

- Jak to co? Toczy się wojna, Forrest. A w każdej wojnie, w której walczą Amerykanie, moja rodzina bierze udział. I to od dziewięciu pokoleń. Nie zamierzam zrywać z tradycją.

Oczywiście porucznik Dan wie że jest fizycznie niezdolny do służby wojskowej, ale - jak powiada - kręci się w pobliżu i czeka, bo nigdy nie wiadomo kiedy i do czego może się przydać.

Kiedy mu mówię że przydzielono mnie do zmechanizowanej jednostki pancерnej, podskakuje na dupie z radości.

- Świetnie! Tego mi właśnie potrzeba! - woła. - Środka lokomocji! Siedząc w czołgu, mogę i bez nóg strzelać do Arabów!

Poszliśmy do starej, typowo arabskiej części miasta, kasby czy jak jej tam. Kupiliśmy Zuzi banana, a sobie zupę, w której pływały larwy ropuchów czy coś równie dobrego.

- Wiesz, Forrest - powiada Dan - szkoda, że u Arabów nie ma ostryg. Pewnie ich nie uświadczysz w promieniu dwóch tysięcy kilometrów.

- Kogo? Arabów?

- Nie, pacanie. Ostryg.

Tak sobie gadaliśmy i zanim nastał wieczór Dan przekonał mnie żebym go zabrał do swojej kompanii. Zostawiłem go przed wejściem na teren jednostki, a sam poszedłem do kwatermistrza po dwa komplety mundurów: jeden dla porucznika Dana, drugi dla oranguta Zuzi. Wiedziałem że ze starym Zuzią sprawa nie będzie łatwa, że będę musiał się gęsto tłumaczyć, ale pomyślałem sobie: a co mi tam!

Obecność porucznika Dana zupełnie nikomu nie wadziła. Niektórzy byli nawet zadowoleni, bo poza sierżantem Kranzem i mną był jedyną osobą z naszej kompanii, która widziała wojnę. Gdziekolwiek się teraz ruszał zawsze wkładał sztuczne nogi, co najwyżej zaciskał szczękę kiedy go za bardzo uwierały. Mówił że nie wypada aby żołnierz jeździł na wózku sklepowym albo suwał tyłkiem po ziemi. Pewnie nie. Większość chłopaków polubiła też Zuzię. Żeby sobie radzić w życiu małpishon nauczył się sprytnie kraść. No i teraz ilekroć czegoś potrzebujemy wystarczy mu tylko szepnąć słówko.

Codziennie wieczorem siadamy sobie przed namiotem i gapimy się na scudy - to takie rakiety, którymi Sradam do nas strzela. Na ogół nasze pociski niszczą je w powietrzu i niebo rozbłyska się jak na pokazie sztucznych ogniów, ale czasem zdarza się że nasi pudłują i scud wali w ziemię.

Któregoś dnia zjawia się u nas dowódca batalionu.

- Żołnierze - powiada. - Jutro o świcie ruszamy do boju. Odrzutowce, pociski, artyleria, wszystko. Zmasowany atak na tych skurwysynów Irakijczyków. Czołgi też. Damy Arabom do wiwatu. Będą pewni, że to sam Allah dobiera się im do tyłków, tak im dokopiemy. Więc wyśpijcie się, póki możecie. Żeby wam starczyło sił na kilka dni.

Tej nocy poszedłem na spacer aż na sam skraj pustyni. Jeszcze nigdy w życiu nie widziałem tak czystego nieba. Wszystkie gwiazdy świeciły jasno jakby im kto za to płacił. Zaczęłem się modlić, prosić Boga żeby nie stała mi się krzywda ani nic, no bo nie byłem już sam, miałem dziecko którym musiałem się zająć.

Wcześniej, po południu, dostałem list od pani Curran. Mama Jenny pisała że robi się coraz starsza i coraz trudniej się jej opiekować małym Forrestem. Że wybiera się do przytułka dla bezdomnych prowadzonego przez siostry zakonne, więc musi sprzedać dom - inaczej siostry jej

nie przyjmą. Mały Forrest “będzie musiał zamieszkać w domu dziecka, dopóki czegoś nie wymyślimy”. Jest miłym, przystojnym chłopakiem, ale jak to nastolatek wymyka się spod kontroli. W weekendy jeździ autostopem do kasyn w Missisipi i gra w blackjacka. Większość kasyn przestała go wpuszczać, bo jest tak mądry i tak dobrze liczy karty, że zwykle wygrywa.

Naprawdę przykro mi z powodu małego Forresta - pisze pani Curran - ale niestety nie mam innego wyjścia. Wierzę, mój drogi, że niedługo wrócisz do domu i wszystko się dobrze ułoży.

Żal mi pani Curran. Tyle dla nas zrobiła, dla mnie i mojego syna. Ale w przeciwieństwie do niej, nie bardzo wierzę że wszystko się dobrze ułoży - nawet jeśli wrócę cały i żywy do domu. Wystarczy spojrzeć na to co dotychczas osiągnęłam.

W każdym razie tak sobie dumam, kiedy od strony pustyni nadciąga coś jakby trąba powietrzna. Wiruje przez chwilę pod świecącymi jaskrawo gwiazdami, rozwiewa piasek, a potem nagle przemienia się w Jenny. Kurde, ale się ucieszyłem! Jak goły na widok ubrania!

- No i co, Forrest? Nie wygląda to wesoło, prawda?

- Co? - pytam.

- Jak to co? A nie ruszacie jutro walczyć z wojskiem Husajna?

- Ruszamy. Dostaliśmy rozkaz - mówię.

- No właśnie - ona na to. - A jak ci się coś złego stanie?

- Co ma być to będzie - mówię.

- A mały Forrest? - pyta Jenny.

- Właśnie o nim myślałam.

- Wiem. I nic nie wymyśliłeś, prawda?

- Tylko to że z uwagi na niego nie mogę się dać zabić.

- No tak. Niestety nie mogę ci wyjawić, co się stanie, bo to wbrew przepisom. Ale powiem ci jedno: zapamiętaj sobie, co mówi porucznik Dan.

Pokiwałam łepetyną. Trąba powietrzna zaczęła znów wirować i Jenny powoli się w niej rozpyływała. Chciałem ją zawołać z powrotem do siebie, ale jej twarz była już prawie niewidoczna. Zanim znikła usłyszałem głos, cichutki ale całkiem wyraźny:

- Ta Niemka... podoba mi się... - Głos Jenny coraz bardziej się oddalał. - Jest dzielna, ma dobre serce...

Próbowałem coś powiedzieć, ale słowa ugrzęzły mi w gardle, a potem trąba jeszcze mocniej zawirowała i zostałem sam jak palec.

Nigdy dotąd nie widziałem czegoś takiego jak następnego dnia rano i mam nadzieję że więcej nie zobaczę.

Jak okiem sięgnąć we wszystkich kierunkach po wszystkie horyzonty stoją w szeregach nasze czołgi, armaty i transportery. Silniki są zapalone, więc połączony hurkot maszyn i jazgot pół miliona żołnierzy brzmi jak nieustający ryk tygrysa. Oszalałego z wściekłości wielkiego tygrysa.

O świcie pada rozkaz że mamy ruszać do boju i wypieprzyć z Kuwejtu armię tego skurwiela Sradama. Więc ruszamy.

Sierżant Kranz, którego awansowano na kaprala, porucznik Dan i ja jedziemy razem w jednym czołgu. Zuzia robi nam za maskotkę. Kurde, ale te dzisiejsze czołgi różnią się od tamtych z Wietnamu! Tamte skubańce prowadziło się normalnie, jak traktor, ale to było dwadzieścia pięć lat temu. Obecne wyglądają od środka jak pieprzony kosmolot czy co. Mają komputery, kalkulatory, jakieś przyrządy co bez przerwy buczą i mrugają. Kurde flaki, mają nawet klimatyzację!

Znajdowaliśmy się w czołówce ataku. No i wkrótce nadzialiśmy się na wojsko skurwiela Sradama, tyle że ono zapieprzało do tyłu, nie do przodu. Sierżant Kranz puścił kilka serii z działa, porucznik Dan wcisnął gaz do dechy... Prujemy po piachu tak szybko jakbyśmy frunęli, ze wszystkich czołgów strzelają, gdzie spojrzeć wybuchają wybuchy. Zuzia zatyka sobie palcami uszy, bo hałas jest potworny.

- Hura, hura! - krzyczy porucznik Dan. - Patrzcie, jak gnojki spierdalają!

To prawda, spierdalali.

Byliśmy na samym przodzie, innych naszych czołgów nie było widać. Wojsko Sradama umykało aż się za nim kurzyło, porzucając pojazdy, ubrania, samochody i meble skradzione w Kuwejcie. W pewnej chwili przejeżdżaliśmy przez długi most i zanim jeszcze dojechaliśmy do końca zobaczyłem że jeden z naszych bombowców pikuje. Ledwo zdążyliśmy na drugą stronę kiedy most zwałił się do wąwozu.

Spojrzałem w tył przez lusterko: wszyscy zostali po tamtej stronie. Chciałem porozumieć się przez radio, dowiedzieć się co mamy robić, kiedy nagle nadciągnęła wielka burza piaskowa i po chwili nie było nic widać. A radio zgasło.

- Może powinniśmy stanąć i czekać na instrukcje? - pytam Dana.

- E, tam! - on na to. - Zobacz, jak skurwiele spieszą. Trzeba ich dalej pogonić.

No dobra. Więc goniliśmy przez cały dzień i prawie całą noc. Dokoła wciąż się kotłowała burza piaskowa, nic nie było widać, nawet tego czy jest dzień czy noc, ale my dzielnie pruliśmy dalej przed siebie. Raz czy dwa razy minęliśmy po drodze zagrzezione w piasku czołgi Sradama, więc przelaliśmy sobie od nich paliwa.

- Wiecie - mówi w końcu porucznik Dan - na moje oko przejechaliśmy z pięćset kilometrów.

Sierżant Kranz zagląda do mapy.

- Jeśli tak - mówi - to powinniśmy być tuż pod Bagdadem.

W tym momencie burza piaskowa wreszcie się kończy. Jest piękny słoneczny dzień. Przed nami szosa, a na szosie znak: Bagdad - 10 km.

Zatrzymaliśmy się na chwilę, otwarli wąż i wystawili na zewnątrz łby. Patrzymy, no i faktycznie - w oddali majaczy Bagdad. Mnóstwo białych domów, jakieś złote wieżyczki na dachach, ale - kurde flaki! - gdzie są nasi?

- Musieliśmy ich zostawić daleko w tyle - mówi sierżant Kranz.

- Chyba powinniśmy na nich poczekać - mówi Dan.

Nagle orangut Zuzia, który ma wzrok jak najlepsza lorneta, ożywia się, zaczyna dziamgać, wymachiwać łapami, wskazywać paluchem kierunek skąd przybyliśmy.

- Co to? - pyta sierżant Kranz.

Na horyzoncie widać jakiś sznur pojazdów, które suną w naszą stronę.

- No wreszcie - mówi porucznik Dan. - Nasi.

- Jacy nasi, do cholery, jacy nasi?! - ryczy sierżant Kranz, który przytknął do oczu lornetkę i gapi się w horyzont. - To cała pieprzona armia iracka! Nie tylko wyprzedziliśmy naszych, wyprzedziliśmy również i ich!

- A to ci heca - mówi Dan. - Wygląda na to, żeśmy się znaleźli między młotem a kowadłem.

Optymista, myślę sobie. Z jednej strony nadciągająca armia iracka, z drugiej skurwiel Sradam we własnej osobie!

- Zaraz nam się skończy paliwo - powiada Dan. - Moim zdaniem, powinniśmy jechać do miasta i poszukać jakiejś stacji benzynowej.

- Co? Czyś ty zwariował? - krzyczy sierżant Kranz.

- A masz lepszy pomysł? - pyta się go Dan. - Bez paliwa będziemy drałować na piechotę. Wolisz iść czy jechać?

Myślę sobie: niegłupio Dan gada. No bo niby nie robi różnicy, skoro i tak nas zabiją, ale po jaką cholere się męczyć i pocić, jeśli można jechać w klimatyzacji, nie?

- Gump, a ty jak uważasz? - pyta się mnie sierżant Kranz.

- Mnie tam wszystko jedno - mówię zgodnie z prawdą.

A wtedy Dan powiada:

- Dobra, chłopaki. Więc jedziemy pozwiedzać Bagdad.

I żeśmy pojechali.

Rozdział 12

Jedno wam powiem: byliśmy w stolicy Sradama równie mile widziani jak bękarty na zjeździe rodzinnym.

Na nasz widok jedni ludzie uciekali z wraskiem i krzykiem, inni obrzucali nas kamieniami. Ale nic, krążymy po uliczkach, szukamy stacji benzynowej. W pewnym momencie Dan mówi że powinniśmy stanąć i pomyśleć nad tym jak by się zamaskować, bo inaczej możemy mieć poważne kłopoty. No dobra, stajemy, wysiadamy i rozglądamy się dokoła. Czołg jest tak zakurzony że prawie go nie widać, jedyne co nas zdradza to wymalowana z boku amerykańska flaga, która prześwituje przez brud. Szkoda, mówi sierżant Kranz, że nie mamy błota na gaśnicach, moglibyśmy nim zamazać flagę. Dan uważa że to świetny pomysł i posyła mnie żebym z rowu co się ciągnie wzdłuż ulicy przyniósł trochę wody; zrobimy sobie własne błoto. Kiedy podchodzę bliżej okazuje się że tym rowem wcale nie płynie woda tylko brudne ścieki, ale trudno, zatykam nosa i zanurzam wiaderko.

Wracam do swoich i bierzemy się do roboty. Jedną ręką na zmianę trzymamy się za nosy i wachlujemy powietrze, a drugą mieszamy te ścieki z piaskiem, robimy błoto i zalepiamy nim flagę. Kiedy kończymy Dan powiada że jak nas teraz złapią, to wezmą nas za szpiegów i rozstrzelają.

Sierżant Kranz daje Zuzi wiaderko z nową porcją ścieków, na wypadek gdyby błoto odpadło z flagi i trzeba było ją znów pacykować, po czym wsiadamy i ruszamy w dalszą drogę.

Jeździmy sobie to w lewo, to w prawo i błotko świetnie spełnia swoją rolę. Czasem ktoś na nas spojrzy jak go mijamy, ale już nikt nie krzyczy ani nie wali w czołg kamulcami. Wreszcie docieramy na stację benzynową, ale wygląda jakoś pusto. Dan mówi żebyśmy sprawdzili, ja i sierżant Kranz, czy jest ropa. Wsiadamy i kurde! - od razu robi się straszne zamieszanie. Ze wszystkich kierunków wyjeżdżają jakieś dżipy i transporterzy, prują w naszą stronę, potem hamują z piskiem opon. Kucnęliśmy z sierżantem za koszem na śmieci i czekamy co będzie.

Po chwili z jednego z transporterów wysiada jakiś gość. Ma duże krzaczaste wąsy, zielony mundur polowy, a na łbie czerwony berecik. Wszyscy wkoło kłaniają mu się i podlizują jakby facet był jakąś miejscową szyszką.

- Ja pierdolę! - szepcze mi do ucha sierżant Kranz. - To Husajn we własnej osobie!

Wystawiam łeb, mrużę oczy, no i faktycznie - gość wygląda wypisz wymaluj jak Sradam na zdjęciach.

Idzie w stronę jakiegoś budynku i na początku wcale nas nie zauważa. Nagle staje, obraca się na pięcie i wlepia gały w czołg. Wszystkie Araby co mu towarzyszyli natychmiast zaczynają wymachiwać bronią i ustawiają się dokoła czołgu. Jeden gramoli się na wierzch i grzecznie puka do wjazdu. Pewnie Dan myślał że to my, bo nie spytał kto tam ani nic tylko otworzył. I kurde flaki! - zamiast naszych pysków ujrzał dwadzieścia wycelowanych w siebie luf.

Araby wyciągli ich ze środka, znaczy się Dana i Zuzię, po czym kazali im stanąć pod murem i unieść do góry ręce. Więc małpa stanęła, a Dan usiadł, bo wcześniej zdjął sztuczne nogi.

Skurwiel Sradam bierze się pod boki, patrzy na Dana z Zuzią, potem na tych swoich podlizusów i wybucha śmiechem.

- No i co? Nie mówiłem, że nie ma się czego bać? Że Amerykanie są mocni tylko w gębie? Patrzcie! Piękny nowoczesny czołg, a w środku kto? Kaleka i gość włochaty jak goryl!

Widzę że porównanie do goryla sprawia Zuzi przykrość.

- Cóż - ciągnie dalej Sradam - skoro nie mają na czołgu żadnych znaków rozpoznawczych, to znaczy, że szpiegują. Dajcie im, chłopcy, po papierosie i pytajcie, czy chcą coś powiedzieć zanim zginą.

Nie wygląda to zbyt wesoło. Zupełnie nie wiemy co robić, ani sierżant Kranz ani ja. Bez sensu byłoby rzucać się na żołnierzy ze straży przybocznej Sradama, bo tylu ich jest, że zastrzeliliby nas i już. Do czołgu nie możemy się dostać, bo jest pilnie strzeżony. Dać dyla też nie możemy, bo po pierwsze nie wypada, a po drugie dokąd mielibyśmy zwać?

Dan pali ostatniego papierosa, Zuzia swojego drze na kawałki i zjada. Pewnie małpizson myśli że to ostatnia wieczerza czy co. Przez chwilę nic się nie dzieje, a potem skurwiel Sradam idzie do naszego czołgu i gramoli się do środka. Po paru minutach wysuwa łeb i drze się do straży żeby przyprowadziła mu więźniów. Cała trójka znika w środku.

Okazuje się że Sradam nigdy w życiu nie widział tak nowoczesnego czołgu, nie wie jak ustrojstwo działa ani nic, więc postanowił odwlec ekzekucję dopóki Dan z Zuzią nie pokażą mu co i jak.

Przez jakiś czas tłumaczą mu pewnie co do czego służy, a potem włączają silnik. Powoli wieżyczka się obraca, działo się obniża i wreszcie celuje prosto w Sradamową straż. Strażnicy mają coraz głupsze miny, zaczynają jazgotać nerwowo, gdy wtem przez czołgowy megafon

rozlega się głos Sradama, który każe wszystkim rzucić broń i podnieść do góry ręce. Arabcy robią co im szef każe. Wtedy z wjazdu wyskakuje Zuzia i macha do nas, sierżanta Kranza i mnie, żebyśmy migiem wleźli do środka. Kiedy znikamy w czołgu mała chwyta wiaderko, chlusta jego zawartość strażnikom w twarze i pędem odjeżdżamy. Arabcy stoją w tabunach kurzu, krztuszą się, trzymają za nosy, wachlują powietrze. Dan prowadzi czołg jedną ręką, a drugą przytyka pistolet Sradamowi do łba.

- Forrest, weź to ode mnie - mówi dając mi broń - i celuj w łobuza. Jeśli wykona jeden fałszywy ruch, rozwal mu baniak.

Sradam płacze, przeklina i wzywa na pomoc swojego Allaha.

- Musimy zatankować, inaczej cały plan weźmie w łeb - powiada Dan.

- A jaki jest plan? - pytam go.

- Dostarczyć tego żałosnego skurwiela do generała Scheisskopfa. Niech go wrzuci do pierdła albo lepiej postawi pod murem, tak jak on nas postawił.

Kiedy Sradam to słyszy, składa łapy jak do modlitwy, osuwa się na kolana, to wznosi modły do Allaha, to nas błaga o litość i takie tam wyczynia hece.

- Każ skurwielowi się zamknąć - mówi do mnie Dan. - Nie mogę się przez niego skupić. Cholera, Forrest, wiesz, jakie to wredne skąpiradło? Kiedy mu powiedziałem, że chciałbym przed śmiercią dostać talerz smażonych ostryg, oznajmił, że tu nie ma ostryg. Jak to możliwe, żeby człowiek, który rządzi całym krajem, nie mógł zdobyć dla skazańca kilku nędznych ostryg? Wredne skąpiradło, ot co!

I nagle Dan wciska hamulec.

- Nareszcie, kurwa - mówi. - Stacja benzynowa.

Zaczyna manerować czołgiem żeby ustawić go przy zbiorniku z paliwem. Z budynku wyłazi jakiś Arab i patrzy co się dzieje. Sierżant Kranz otwiera wjazd i pokazuje mu na migi żeby wlał nam paliwa. Arab kręci makową, jazgocze po swojemu i wymachuje łapami jakby się opędzał przed natrętną muchą. Dobra, bratku, myślę sobie. Chwytam za kark skurwiela Sradama i wystawiam jego łeb na zewnątrz. Oczywiście z przytkniętą do czoła bronią.

Arab natychmiast się ucisza, a mina mu się zrzedza. Sradam cały czas krzywi się do mnie i błaga o litość. Tym razem kiedy sierżant Kranz pokazuje Arabowi że chcemy paliwa, ten w podskokach napełnia nam baka.

Tymczasem Dan mówi że trzeba lepiej zamaskować czołg, bo musimy się przebić przez całą armię wroga, która dyma z powrotem na chatę. Najlepiej, powiada, byłoby skombinować iracką flagę i przyczepić ją do anteny radiowej. Okazuje się to całkiem proste, bo flagów jest w Bagdadzie jak mrówek, na każdym drzewie, na każdej latarni, wszędzie.

Więc przywiązaliśmy flagę do anteny, a potem rozsiedliśmy się wygodnie w czołgu, ja, porucznik Dan, Zuzia, sierżant Kranz, no i Sradam z przytkniętym do łba gnatem, i ruszyliśmy na poszukiwanie naszych.

Jedna rzecz jaką można powiedzieć o pustyni to że jest płaska. Druga rzecz - to że jest na niej gorąco, a jak się jedzie w czołgu w pięć osób - to jest bardzo gorąco. Wszyscyśmy marudzili i narzekali na upał, a potem nagle zmieniliśmy temat narzekań, bo na horyzoncie pojawiła się pieprzona armia iracka. Oczywiście ich czołgi zasuwały w naszą stronę.

- No i co teraz robimy? - pyta sierżant Kranz.

- Będziemy udawać jednego z nich - odpowiada Dan.

- Jak? - pytam.

- Patrzcie i podziwiajcie - mówi porucznik Dan. Cały czas jedzie prosto w armię przeciwnika. Myślę sobie: zaraz w nich wyrznie i nas pozabija. Ale wcale nie, ma inny plan. Kiedy sekundy dzielą nas od kraksy z Arabem, Dan daje ostro po hamulcach i obraca czołg tak jakby chciał dołączyć do szeregów irackich. Po spotkaniu z generałem Scheisskopfem Arabi chyba robią w gacie ze strachu, bo na nas w ogóle nie zwracają uwagi. Dobra, kiedy już jesteśmy obrócenii twarzą do Bagdadu, Dan zwalnia. Irackie czołgi mijają nas i zostajemy sami na pustyni.

- A teraz - mówi Dan i wskazuje na Sradama - jedziemy przekazać dowództwu tego podłego agresora, kurwa jego mać! Kuwejtu się mu zachciało!

Dalej poszło jak z płatka.

Kiedy zaczęliśmy się zbliżać do naszych, Dan zatrzymał czołg i powiedział że musimy się teraz "ujawnić". Kazał mnie i sierżantowi Kranzowi wysiąść, ściągnąć iracką flagę i zdrapać błoto z flagi amerykańskiej. Wzięliśmy się do roboty i wiecie co? Po raz pierwszy w mojej długiej karierze zdrapywacza błota miałem wrażenie że to co robię ma sens. Po raz pierwszy - i ostatni.

No dobra, z czystą i lśniącą flagą z boku czołgu bez trudu przedostaliśmy się przez linie amerykańskie. Po drodze brnęliśmy przez wielkie chmury dymu co się unosił znad szybów

naftowych w Kuwejcie. Sradam kazał je podpalić ze złości że przegrał wojnę. Widać nie umiał przegrywać. Kiedy wjechaliśmy na teren obozu, zapytaliśmy kilku żandarmów gdzie jest kwartera generała Scheisskopfa. Błądziliśmy z pięć godzin zanim ją w końcu znaleźliśmy. Zniecierpliwiony sierżant Kranz powiedział że jedyne co żandarmy umiały robić to aresztować ludzi, bo wskazywać drogi to na pewno nie potrafiały. Dan przyznał mu rację i dodał że “Gump jest tego najlepszym dowodem”, znaczy się ich aresztanckich umiejętności.

Poszliśmy z sierżantem Kranzem do kwartery generała powiedzieć mu kogo przywieźliśmy z Bagdadu. Wchodzimy do środka, a tam akurat trwa konfederacja prasowa. Terkoczą kamery, błyskają flesze. Generał pokazuje dziennikarzom film nakręcony przez kamerę zamontowaną w jednym z naszych bombowców. Bombowiec pikuje i zrzuca bombę na most. Na ekranie widać pojedynczy czołg, który ledwo zdążył przejechać na drugą stronę mostu zanim ten zwalił się do wąwozu.

- Skurwiel, który jedzie tym czołgiem - mówi generał Scheisskopf i stuka linijką w ekran
- to największy szczęściarz w całej pieprzonej armii irackiej!

Wszyscy w pokoju oprócz mnie i sierżanta Kranza wybuchają śmiechem. My patrzymy przerażeni, bo to nasz czołg z nami w środku! Ale nie protestujemy ani nic, bo nie chcemy popsuć generałowi występu. Dopiero jak generał skończył gadać z dziennikarzami, sierżant Kranz podszedł i szepnął mi do ucha jaką mamy dla niego niespodziankę. Generał, na oko całkiem sympatyczny wielkolud, zrobił głupią minę. Sierżant Kranz znów coś szepnął, a wtedy generał wybałuszył gały, chwycił sierżanta za łokieć i wyleciał z nim na zewnątrz. Ja w te pędy za nimi.

Kiedy doszliśmy na miejsce generał Scheisskopf wdrapał się na czołg i wsadził łeb do środka. Po chwili wysunął go, “Rany boskie!” krzyknął i zeskoczył na ziemię.

Wkrótce Dan podciągnął się, wylazł na wierzch i przysiadł na masce, a Zuzia, obok niego. W czasie kiedy nas nie było Dan z Zuzią związali Sradama i wetkli mu w usta knebel żeby przestał jazgotać.

- Nie wiem, gdzieście, u diabła, byli i co robili - powiada do nas generał - ale wiem, żeście dali dupy.

- He? - mówi sierżant Kranz zapominając o dobrych manierach.

- Złapaliście Husajna. Kto was, kurwa, o to prosił?! - wścieka się generał.

- Jak to, panie generale? - dziwi się Dan. - Przecież Saddam Husajn to nasz wróg. To z jego powodu toczy się wojna, no nie?

- Niby tak... Ale ja otrzymuję rozkazy bezpośrednio od prezydenta Stanów Zjednoczonych, George'a Herberta Walkera Busha.

- Ale, panie generale...

- Żadne ale - mówi generał i kikuje na wszystkie strony jakby sprawdzał czy nikt nas nie podgląda. - Dostałem wyraźny rozkaz, żeby nikt nie ważył się schwytać tego dupka, którego macie w czołgu. A wy, psiakrew, co? Przez was prezydent się na mnie wścieknie!

- Bardzo przepraszamy, panie generale - mówi Dan. - Nie wiedzieliśmy o rozkazie. No ale teraz, skoro pojaliśmy skurwysyna, to co z nim mamy zrobić?

- Odstawić z powrotem - powiada generał.

Jak nie rykniemy wszyscy razem:

- CO?! Odstawić z powrotem?!

Generał Scheisskopf macha ręką żeby nas uciszyć.

- Ale, panie generale, pan chyba nie rozumie - mówi sierżant Kranz. - Ledwośmy uszli z życiem. To żadna frajda jeździć po Bagdadzie czołgiem amerykańskim, w dodatku podczas wojny.

- No właśnie - popiera go Dan. - Byliśmy jedynymi Amerykanami w mieście. A teraz powróciła cała iracka armia, więc...

- Rozumiem, co czujecie, chłopcy - mówi generał. - Ale rozkaz to rozkaz. A mój brzmi: odstawić skurwysyna.

No to ja się wtrącam do rozmowy.

- A nie moglibyśmy go zostawić na pustyni? Żeby sam sobie wrócił do domu?

- To byłoby niehumanitarne! - oburza się generał. - Ale nie musicie wjeżdżać do samego Bagdadu. Stańcie jakieś osiem czy dziesięć kilometrów od miasta i tam wypuście skurwysyna.

- CO? DZIESIĘĆ KILOMETRÓW OD MIASTA? - rykliśmy chórem.

Ale jak powiedział generał: rozkaz to rozkaz.

Dobra, nabraliśmy paliwa, przekąsiliśmy co nieco w kuchni polowej i przygotowaliśmy czołg do drogi. Zrobiło się już dość późno, ale pomyśleliśmy sobie że może przynajmniej upał nie będzie nam tak doskwierzał. Przed wyjazdem sierżant Kranz przyniósł Sradamowi kolację -

pyszne kotlety wieprzowe, ale ten podziękował, nie wiem czy nie lubił kotletów czy nie był głodny. Pał go lichy.

Płonące szyby naftowe rozświetlały całą pustynię. Było jasno jak na stadionie podczas meczu. Posuwaliśmy się naprzód całkiem szybko mimo że ciągle musieliśmy wymijać jakieś przeszkody. Wygląda na to że Iracy zajęli nie tylko Kuwejt, ale również rzeczy należące do mieszkańców Kuwejtu, ich meble, mercedesy i inne dobytki, ale potem spieszyli w takim pośpiechu, że je porzucili na pustyni.

Jazda do Bagdadu była nudna, więc dla rozrywki wyjęłem Sradamowi z pyska knebel. Kiedy mu powiedziałem że odwozimy go z powrotem do domu, zaczął beczeć, krzyczeć i od nowa wznosić modły, bo był pewien że kłamie i że chcemy go zatłuc. Wreszcie się uspokoił i uwierzył że nie wykręcę kota ogonem, tylko za cholere nie mógł pojąć co nam odbiło. Porucznik Dan wyjaśnił mu że to "akt dobrej woli".

Trochę się ożywiłem. Powiedziałem Sradamowi że jego sąsiad ajatol z Iranu to mój dobry znajomek i że kiedyś załatwiałem z nim interesy. A Sradam na to:

- Mam same kłopoty przez tego starego pierdołę. Oby smażył się w piekle! Oby do końca wieczności jadł flaki i peklowaną golonkę!

- Widzę, że dobry z pana chrześcijanin - powiada porucznik Dan.

Sradam nie bardzo wie jak na to odpowiedzieć, więc po prostu milczy.

Po jakimś czasie zobaczyliśmy w oddali światła Bagdadu. Dan zwalnia żeby silnik ciszej hałasował i powiada że na jego oko jesteśmy osiem czy dziesięć kilometrów od miasta.

- Wcale nie - mówi Sradam. - Jesteśmy dwanaście albo czternaście.

- A od czego masz nogi, skurwysynu jeden? Pod dom cię nie podwieziemy, mamy lepsze rzeczy do roboty.

Po tych słowach sierżant Kranz i ja wyciągliśmy Sradama z czołgu. Sierżant Kranz kazał mu się rozebrać do rosołu, pozwolił mu tylko zatrzymać buty i czerwony berecik na łbie, a potem obrócił go twarzą w stronę miasta.

- W drogę, kutasino - powiedział i dał kutasinie kopa w tyłek.

Kiedy go widzieliśmy po raz ostatni, Sradam sadył przez pustynię, jedną łapą zakrywając się z przodu a drugą z tyłu.

No dobra, rozkaz wykonaliśmy, więc zawracamy i prujemy z powrotem do Kuwejtu. Spokój, cisza, nic się nie dzieje. Tęsknię za małym Forrestem, ale przynajmniej mam przy sobie kumpli, znaczy się porucznika Dana i Zuzię, a poza tym już niewiele czasu zostało mi w wojsku.

Gdyby nie warkot silnika i czerwone światełka mrygające na tablicy rozdzielczej w czołgu byłoby zupełnie czarno i głucho.

- Wiesz, Forrest - mówi Dan - to już chyba nasza ostatnia wojna.

- No mam nadzieję - odpowiadam.

- Wojna to straszna rzecz - ciągnie Dan - ale kiedy wybucha, nie ma przed nią ucieczki.

My, żołnierze, musimy walczyć. W czasie pokoju możemy leżeć do góry brzuchem i zbijać bąki, ale kiedy ojczyzna wzywa, wtedy bagnet na broń i do ataku!

- Nie wiem, Dan - mówię. - Może ty i sierżant Kranz lubicie się bić. Zuzia, i ja wolimy pokój. Jesteśmy pacyfisty.

- Dobra, dobra. Niby pacyfista, a za każdym razem jak się coś dzieje, jesteś w samym środku wydarzeń. Nie myśl, że tego nie doceniam, Forrest.

- Chciałbym już być w domu.

- O rany... - mówi nagle Dan.

- Co? - pytam.

- O rany - powtarza i gapi się intensywnie w tablicę rozdzielczą.

- Co się stało? - pyta go porucznik Kranz.

- Namierzyli nas.

- Co? kto?

- Nie wiem. Samolot. Pewnie jeden z naszych.

- Z naszych?

- Tak. Irackie zniszczyliśmy.

- A dlaczego nasi nas namierzają? - pytam.

- O rany - znów mówi Dan.

- Co?

- Wystrzelili!

- Do nas?

- A do kogo?

Porucznik Dan zaczął szybko zawracać czołg. Nie zdążył. Potężna splozja prawie rozerwała nas na pół. W kabinie zrobiło się czarno od dymu.

- Wyłażcie! Szybko! - krzyczy Dan.

Wylazłem na zewnątrz i pochyliłem się nad włazem żeby pomóc innym. Za mną wygramolił się sierżant Kranz. Kiedy zeskoczył na ziemię sięgłem w dół po Zuzię. Małpa leżała w kącie, ranna i czymś przygnieciona. Więc wyciągiem rękę do porucznika Dana, ale jego też nie mogłem dosięgnąć. Przez chwilę patrzyliśmy sobie w oczy. Potem Dan mówi:

- Kurwa, Forrest, byliśmy już tak blisko...

- Spróbuj, Dan! - krzyczę.

W kabinie błyskają płomienie, unoszą się tumany dymu. Pochyłam się niżej, raz i drugi, ale wciąż nie mogę chwycić Dana. A on patrzy na mnie i uśmiecha się smutno.

- Niejedną żeśmy razem stoczyli bitwę, no nie, Forrest?

- Szybko, Dan! Łapaj moją grabę! - wrzeszczę.

- Do zobaczenia, przyjacielu.

W tym momencie nastąpił wybuch.

Wyrzuciło mnie do góry: byłem trochę potłuczony i trochę poparzony, ale w jednym kawałku. Kurde balas, nie wierzyłem własnym gałom. Stałem na piachu i patrzyłem jak czołg płonie. Chciałem wleźć do środka, spróbować wyciągnąć Dana i Zuzię, ale wiedziałem że to nic nie da. Więc tkwiliśmy jak te kołki, sierżant Kranz i ja, tkwiliśmy bez ruchu dopóki czołg się nie przestał palić.

- Chodźmy, Gump - powiada sierżant Kranz, kiedy jest już po wszystkim. - Czeka nas długi marsz.

Drałowaliśmy nocą przez pustynię. Przez całą drogę czułem tak potworny ucisk w sercu że nawet nie byłem w stanie się rozplakać. Moi dwaj najbliżsi przyjaciele nie żyli. Chryste, nie wyobrażacie sobie tej pustki i tego smutku jaki mnie ogarnął.

W bazie lotniczej gdzie stały nasze bombowce odprawiono krótką mszę za porucznika Dana i Zuzię. Nie mogłem się powstrzymać od myśli że któryś z tych pilotów jest winny ich śmierci, ale pewnie on sam też miał wyrzuty na sumieniu. Poza tym skąd miał wiedzieć że my to swoi? Nocą po pustyni nie zapieprzały żadne amerykańskie czołgi. My też byśmy grzecznie siedzieli w namiotach, gdyby nam nie kazali odstawić Sradama do Bagdadu.

Ustawione na polu startowym dwie trumny przykryte flagami migotały w porannym słońcu. Nic w nich nie było. Były puste. Z Dana i Zuzi zostało tak niewiele że ledwo zdołano zapełnić nimi dwie puszkę po fasoli.

W trakcie mszy sierżant Kranz pochyla się do mnie.

- Wiesz, Gump - mówi. - Dobrzy z nich byli żołnierze. Nawet małpa była całkiem w porządku. Nigdy nie okazywała strachu.

- Może była za głupia?

- Może - on na to. - Trochę tak jak ty, co?

- Trochę.

- Będzie mi ich brakować - powiada. - Ta wycieczka do Bagdadu, to było coś!

- Tak. To było coś.

Kiedy kapelan zakończył swą gadkę zagrały werble, potem kompania honorowa oddała dwunastostrzałową salwę i koniec, basta.

Po cyremonii podszedł do nas generał Scheisskopf i obtoczył mnie ramieniem. Pewnie zobaczył że oczy mi się wilgocą i zaczynam się rozklejać.

- Przykro mi, szeregowy Gump...

- Mnie też - mówię.

- Jeśli dobrze rozumiem, to byli wasi przyjaciele, prawda? Ale nie rozumiem, dlaczego nie mamy u siebie ich akt.

- Bo zgłosili się na ochotnika.

- Może w takim razie wy byście to wzięli, co? - mówi generał, a jego adiutant wręcza mi dwie małe puszkę z przyklejonymi do denka ciupeńkami flagami. - Ci z ewidencji są zdania, że najlepiej będziecie wiedzieli co z tym zrobić.

Wzięłem puszkę, podziękowałem generałowi - choć sam nie wiem za co - i ruszyłem na poszukiwanie swojej jednostki. Kiedy ją znalazłem okazało się że sam jestem pilnie poszukiwany.

- Mam dla was ważną wiadomość, Gump - mówi do mnie kwatermistrz. - Gdzieście się, do diabła, podziewali?

- To długa opowieść.

- No dobra. Wiecie co? Już nie jesteście w wojsku.

- Nie?

- Nie - on na to. - Właśnie ktoś odkrył, że byliście karani. A osób karanych wojsko nie przyjmuje.

- To co mam teraz robić? - pytam go.

Jego odpowiedź brzmiała:

- Pakujcie manatki i wynocha stąd.

Więc tak zrobiłem. Najbliższym samolotem miałem odlecieć do Stanów. Nawet nie było czasu przebrać się w czyste ubranie. Wsadziłem puszki z prochami Zuzi i Dana do plecaka i po raz ostatni się odmeldowałem. Samolot był do połowy pełen. Usiadłem z tyłu, z dala od wszystkich, bo od ubrania co miałem na sobie jakoś zajeżdżało śmiercią. Trochę się wstydziłem że cuchnę. Lecieliśmy wysoko nad pustynią, na niebie świecił księżyc, na horyzoncie wisały chmury, a wewnątrz samolotu panował mrok. Po jakimś czasie poczułem się strasznie samotny i smutny. Nagle podnoszę głowę i widzę że po drugiej stronie przejścia siedzi Jenny. Też jest smutna. Tym razem nie odzywa się ani nic, tylko patrzy na mnie i się łagodnie uśmiecha.

Nie mogłem się, kurde, powstrzymać. Wyciągiem rękę. Jenny się odsunęła i lekko pogroziła mi palcem, ale na szczęście nie znikła. Przez całą drogę do domu dotrzymywała mi towarzystwa.

Rozdział 13

Do Mobile wróciłem w szary pochmurny dzień i od razu wybrałem się do pani Curran. Mama Jenny siedziała w salonie na bujaku i robiła na drutach jakąś serwetkę czy coś. Na mój widok bardzo się ucieszyła.

- Dobrze, że już jesteś - mówi. - Chyba dłużej nie dałabym sama rady. Niełatwo mi było...

- Wyobrażam sobie - ja na to.

- Słuchaj, Forrest. Tak jak ci pisałam, chcę zamieszkać w przytułku prowadzonym przez Siostry Miłosierdzia. Siostrzyczki będą się mną opiekować do śmierci, więc pieniądze ze sprzedaży domu zostawię tobie, żebyś miał na wychowanie małego Forresta.

- Och nie, to są pani pieniądze, nie mógłbym...

- Musisz, Forrest. Siostry nie przyjmą mnie do siebie, jeśli nie będę biedna jak mysz kościelna. Zresztą mały Forrest jest moim wnukiem i poza nim nie mam żadnej rodziny. A tobie też się pieniądze przydadzą. Jesteś bez pracy...

- To prawda... - mówię.

Nagle drzwi wejściowe się otwierają i do pokoju wbiega jakiś młokos.

- Babciu, już jestem! - woła.

W pierwszej chwili aż go nie poznałem. Ostatni raz widzieliśmy się prawie trzy lata temu. Od tego czasu urósł, wydorósł, stał się niemal mężczyzną. Tyle że miał w uchu kolczyk, więc zacząłem się zastanawiać czy przypadkiem nie nosi babskich majtków.

- To co, wróciłeś? - pyta się.

- Na to wygląda - mówię.

- Na długo?

- Chyba na zawsze.

- I co będziesz robił? - pyta.

- Jeszcze nie wiem - ja na to.

- No tak - mówi mały Forrest i idzie do swojego pokoju.

A ja myślę sobie: nie ma to jak ciepłe synowskie powitanie.

Następnego dnia rano zacząłem szukać pracy. Niestety nie posiadałem wiele kwalifikacji, więc wybór miałem trochę ograniczony. Mogłem się nająć do kopania rowów czy czegoś

takiego. Ale nawet to nie było proste. Okazało się że nie ma dużego zapotrzebowania na kopaczy, a tam gdzie ich akurat potrzebowali to mi majster powiedział że jestem za stary. Ujął to mniej więcej tak:

- Szukamy młodych facetów, którzy podejną do tego ambicjonalnie, a nie starych pierników, którzy chcą zarobić parę groszy na flaszkę wina.

Po trzech czy czterech dniach szukania byłem dość zniechęcony, a po trzech czy czterech tygodniach mocno podłamany. Wreszcie ze wstydu okłamałem panią Curran i małego Forresta: powiedziałem im że znalazłem pracę. Ale prawda była taka że rachunki opłacałem z resztek żołądu, a całe dni - przynajmniej te kiedy nie ścierałem sobie podeszwów w poszukiwaniu pracy - spędzałem w pobliskim barze na picciu coli i zjadaniu chrupków.

Któregoś dnia wykombinowałem sobie że pojedę do Bayou La Batre i sprawdzę czy tam by się dla mnie nic nie znalazło. No bo kurde flaki! - właśnie w Bayou rozkręciłem kiedyś wielki interes krewetkowy.

Żałosne zastałem tam widoki. Moja dawna firma była w stanie rozpadu: zniszczone budynki, zdezwolana przystań, powybijane okna, zarośnięty chwastami parking. Nie miałem się co łudzić: ten rozdział mojego życia był zamknięty na amen.

Poszłem na nabrzeże. Na wodzie kołysało się smętnie kilka kutrów krewetkowych.

- Skończyły się w tych stronach połowy krewetek - mówi mi kapitan jednego z nich. - Te wody, Gump, już dawno temu zostały ogołoczone. Teraz, jak się chce zarobić, trzeba mieć duży statek i łowić daleko, przy wybrzeżach Meksyku.

Szłem z powrotem na przystanek żeby złapać autobus do Mobile, kiedy nagle pomyślałem sobie że skoro tu jestem powinienem odwiedzić ojca mojego nieżyjącego przyjaciela Bubby. W końcu nie widziałem go dobre dziesięć lat. No więc polazłem tam gdzie kiedyś mieszkał, patrzę: dom stoi jak stał, a tata Bubby siedzi na ganku i pije mrożoną herbatę.

- A niech mnie lichy! - woła na mój widok. - Słyszałem, że siedzisz w więzieniu.

- Zależy kiedy pan słyszał - ja na to. - Może akurat siedziałem.

Spytałem go o połowy krewetków. Odmalował mi równie ponury obrazek jak kapitan kutra.

- Nikt ich nie łowi i nikt nie hoduje. Za mało ich jest, żeby opłacało się je łowić, a woda jest za zimna, żeby opłacało się je hodować. Trafieś na najlepsze lata, Forrest. Od tamtej pory nastaly tu ciężkie czasy.

- Przykro mi to słyszeć - mówię.

Usiadłem obok na ganku. Tata Bubby poczęstował mnie mrożoną herbatą.

- Ciekaw jestem, Forrest... widziałeś się później z tymi typami, którzy okradli ci firmę? - pyta tata Bubby.

- Z którymi?

- Z porucznikiem Danem, ze starym panem Tribble i z tą małpą... jak jej było na imię?

- Zuzia - mówię.

- Właśnie o nich mi chodzi.

- Wie pan, chyba Zuzia i Dan nie byli winni. Zresztą teraz to już nie ma znaczenia. Oboje nie żyją.

- Tak? A co się stało? - pyta tata Bubby.

- To długa opowieść - mówię.

Tata Bubby nie nalegał żebym mu ją opowiedział, za co byłem mu wdzięczny.

- To co teraz będziesz robił? - pyta się mnie po chwili.

- Nie wiem. Coś muszę.

- Bo wiesz, Forrest, są jeszcze ostrygi...

- Ostrygi?

- Tak. Wprawdzie nie zarobi się na nich fortuny, ale są tu całkiem spore ławice. Problem w tym, że ludzie boją się jadać ostrygi z powodu zanieczyszczenia wody. Podobno można się zatruć.

- A jak pan myśli, da się z tego wyżyć? - pytam.

- To zależy. Jak jest duże zanieczyszczenie, miejscowe władze wprowadzają zakaz odłowu. Czasami są burze, huragany. No i trzeba się liczyć z konkurencją - powiada tata Bubby.

- To znaczy?

- No, jest paru facetów, którzy się tym zajmują. I nie patrzą przychylnym okiem na nowych. Krewcy z nich goście. Zresztą może pamiętasz...

- Tak, zawsze tacy byli - mówię.

I to była szczerą prawdą. Z ostrygowcami nie należało zadzierać, przynajmniej w tamtych czasach.

- A jak się do tego zabrać? Do tych ostrygów? - pytam.

- To proste - mówi tata Bubby. - Trzeba mieć łódkę i specjalne szczypce. Nawet nie musisz kupować motorówki ani nic. Wystarczy zwykła łajba na wiosła, jakiej sam używałem w młodości.

- I to wszystko?

- Chyba tak. Mógłbym ci pokazać, gdzie są ławice. Oczywiście, musiałbyś wykupić pozwolenie na połów od władz stanowych. To pewnie najdroższa część tego interesu.

- Nie wie pan od kogo mógłbym kupić łajbę? - pytam.

A tata Bubby na to:

- Mam taką jedną, którą mogę ci dać, Forrest. Stoi przywiązana za domem. Tylko musiałbyś zdobyć parę wiosel, bo moje się połamały dziesięć czy piętnaście lat temu.

Więc tak zrobiłem.

Co za ironia losu, pomyślałem sobie. Ja jako poławiacz ostrygów! Jaka szkoda że nie ma tu porucznika Dana. Cały czas o nich gadał, ciągle mu się marzyły. Kurde, gdyby biedak nie umarł, mógłby sobie poużywać jak świnia w kałuży!

Rozpocząłem działalność nazajutrz o świcie. Poprzedniego dnia za ostatnie pieniądze kupiłem wiosła i pozwolenie na połów. Kupiłem też kombinezon roboczy i kilka koszów na ostrygi. Kiedy słońce wschodziło nad Zatoką Missisipi wiosłowałem już w kierunku co mi wskazał tata Bubby. Tata Bubby powiedział żebym płynął prosto aż znajdę się na jednej linii z wieżą ciśnień, boją numer sześć i cyplem wyspy Petit Bois. Wtedy mam skrócić w stronę rozlewiska Aux Herbes. Tam będą ostrygi.

Z godzinę mi zajęło zanim znalazłem boję numer sześć, ale potem wszystko już poszło jak z płatka. Do południa zapełniłem cztery czterdziestolitrowe kosze, a ponieważ więcej koszów nie miałem powiosłowałem z powrotem na brzeg.

W Bayou La Batre poszedłem do punktu ostrygowego skupu, gdzie policzyli towar i dali mi forszę. Za ponad czterysta ostrygów, które w knajpach szły po dolcu od sztuki, dostałem czterdzieści dwa dolary i szesnaście centów, co wydało mi się ciutkę mało. Ale nie bardzo mogłem się targować, więc wzięłem szmal i poszedłem.

Z forszą w kieszeni drałowałem ulicą żeby zdążyć na autobus do Mobile, kiedy nagle zza rogu wyszło kilku facetów i zastąpiło mi drogę.

- Jesteś nowy? - pyta mnie jeden z nich, ten największy.

- Tak jakby - mówię. - A bo co?

- Słyszeliśmy, że łowiłeś dziś nasze ostrygi - powiada drugi.

- A od kiedy to ostrygi są wasze? -ja na to. - Póki są w morzu należą do każdego.

- Zgadza się. Do każdego, kto mieszka w tych stronach. Nie lubimy obcych, którzy przyjeżdżają odbierać nam chleb.

- Nazywam się Forrest, Forrest Gump - mówię. - Miałem tu przed laty firmę "Krewetki Gumpa". Więc jak widzicie, wcale nie jestem obcy.

- Ta? A ja się nazywam Miller. Smitty Miller. Pamiętam ten twój krewetkowy biznes. Wygarnąłeś, cholera, wszystkie krewetki w okolicy i potem nie było dla nas roboty.

- Panie Miller, nie szukam zawady - mówię. - Ale mam na utrzymaniu rodzinę, więc muszę łowić i już.

- Ta? Będziemy cię mieli na oku, Gump. Podobno skumplałeś się z tym starym czarnuchem, którego syn zginął w Wietnamie.

- Bubba był moim przyjacielem - mówię.

- Ta? - Miller na to. - My tu nie zadajemy się z takimi jak on. Jeśli masz zamiar bywać w naszym miasteczku, lepiej stosuj się do naszych zasad.

- A kto je ustala? - pytam się.

- My.

I tak się rozmowa dalej toczyła. Smitty Miller nie zakazał mi wprost poławiania ostrygów, ale czułem że jeszcze będą z tego kłopoty. Kiedy wróciłem do Mobile i opowiedziałem o mojej pracy, pani Curran i mały Forrest bardzo się ucieszyli. Pomyślałem sobie że jeśli będę dużo zarabiał, to może mama Jenny zmieni zdanie, nie sprzeda domu i nie pójdzie do żadnych przytułków. Na razie miałem tylko te czterdzieści dwa dolary i szesnaście centów, ale zawsze był to jakiś początek.

W każdym razie te ostrygi były moją deską ratunkową. Rano jeździłem autobusem do Bayou La Batre i wyławiałem ich tyle żebyśmy mieli za co żyć kolejny dzień. Martwiłem się co będzie kiedy skończy się sezon albo kiedy władze zakażą połowów z powodu zanieczyszczenia wody. Bardzo się tym martwiłem.

Ale po kolei. Następnego dnia po spotkaniu ze Smittym Millerem i jego kumplami poszłem na przystań, patrzę, a mojej łajby nie ma. Rozglądam się, patrzę tu, tam, i nagle widzę:

leży na dnie. Po godzinie udało mi się wyciągnąć ją na brzeg. Trzy godziny zajęło łatanie dziury, którą ktoś wybił w podłodze. Byłem tak umęczony że tego dnia wyłowilem ostrygów tylko za dwadzieścia dolców. Podejrzewałem że dziura w łodzi to robota Smitty'ego i jego kumpli, ale nie miałem dowodów.

Innym razem nie było wioseł i musiałem kupić nowe. Kilka dni później ktoś mi połamał kosze. Ale uparłem się i nie zamierzałem się poddać.

Z kolei w domu miałem kłopoty wychowawcze z małym Forrestem. Zaczął się zachowywać jak typowy nastolatek, czyli jakby miał zielono pod sufitem. Któregoś wieczoru wrócił do domu pijany. To że jest na bani poznałem po tym, że dwa razy się przewrócił jak wchodził na górę po schodach. Nic mu nie powiedziałem, bo nie bardzo wiedziałem co powiedzieć. Kiedy spytałem o to panią Curran, ona potrząsała głową i powiedziała że też nie wie. To nie jest zły chłopiec, dodała, tyle że niełatwo go utrzymać w ryzach.

Kiedy indziej przyłapałem syna w łazience na paleniu papierosa. Wygłosiłem mu wtedy krótkie kazanie o tym jakie to niezdrowe i w ogóle. Mały Forrest słuchał, ale jakby niechętnie. Kiedy skończyłem swoją gadkę, nic nie powiedział, nie obiecał że więcej nie będzie, po prostu wyszedł z łazienki i już.

I jeszcze sprawa hazardu. Chłopak był, kurde, tak inteligentny że prawie każdego potrafił orznać, no i ożynał. W karty i inne takie. Dyrektorka szkoły napisała do mnie list że mały Forrest hazarduje się na przerwach i ogrywa inne dzieci z forsy.

Którejś nocy nie wrócił na noc do domu. Pani Curran czekała na niego do północy, ale wreszcie położyła się spać. Ja siedziałem do rana. O świcie przyłapałem go jak próbował się wśliznąć oknem do swojego pokoju. Pomyślałem sobie: trudno, Forrest, musisz z nim poważnie porozmawiać.

- Słuchaj, Forrest - powiadam do syna. - To się, kurde, musi skończyć. Wiem że młodzi chcą się wyszumieć, ale według mnie trochę z tym szumem przesadzasz.

- Tak myślisz? - on na to. - A co ja takiego robię?

- No, na przykład, wślizgujesz się cichcem do domu po północy, kopcisz w łazience fajki...

- Co ci do tego? Dlaczego mnie szpiegujesz?

- Nie szpieguję, po prostu patrzę i widzę - mówię.

- Na jedno wychodzi. Najlepiej patrz gdzie indziej.

- Nie mogę. Jestem za ciebie odpowiedzialny. Muszę się tobą opiekować...

- Wcale nie musisz - on na to. - Sam sobie poradzę.

- No widzę że radzisz sobie całkiem nieźle. Nie każdy ma sześć puszek piwa schowanych w kiblu w zbiorniku z wodą...

- A więc jednak mnie szpiegujesz?!

- Nie. Woda w kiblu cały czas się lała, więc pomyślałem że sprawdzę co się dzieje. No i sprawdziłem. Jedna z puszek zatkała otwór. Trudno żebym jej nie zauważył.

- Mogłeś nic nie mówić.

- Co?! Skoro sam nie umiesz się przyzwoicie zachowywać, muszę cię nauczyć. I nauczę.

- Ty? Mówisz z błędami, nie potrafisz utrzymać pracy... Jakim prawem chcesz mną rządzić? Dlaczego mam się ciebie słuchać? Tylko dlatego, że z tych wszystkich miejsc, gdzie byłeś, przysyłałeś mi tandentne prezenty? Jak ten podrobiony totem z Alaski? Albo tę idiotyczną tubę z Niemiec? Wyglądałbym z nią jak kretyń! Albo ten pseudoantyk z Arabii Saudyjskiej? Jest tak tępy, że nie można nim ciąć masła, nie mówiąc o papierze, w dodatku zanim jeszcze tu dotarł, powypadały z niego te kolorowe szkiełka! Wierz mi, to nie były żadne klejnoty! Wszystko wywaliłem na śmietnik! Jeśli myślisz, że masz nade mną jakąkolwiek władzę, to się grubo mylisz! Jaką władzą, jaką?!

Kurde flaki, miarka się przelała. Chciał wiedzieć jaką władzę, to mu pokazałem jaką. Chwyciłem smarkacza i przełożyłem sobie przez kolano.

- To będzie bardziej mnie bolało niż ciebie - powiedziałem.

I sprawiłem mu lanko. Nie wiem czy to co powiedziałem było prawdą czy nie, ale wiem że za każdym razem jak dawałem mu klapsa, czułem się tak jakbym bił sam siebie. Nie miałem jednak wyboru. Chłopak był mądry, więc nie mogłem przemówić mu do rozumu, bo ani w rozumowaniu ani w przemawianiu nie byłem zbyt mocny. Z drugiej strony musiałem zapanować nad sytuacją, dlatego wzięłem sprawy w swoje ręce. Przez całe lanie mały Forrest nic nie mówił, nie płakał, nie krzyczał ani nic. Kiedy skończyłem, wstał z buzią czerwoną jak wóz strażacki i poszedł do swojego pokoju. Siedział tam do wieczora, a kiedy w końcu wyszedł na kolację też niewiele mówił, tylko takie rzeczy jak: podaj sos, poproszę sól.

Ale w ciągu następnych dni i tygodni zauważyłem w jego zachowaniu znaczną poprawę. Chyba widział że ją zauważyłem, przynajmniej taką miałem nadzieję.

Często kiedy wiosłuję albo kiedy siedzę w łódce i poławiam ostrygi, rozmyślam o Gretchen. Ale na tym się kończy, na rozmyślaniu, bo co mi innego zostało? Niewiele zarabiam, żyję z dnia na dzień, a ona? Ona któregoś dnia będzie panią magister. Kilka razy nawet chciałem do niej napisać, ale nie wiedziałem o czym. Potem myślałem sobie: e tam, to jedynie pogorszy sytuację. Więc nic nie pisałem, zasuwałem przy ostrygach i tylko czasem nachodziły mnie wspomnienia.

Któregoś dnia po powrocie ze szkoły mały Forrest wchodzi do kuchni. Ja stoję przy zlewie i próbuję doszorować brudne ręce. Wcześniej rozciąłem sobie palucha o ostrygową skorupę i chociaż rana bardzo nie boli, to krew leje się strumieniem.

- Co się stało? - pyta chłopiec.

Mówię mu, a on na to:

- Poczekaj, przyniosę ci plaster.

Poszedł i przyniósł, ale zanim go nakleił, połał mi palec jakimś świństwem, które piekło jak diabli.

- Przy ostrygach trzeba uważać, żeby się nie skaleczyć - mówi do mnie. - Może się wdać poważna infekcja.

- Tak? Dlaczego? - pytam.

- Bo ostrygi najbardziej lubią się przyczepiać tam, gdzie woda jest mocno zanieczyszczona. Nie wiedziałeś o tym?

- Nie - mówię. - A ty skąd wiesz?

- Bo czytam wszystko na ich temat. Gdyby ostryga umiała mówić, to na pytanie, gdzie najchętniej by zamieszkała, pewnie by odpowiedziała, że w dole kloacznym.

- A dlaczego czytasz na ich temat?

- Pomyślałem sobie, że czas najwyższy zacząć ci pomagać - on na to. - Harujesz całymi dniami, a ja co? Chodzę do szkoły i nic.

- I dobrze. Właśnie tak ma być. Musisz się uczyć, żeby nie skończyć tak jak ja.

- Ale ja już się dość nauczyłem. I jeśli chcesz znać prawdę, potwornie się nudzę w tej budzie. Tak znacznie wyprzedzam inne dzieciaki, że nauczyciele zwalniają mnie z lekcji. Każą mi siedzieć w bibliotece i czytać.

- Tak?

- Tak. Więc pomyślałem sobie, że zamiast codziennie chodzić do szkoły i siedzieć w bibliotece, mógłbym od czasu do czasu pojechać z tobą do Bayou La Batre i pomóc ci w odłowieniu.

- Miło by... ale... hm... nie bardzo...

- To znaczy, gdybyś chciał - mówi mały Forrest. - Bo oczywiście gdybyś wolał, żebym ci się nie pałętał pod nogami...

- Nie, nie o to chodzi - protestuję. - Chodzi o naukę. Twoja mamusia chciałaby, żebyś...

- Może by chciała, ale jej tu nie ma. A tobie przydałby się pomocnik. W końcu zbieranie ostryg to ciężka praca.

- Przydałby się, to pewne - mówię. - Ale...

- Więc załatwione. Jutro jadę z tobą.

Zgodziłem się, tylko nie wiem czy słusznie.

Nazajutrz rano wstałem przed świtem, przygotowałem śniadanie, a potem przez szparę w drzwiach zajrzałem do pokoju małego Forresta sprawdzić czy jest już na nogach. Nie był. Więc cicho, na paluszkach, weszłem do środka i przez chwilę przyglądałem mu się jak śpi, a spał jak suseł. Tak bardzo byli do siebie podobni, on i Jenny, że poczułem w gardle gulę, ale szybko ją przełknęłem i wzięłem się w garść bo czekało nas mnóstwo roboty. Kiedy pochyliłem się żeby obudzić syna, niechcący rąbnęłam o coś nogą. Patrzę, a spod łóżka sterczy czubek totemu co go wysłałem z Alaski! Więc kucam i patrzę co jeszcze znajdę... A tam jest i tuba z Niemiec i nóż z Arabii. Kurde flaki, jednak nie wyrzucił prezentów. Może się nimi nie bawił, ale przynajmniej trzymał je pod łóżkiem. Ciut lepiej zaczęłem rozumieć dzieci. Przez chwilę miałem wielką ochotę pocałować małego w policzek, ale nie zrobiłem tego.

Po śniadaniu ruszyliśmy we dwóch do Bayou La Batre. Udało mi się kupić na raty starą furgonetkę, chevroleta rocznik 54, więc nie musiałem już codziennie czekać na autobus. Tyle że nigdy nie miałem pewności czy wóz nie rozkraczy mi się gdzieś po drodze. Nazwałem ją, znaczy się furgonetkę "Wanda" - na cześć tych wszystkich Wand co je w życiu znałem.

- Jak myślisz, co się z nią stało? - pyta mały Forrest.

- Z kim?

Było jeszcze ciemno, kiedy pruliśmy starą dwupasmówką w stronę wody. Po drodze mijaliśmy rozwalające się domy i nędzne pola uprawne. W zielonkawym blasku tablicy rozdzielczej widziałem odbitą w szybie twarz małego Forresta.

- No z Wandą - mówi chłopak.

- A, ze świnia? Pewnie nadal jest w zoo.

- Naprawdę tak myślisz?

- Tak - ja na to. - A gdzie miałyby być?

- Nie wiem. To już tyle lat. Może zdechła? A może ją sprzedali?

- Chcesz żebym się dowiedział? - pytam go.

- Może obaj powinniśmy - on na to.

- Może.

- Wiesz... już dawno chciałem ci powiedzieć... Przykro mi z powodu tego, co się stało z Zuzią i porucznikiem Danem.

- Dzięki.

- To byli twoi najbliżsi przyjaciele, prawda?

- Tak - mówię.

- Dlaczego zginęli? W imię czego?

- Nie wiem. Kiedy wróciłem z Wietnamu tata Bubby zadał mi to samo pytanie. Zginęli dlatego że robili to co im kazano. Dlatego że byli w niewłaściwym miejscu o niewłaściwym czasie...

- Tak, wiem. Ale o co chodziło w tej wojnie?

- Mówiono nam że chodzi o takiego faceta, Sradama Husajna, który zaatakował Kuwejt.

- Tak?

- Tak nam mówiono.

- A ty jak myślisz? - pyta mnie chłopiec.

- Byli też tacy co mówili że chodzi o ropę.

- Czytałem...

- Ja myślę że Dan i Zuzia zginęli za ropę.

I to wszystko co miałem do powiedzenia na ten temat.

Dojechaliśmy do Bayou La Batre, wsadziliśmy kosze do łódki i powiosłowałem w kierunku ostrygowych ławic. Słońce wschodziło nad Zatoką Meksykańską, po niebie sunęły różowe pierzaste chmurki, tafla wody była gładka jak stół i tylko chlupot wiosła zakłócał ciszę. Kiedy dopłynęliśmy na miejsce, wetknęłam wiosło w muł i pokazałem małemu Forrestowi jak ma

je trzymać żeby łajba nie odpłynęła, a sam zaczęłam odrywać ostrygi od podłoża i wyciągać szczypcami. Robota szła całkiem sprawnie. Po pewnym czasie chłopak powiedział że też chciałby spróbować, więc się zamieniliśmy rolami. Jeszcze go nie widziałem tak szczęśliwego, cieszył się jakby wyławiał perły, a nie zwykłe mięczaki. Co prawda perły również się trafiały, ale nie były nic warte. Od cennych pereł są inne ostrygi.

No dobra, kiedy zapełniliśmy kosze, zaczęłam wiosłować z powrotem do brzegu. Byłam w połowie drogi do punktu skupu, kiedy mały Forrest pyta się czy też mógłby trochę powiosłować. Myślę sobie: czemu nie? Więc przesiadamy się, on chwyta za wiosła i zaczyna nimi wywijać to w jedną stronę, to w drugą. Gdzieś po pół godzinie wreszcie złapał dryga.

- Dlaczego nie dokupisz silnika? - pyta się mnie. - Mógłbyś sobie przecież zamontować...

- Nie wiem - mówię. - Lubię wiosłować. Jest cicho, spokojnie. Mam czas się skupić, pomyśleć.

- O czym?

- Bo ja wiem? Właściwie o niczym. Nie jestem zbyt mocny w myśleniu.

- Dzięki silnikowi zaoszczędziłbyś mnóstwo czasu - mówi chłopak. - A tym samym zwiększył wydajność.

- Pewnie tak.

Dopłynęliśmy do przystani, przy której mieścił się punkt skupu i wyładowaliśmy na brzeg kosze. Tego dnia za ostrygi dawali trochę lepszą cenę, bo - jak nam powiedzieli w skupie - gdzie indziej odłów był zabroniony z powodu zanieczyszczenia wody, więc ostry go w było w sumie mniej. W porządku, nie protestowałam. Posłałam małego Forresta do furgonetki po pojemnik z drugim śniadaniem, myślałam że urządzimy sobie nad wodą piknik. Chłopak wraca akurat kiedy odbieram z kasy forszę. Minę ma na kwintę.

- Znasz gościa, który nazywa się Smitty? - pyta.

- Tak. Bo co?

- Ktoś nam przedziurawił oba przednie koła. Kiedy spytałem faceta, który stał po drugiej stronie jezdnii i się rechotał, czy nie wie, kto to zrobił, on na to: "Nie, ale powiedz swojemu kumpłowi, że Smitty go pozdrawia".

- Aha. - Nic więcej nie byłem w stanie z siebie wydusić.

- Kto to jest ten Smitty?

- Taki jeden.

- Facet sprawiał wrażenie bardzo zadowolonego.
- Ta. Po prostu chodzi o to że nie podoba im się, ani jemu ani jego koleżkom, że łowią tu ostrygi.
- Trzymał w ręce nóż. Myślisz, że to on nam poprzecinał opony? - pyta mały Forrest.
- Może - mówię. - Ale nie mamy żadnych dowodów.
- Idź z nim pogadaj. Spytaj go.
- Lepiej nie zadawać się z tymi typami - mówię. - Tylko można mieć kłopoty.
- Chyba się ich nie boisz, co? - pyta mnie syn.
- Nie, ale wiesz, oni tu mieszkają. I uważają że to są ich ostrygi.
- Co? Ostrygi w wodzie nie są niczyją własnością - oburza się mały Forrest.
- Wiem, ale oni uważają inaczej.
- Więc pozwolisz, żeby tobą pomiatali?
- Najlepiej nie zwracać na nich uwagi - powiadam.

Mały Forrest wykonał w tył zwrot, wrócił do furgonetki i zaczął zmieniać koła. Z daleka widziałem jak gada do siebie i przeklina pod nosem. Wcale mu się, kurde, nie dziwiłem, ale nie mogłem sobie pozwolić na żadne burdy. Przecież miałem pod swoim skrzydłem rodzinę.

Rozdział 14

No i stało się. Któregoś dnia władze wzięły i zakazały połowu ostrygów.

Dojechaliśmy z małym Forrestem do Bayou La Batre, idziemy na przystań, a tam wszędzie wiszą wielkie napisy: Z POWODU ZANIECZYSZCZENIA WODY ZAKAZUJE SIĘ POŁOWU OSTRYG AŻ DO ODWOŁANIA. OSOBY NIE STOSUJĄCE SIĘ DO ZAKAZU BĘDĄ SUROWO KARANE.

Kurde flaki, niewesoło. Przędziemy cienko, ale co robić? Wróciliśmy z powrotem do Mobile. Przez cały wieczór chodziłem skwaszony, rano też mam chandrę. Siedzę przy stole, piję kawę i ogólnie się gnębię, kiedy w kuchni zjawia się mały Forrest.

- Mam pomysł - mówi.

- Tak?

- Chyba wymyśliłem, w jaki sposób moglibyśmy dalej łowić ostrygi - powiada. - Trzeba by jedynie przekonać ludzi ze stanowej stacji sanitarnej, że nasze ostrygi są wolne od zanieczyszczeń.

- A jak to zrobić? - pytam. - Przecież...

- I będą, jeśli tylko je przeniesiemy.

- Kogo?

- No przecież nie służbę sanitarną - mówi chłopak. - Ostrygi. Słuchaj: ostrygi najlepiej się rozwijają w zanieczyszczonej wodzie, tyle że wtedy nie wolno ich jeść, bo można się zatruć. Zgadza się? Zgadza. Ale wyczytałem, że ostryga wydalą z siebie wszystkie nieczystości w ciągu dwudziestu czterech godzin.

- Co z tego?

- A gdybyśmy tak łowili ostrygi w brudnej przybrzeżnej wodzie, a potem umieszczali je w zatoce, gdzie woda jest czysta? Wystarczyłoby je zanurzyć na głębokość mniej więcej metra i zostawić na dobę.

- Poważnie?

- Tak myślę. Musielibyśmy kupić jeszcze jedną łajbę i zacumować ją przy którejś z tych małych wysepek w zatoce. Potem trzeba by do niej ładować ostrygi i zatapiać na dobę. Przez noc ostrygi pozbywałyby się nieczystości. Rano byłyby czyste i świeżutkie. W dodatku jeszcze smaczniejsze, bo woda w zatoce ma większe zasolenie.

- Wiesz co? - mówię do syna. - To się może udać.

- Jasne - on na to. - Wprawdzie przybędzie nam pracy, bo trzeba będzie wozić ostrygi tam i z powrotem, ale chyba lepsze to niż nic.

Miał rację.

Jakoś udało nam się przekonać ludzi ze stanowej stacji sanitarnej że nasze ostrygi nikomu nic złego nie zrobią. Odławialiśmy je w zanieczyszczonej wodzie przybrzeżnej, potem targali w głęb zatoki. Roboty było tyle że wkrótce kupiliśmy sobie barkę. A ponieważ jedynie my mieliśmy ostrygi na sprzedaż, płacono nam za nie krocią.

Mijały tygodnie, miesiące, a myśmy stopniowo kupowali coraz więcej barek i zatrudniali do pomocy coraz więcej ludzi.

Mały Forrest miał jeszcze jeden pomysł, który sprawił żeśmy na serio obrośli w forszę.

- Słuchaj - mówi któregoś dnia jak przytachaliśmy do skupu kolejny wielki ładunek. - Tak się zastanawiałem... Gdzie najlepiej by się hodowało ostrygi?

- Na gównie - zgaduję.

- No właśnie. A gdzie woda jest najbardziej zafajdana?

- Pewnie przy oczyszczalni ścieków.

- Zgadza się. Więc powiem ci, co zrobimy. Założymy własną hodowlę. Będziemy mieli tysiące, miliony ostryg. Najpierw musimy napuścić do wody przy oczyszczalni planktonu, żeby młode ostryżki miały czym się odżywiać. A potem trzeba je tylko będzie regularnie odławiać i wywozić na barkach do zatoki. I wiesz co? Wcale nie trzeba tych zanieczyszczonych ostryg przerzucać z jednej barki na drugą; wymyśliłem sposób, żeby barki zatapiać, a potem wypompowywać z nich wodę.

No więc zrobiliśmy jak mówił.

Po roku z założonej przy oczyszczalni ścieków hodowli wydobywamy takie ilości ostrygów że aż włos się jeży. Poza tym mamy własny dział przetwórstwa, własny dział spedycyjny i własny dział marketingowy.

“Gump i spółka”, bo tak się nazywamy, sprzedaje ostrygi najlepszej jakości na terenie całych Stanów Zjednoczonych.

Nasza działalność i sukcesy tak bardzo poprawiły humor biednej pani Curran, że przestała się wybierać do przytułka a zamiast tego została naszą sekretarką. Czuliła się jak nowo narodzona

- to jej słowa. Do tego stopnia odżyła że kupiła sobie nowego cadilaka kabrioleta. Jeździła po mieście z otwartym dachem, ubrana w sukienkę bez rękawów i kapelusz wiązany pod brodą żeby wiatr nie potarł jej fryzury.

Z każdym miesiącem coraz bardziej się rozrastaliśmy. Postanowiłem znaleźć sobie najlepszych pracowników, speców w swoim fachu. W pierwszej kolejności odszukałem panów Ivana Bonzosky'ego i Mike'a Mulligana, których dałem do księgowości. Nie, nie bałem się że mnie okantują, uważałem że pobyt w więzieniu był dla nich nauką.

Slima, który był specem od wciskania ludziom encyklopedii zatrudniłem w dziale sprzedaży. W krótkim czasie zwiększył nam obroty o pięćset procent! Curtisa i Węza, których kariery sportowe w drużynach Giantsów i Saintsów dobiegły końca najęłem do ochrony.

Alfreda Hopewella, wiceprezesa z koncernu od nowej coli, obsadziłem w dziale badań i rozwoju. Jego żona pani Hopewell, której poziom życia znacznie się pogorszył od czasu zamieszku w Atlancie, została naszym dyrektorem od spraw kontaktów z urzędami i agencjami rządowymi. I wiecie co? Tak dobrze się z nimi kontaktuje że odkąd ją zatrudniłem nie mieliśmy żadnych kłopotów z facetami ze stanowej stacji sanitarnej. Pani Hopewell zaprasza ich do siebie do gabinetu i kiedy słyszę jak wali w chiński gong, wiem że zebranie idzie po jej myśli.

Po aferze z "Exxon-Valdez" pan McGivver, dawny właściciel świńskiej farmy, miał kłopoty ze znalezieniem pracy, więc jego też zatrudniłem. Przydzieliłem mu dozór nad barkami. Przestał pić i tak sprawnie nimi zawiadywał że odkąd zaczął u nas pracę żadna nie wpadła na mieliznę. Wciąż gadał jak pirat, ale dzięki temu miał większy posłuch.

Mój stary znajomek pułkownik North również nie bardzo sobie w życiu radził, więc zrobiłem go szefem tajnych operacji. W dziale tajnych operacji potajemnie kontroluje się czystość i jakość ostrygów.

- Któregoś dnia, Gump, będę kandydował do senatu - mówi pułkownik North. - Zobaczysz, pokażę tym sukinsynom, co to znaczy zwykła przyzwoitość!

- Dobrze, pułkowniku - odpowiadam. - A na razie niech pan ma na oku nasze ostrygi. Jasne?

Do działu zajmującego się kwestiami moralno-duchowymi chciałem zatrudnić starego ajatolę z Iranu, ale on wziął i wykitował, więc zatrudniłem wielebnego Jima Bakkera. Wielebny kaznodziej uczciwie przykłada się do pracy, ciągle wszystko błogosławi, łajby, barki i inne takie,

ale jego żona Tammy Faye krzywo patrzy na panią Hopewell i jej chiński dzwon, więc chyba coś z tym będę musiał zrobić.

Do poławiania, sortowania i oporzędzania ostrygów ściągnęłam cały personel z Ziemi Świętej wielebnego Bakker: Mojżesza, który występował przy gorejącym krzaku, Jonasza, którego połykał wieloryb, Jakuba od sukni rozmaitych farb, no i całą armię faraona, która ginęła w Morzu Czerwonym. Zatrudniłam też faceta, który w “Wniebowstąpieniu Jezusa” grał Jezusa i Daniela z lwem z “Lwiej jamy”: Jezus i Daniel rozwożą larwy ostryg po naszej wodnej farmie, a lew, który się z wiekiem postarzał i potwornie rozleniwił, przesiaduje przed drzwiami mojego gabinetu i raz na jakiś czas wydaje z siebie ryk. Biedaczysko straciło większość zębów i zasmakowało w ostrygach, co się pewnie dobrze składa.

Panna Hudgins, moja sekretarka z czasów jak pracowałam u Bonzosky'ego, kieruje u nas spedycją, a pani Elaine, właścicielka tej nowojorskiej restauracji ze znanymi ludźmi, jest jednym z głównych klientów firmy “Gump i spółka”. Lubi nasze ostrygi, bo są świeże jak mleko od krowy. W kwestiach prawnych reprezentuje nas szacowna firma adwokacka z Nowego Jorku panów B. Lagiera, O. Szusta i H. Ieny. Prokurator pan Guguglianti, który gdzie indziej znalazł pracę, obiecał służyć nam jako doradca w sprawach kryminalnych - jeśli takowe się pojawią.

Znalazłam też robotę dla zawodników z naszych drużyn futbolowych w Niemczech, znaczy się Cuzamów i Magów z Wiesbaden. Szefem do spraw transportu mianowałam Eddiego, który w czasach mojego nowojorskiego dobrobytu obwoził mnie wszędzie wielką limuzyną. Zapropnowałam też ciepłe posadki Sradamowi Husajnowi i generałowi Scheisskopfowi. Obaj przysłali mi grzeczne listy że dziękują, ale na razie mają inne pomysły na życie. Sradam napisał jednak, że nie wyklucza że kiedyś skorzysta z mojej oferty.

Ogólny nadzór nad przedsiębiorstwem powierzyłam mojemu staremu kumpłowi, sierżantowi Kranzowi. Aż mi się łezki w oku kręcą kiedy słyszę jak poczciwy sierżant wszystkich musztruje i opierdala.

Ale jeszcze wam nie powiedziałam najlepszego. Więc kiedy osiągnę jaki taki sukces odważyłam się napisać do Gretchen. I kurde flaki! Wiecie co? Po tygodniu dostałam od niej miły list o tym co u niej słyszać, jak sobie radziła na studiach i w ogóle, a wszystko było tak ładnie napisane, bez błędów ani nic, że oczy mi stanęły dęba.

Najdroższy Forreście - pisała Gretchen. - Odkąd wyjechałeś na wojnę, myślałam o tobie codziennie. Ogromnie się bałam, czy nie przydarzyło ci się coś złego. Nawet dowiadywałam się o

ciebie w waszej ambasadzie tu w Niemczech. Sprawdzili i po pewnym czasie poinformowali mnie, że wyszedłeś już z wojska i że jesteś cały i zdrow. Tylko to się dla mnie liczyło...

Dalej Gretchen pisała że nie tylko nauczyła się angielskiego, ale zrobiła dyplom z administracji i że któregoś dnia chciałaby otworzyć własną restaurację. Poza tym chętnie by się ze mną zobaczyła. No to spełniłem jej życzenie. Dwa tygodnie później Gretchen miała własny gabinet w naszym biurze w Bayou La Batre - kierowała działem międzynarodowym firmy "Gump i spółka". Wieczorem chodziliśmy razem na długie spacery po plaży i trzymaliśmy się za ręce jak w dawnych czasach. Powoli znów zaczęłem być szczęśliwy. Czułem że mam cel w życiu, tylko teraz nigdzie się nie spieszyłem żeby go przypadkiem nie stracić.

Ponieważ tata Bubby też szukał jakiejś roboty, więc najęłem go do doglądania działu otwieraczy. Od razu zaczęli dwa razy szybciej otwierać ostrygi.

I to by byli już wszyscy. Tyramy jak dziki, wspólnymi siłami hodujemy ostrygi, pielęgnujemy, odławiamy, wieziemy w barkach, zatapiamy, wyciągamy, znów wieziemy, otwieramy, czyścimy, puszkujemy i rozsyłamy po świecie. I zarabiamy tyle szmalu że już mi się nie mieści pod łóżkiem!

Nad moim biurkiem wisi cytat co go mały Forrest dla mnie wynalazł i oprawił. Literki ze szczerego złota na czarnym aksamitnym tle układają się w zdanie, które powiedział pisarz Jonathan Swift: "Wielkiej odwagi był człowiek, który pierwszy zjadł ostrygę". I pewnie to prawda, nie?

Jedyny nasz problem to Smitty Miller i jego kumple, którym wciąż się nie podoba to co robimy. Ich też chciałem zatrudnić, ale Smitty powiedział żebym się wypchał, bo jego ludzie nie mają zamiaru pracować razem z czarnuchami. Chętnie za to bawią się z nami w podchody, to znaczy raz na jakiś czas ktoś nam w nocy przecina liny albo wrzuca cukier do baku albo wymyśla inną atrakcję, ale macham na to wszystko ręką. Nie zamierzam się burdować, interes idzie tak dobrze że nie chcę z powodu czyjejś głupoty narażać go na uszczerbek.

Przez kilka miesięcy życie toczy się w miarę spokojnie. A potem któregoś wieczoru mały Forrest zaczyna dumać nad Wandą.

- Pewnie dobrze się nią opiekują w waszyngtońskim zoo - powiadam.

Ale chłopaka to nie zadowala.

- Napiszmy do nich - mówi - i zapytajmy, czy by nam jej nie oddali.

I tak zrobiliśmy.

Parę miesięcy później nadeszła odpowiedź.

Treść listu od dyrektora zoo można mniej więcej streścić tak: zoo nie zwraca zwierząt, które zgodnie z prawem są jego własnością.

- Trochę to niesprawiedliwe - mówi mały Forrest. - Bądź co bądź wychowywaliśmy ją od maleńkości.

- To prawda - powiadam. - Poza tym wcale nie dałem im świni na własność. Dałem ją na przechowanie kiedy jechałem spotkać się z ajatolem.

Wybraliśmy się do pułkownika Northa, który urzędował w wartowni jaką wybudował na terenie naszej posiadłości i opowiedzieliśmy mu o całej sytuacji.

- A to skurwysyny - oświadczył, jak zawsze kładąc nacisk na takt i dyplomację. - Trzeba będzie zorganizować tajną wyprawę i odbić Wandę.

I tak zrobiliśmy.

Pułkownik North spędził wiele miesięcy na szczegółowych przygotowaniach. Kupił kombinezony w barwach ochronnych żeby nas nie było widać, kupił specjalny smar do pacykowania twarzy, kupił drabinki sznurowe, piłki do metalów, noże, kompasy i inne takie. Kiedy spytałem się go jaki ma plan, powiedział że jeszcze nie ma żadnego, że na miejscu się coś wykombinuje.

W końcu nadszedł dzień wyjazdu. W Waszyngtonie udaliśmy się do parku przy zoo i przesiedzieliśmy tam w ukryciu do wieczora. Po zmroku zaczęły nas dolatywać ryki zwierząt - niedźwiedziów, lwów i tygrysów, a od czasu do czasu wycie słońca.

- Dobra, chłopaki - mówi wreszcie pułkownik North. - Ruszamy do boju.

Ruszamy cicho, na paluszkach. Przechodzimy przez mur i nagle, kurde flaki, robi się jasno jak w sklepie z żarówkami. Nie tylko zapalają się wszystkie światła, ale w dodatku rozlegają się jakieś syreny, dzwony i po chwili obtacza nas z pięćdziesięciu gliniarzy.

- Myślałem że zna się pan na alarmach i innych takich - szepczę do pułkownika.

- Ja też tak myślałem - on na to. - Chyba wyszedłem z wprawy.

W każdym razie pułkownik próbuje nas wyplątać z kłopotów: opowiada gliniarzom że jesteśmy szpiegi, że ćwiczymy przed tajną akcją, że mamy jechać do Iraku i z ogrodu zoologicznego w Bagdadzie porwać zwierzęta Sradama jako zakładników. Nawija i nawija, a gliniarze trzymają się za boki i pękają ze śmiechu, nawet nie zauważają kiedy w tym całym

zamieszaniu mały Forrest się wymyka. W końcu ładują nas do suki. W trakcie tego ładowania rozlega się nagle krzyk, a po nim kwiczenie.

Oczywiście krzyk pochodzi od małego Forresta, a kwik od Wandy. Chłopak przeciął piłką do metalów pręty klatki, świnia wyszła na wolność i teraz oboje przebiegają pędem koło radiowozu. Gliniarze zostawiają mnie i pułkownika w otwartej suce, a sami rzucają się do goniaczki. Z kolei ja i pułkownik rzucaamy się do ucieczki. Frajerzy nie wiedzą że mały Forrest odziedziczył po mnie jedną rzecz: parę w nogach. Gna przed siebie jak pchła za kotem. Ja z pułkownikiem puszczamy się w przeciwną stronę. Wreszcie docieramy do naszej kryjówki w parku tak jak się wcześniej umówiliśmy. Mały Forrest i Wanda już tam na nas czekają.

- O kurwa! - woła pułkownik North. - Udało się, Gump, udało się! Obmyśliłem akcję na piątkę z plusem! Ale ze mnie podstępny drań!

- Tak, pułkowniku - mówię. - Podstępny jak psie gówno na środku chodnika.

Ale nic. Przed wschodem słońca wynikliśmy się z parku. Idziemy wzdłuż torów kolejowych i nagle patrzymy, a tu kurde bele! - na bocznicę stoi wagon towarowy pełen świń.

- Wspaniale - raduje się pułkownik. - Możemy się wmieszać w nie i nikt nas nie zauważy.

- Może Wanda może się wmieszać - mówię. - Ale my?

- A widzisz lepsze wyjście? - pyta pułkownik. - Nie marudź, Gump. Wskakujemy.

I tak zrobiliśmy. Jedno wam powiem: była to najdłuższa i najniewygodniejsza podróż w moim życiu, tym bardziej że pociąg jechał aż do Oregonu, no ale jakoś ją przeżyliśmy. A pułkownik przez całą drogę pęczniał z dumy i puszył się jak paw.

W końcu dotarliśmy do Bayou La Batre. Odkąd odzyskał swoją świnie mały Forrest chodzi szczęśliwy jak szczygiełek. Wanda z kolei przesiaduje naprzeciw lwa przed drzwiami mojego gabinetu. Chyba dobrze że lwowi ze starości powypadały zęby, bo przynajmniej nie robi jej krzywdy. Chociaż nie wiem czyby zrobił, bo bez przerwy gapi się w świnie takim maślanym wzrokiem jakby się w niej zakochał albo co.

Któregoś dnia mały Forrest przychodzi do mnie i mówi że chce pogadać, więc idziemy na przystań i gadamy.

- Słuchaj, nie uważasz, że strasznie ciężko ostatnio pracujemy? - pyta się.

- Ano ciężko - mówię.

- Więc może pojechalibyśmy gdzieś na urlop?

- Tak? A gdzie?

- Nie wiem, daleko stąd. W góry - mówi mały Forrest. - Na sptyw kajakiem. Wszystko jedno.

- W porządku - mówię. - A masz jakieś konkretne miejsce...?

- Tak, oglądałem mapę. Spodobała mi się taka rzeka w Arkansas.

- Jak się nazywa? - pytam.

- Whitewater - on na to.

No i pojechaliśmy.

Tuż przed wyjazdem wzięłem na bok sierżanta Kranza, który nadzorował firmę i dałem mu instrukcje na czas mojej nieobecności.

- Wszystko ma być tak jak dotąd - mówię. - Niech nikt nie wdaje się w żadne bójki ze Smittym i jego bandą. Najważniejszy jest interes firmy.

- Jasne, szefie - powiada sierżant Kranz. - Swoją drogą, nie miałem okazji ci podziękować, ale wdzięczny jestem za tę robotę. Po trzydziestu latach w wojsku bałem się, jak to będzie, kiedy wrócę do cywila. Ale ta praca bardzo mi podchodzi. Wielkie dzięki.

- Drobiazg - ja na to. - Świetnie się spisujesz. Poza tym miło mieć koło siebie znajomą twarz. A znamy się od Wietnamu, no nie? To już kupa lat, ponad połowa mojego życia.

- Tak, rzeczywiście. No i patrz, Gump, wojna czy pokój, a ja się wciąż od ciebie nie mogę odczepić...

- Lepiej niech już nie będzie żadnych wojen - mówię.

Ale była, toczyła się, tylko że ja o niej wtedy nie wiedziałem.

W każdym razie mały Forrest i ja spakowaliśmy się i ruszyliśmy we dwóch nad rzekę Whitewater w stanie Arkansas. Odkąd chłopak zaczął mi pomagać przy odłowieniu ostrygów nie ma między nami większych zgrzytów. Mały Forrest cały czas zachowuje się bardzo grzecznie, kilka razy powstrzymał mnie od błędnych decyzji, jest wiceprezesem i dyrektorem naczelnym "Gump i spółki" - ale w rzeczywistości to on rządzi firmą, nie ja. Ja tam nie jestem dość łośki.

Dojeżdżamy nad Whitewater. Jest chłodny, wiosenny poranek. Na miejscu wynajmujemy kajak, napychamy do niego pełno żarcia - wieprzowinę z fasolą, parówki, kiełbasy, sery, chleb na kanapki - i ruszamy dalej.

Whitewater to bardzo piękna rzeka. Płyniemy z prądem, a po drodze mały Forrest objaśnia mi dzieje geologiczne regionu. Od czasu do czasu te dzieje widać gołym okiem na przybrzeżnych kamulcach. Chłopak opowiada mi o skamielinach i skałach, a ja sobie myślę: wapniaki to nie tylko skały, to również tacy jak ja. Powoli zbliżamy się do początku słynnej Formacji Smackover gdzie, jak powiada mały Forrest, znajdują się największe na południowym wschodzie złoża ropy naftowej.

Na noc zatrzymujemy się nad brzegiem rzeki, rozpalamy ognisko i gotujemy kolację - wieprzowinę z fasolą, a ja sobie myślę że to mój pierwszy w życiu prawdziwy urlop. Małemu Forrestowi humor dopisuje. Chciałbym żeby ten wyjazd nas do siebie zbliżył. Jestem z syna bardzo dumny - że wyrósł na takiego mądrego chłopca, że przejął tyle spraw w firmie "Gump i spółka", tylko ciutkę się gnębię czy nie za szybko staje się dorosły. Bo czy on kiedykolwiek miał prawdziwe dzieciństwo, czy kopał piłkę, wygłupiał się z kolegami? Kiedy spytałem go o to, powiedział że to nie ma znaczenia.

Któregoś wieczoru... ale mi, kurde, sprawił niespodziankę! Sięgnął do plecaka i wyciągnął harmonijkę, tę samą na której grałem Bubbie jak umierał w Wietnamie, a później w zespole Zbite Jaja. A kiedy przytknął ją do ust to ze zdziwienia szczęka opadła mi prawie na same kolana - dzieciak grał melodie z czasów mojej młodości, w dodatku grał je lepiej i ładniej niż ja. Zapytałem go gdzie się tego nauczył, a on na to że nigdzie.

- Wrodzony dar - powiada.

Zbliżyliśmy się do końca spływu, kiedy spostrzegłem na zboczu jakiegoś gościa. Facet krzyczał do nas i wymachiwał łapami żebyśmy na chwilę podpłynęli. No tośmy podpłynęli. On zszedł na dół i przytrzymał nasz kajak za dziób.

- Się macie - powiada. - Jesteście z tych stron?

Więc mówimy że nie, że jesteśmy tu tylko przejazdem, a tak w ogóle to pochodzimy z Mobile w stanie Alabama, a on na to żebyśmy wysiedli z kajaka i obejrżeli tereny, które ma do sprzedania nad rzeką. Mówi że to najlepsza ziemia w całym Arkansas i że sprzeda nam ją bardzo tanio. Tłumaczę że nie bardzo nas to interesuje, że jeszcze nie zaczęliśmy robić tego typu inwestycji, ale facet jest tak namolny że myślę sobie: co ci szkodzi, Forrest? Przejdziesz się, obejrzysz, a facetowi będzie miło. Powiem wam że kiedy dotarliśmy na miejsce, byłem mocno rozczarowany. Znaczący teren był ładny i w ogóle, ale pełno tam stało ruder z wrakami samochodów zamiast kwiatków w ogródkach, po podwórzach walały się stare opony, dokoła

pałętali się jacyś ludzie. Słowem nędza popędzana bidą. Pewnie rok temu sam mógłbym w czymś takim mieszkać, ale...

W każdym razie Bili - tak się gość każe do siebie zwracać - mówi żebyśmy nie przejmowali się ruderami, bo za tydzień się je rozbierze, a na ich miejscu staną eleganckie wille, takie po milion dolców, więc jeśli chcemy się załapać możemy jako piersi przystąpić do interesu.

- Coś wam, chłopcy, powiem - mówi Bili. - Zajmuję się polityką na szczeblu stanowym, ale z polityki nie da się wyżyć. Poczyniłem więc inwestycję swego życia, lokując pieniądze w ośrodku Whitewater, który powstanie tu nad rzeką. I zaręczam wam, że wszystkim zainteresowanym stronom ta inwestycja przyniesie wyłącznie zysk i zadowolenie. Rozumiecie, co mam na myśli?

No cóż, Bili sprawiał wrażenie porządnego gościa. Wyglądał uczciwie, taki swój chłop. Miał sympatyczny, lekko zachrypły głos, gęste białe włosy i duży zaczerwieniony nochal - jak święty Mikołaj na rysunkach. Śmiał się beztrudno, wesoło. Przedstawił nas swojej żonie Hillary, która wyszła z przyczepy kempingowej poczęstować nas limoniadą. Hillary ubrana była w luźną babciną sukienkę, a fryzurę miała taką jakby nasadziła sobie na łeb blond perukę bitelsową.

- Słuchajcie - mówi szeptem Bili - nie powinienem tego nikomu mówić, ale coś wam zdradzę. Otóż tereny Whitewater leżą na ropie. Więc nawet jeżeli nie zbudujecie tu sobie domu, a kupicie działkę, zanim inni się dowiedzą, co ta ziemia kryje, to i tak zostaniecie multimilionerami.

Mniej więcej w tym czasie podchodzi do nas jakiś staruszek. Na jego widok o mało nie wywijam orła.

- Chłopcy - powiada Bili - przedstawiam wam mojego współnika.

Tym współnikiem był pan Tribble, mój dawny trener i doradca szachowy, o którym wszyscy gadali że mnie okradł z całej forsy krewetkowej.

Kiedy pan Tribble mnie spostrzeża, odskakuje jakbym był straszidłem albo co i przez chwilę się waha czy dać drapaka, ale w końcu bierze się w garść i wyciąga na powitanie łapę.

- Miło cię znów widzieć, Forrest - powiada.

- Ta, pana też - ja na to. - A w ogóle to co pan tu porabia?

- Oj, to długa historia, Forrest - mówi pan Tribble. - W każdym razie po plajcie twojej firmy krewetkowej zacząłem szukać pracy. Usłyszałem, że obecny tu pan gubernator potrzebuje doradcy, więc zgłosiłem się, a on mnie przyjął.

- Jaki gubernator? - dziwię się.

- No, Bili. Bili jest gubernatorem stanu Arkansas.

- Serio? To dlaczego zajmuje się sprzedażą nieruchomości? - pytam.

- Dlatego że to jedyna okazja w swoim rodzaju - powiada Bili. - Wystarczy jak tu podpiszesz i transakcja będzie zawarta. Pan Tribble dostanie prowizję, a my wszyscy się wzbogacimy.

- Ale my i tak jesteśmy już bogaci - wtrąca się nagle do rozmowy mały Forrest.

- No to będziecie jeszcze bogatsi - powiada Bili. - To dzięki takim jak wy, bogatym ludziom, mamy w kraju postęp. Uwielbiam bogaczy. Ludzie majątni to moi przyjaciele.

Na moje ucho gadał jakby prowadził kampanię prezydencką i chciał się nam przypodobać, ale co ja tam wiem? W końcu jestem tylko biedny idiota.

- Pewnie się zastanawiasz, Forrest, gdzie się podziała forsa z twojej firmy krewetkowej? - mówi do mnie pan Tribble.

- Czasem nad tym dumam.

- Zaopiekowałem się nią - on na to. - Ty się zabawiałeś w Nowym Orleanie, a krewetki się kończyły... Pomyślałem sobie, że wkrótce zostaniesz bez grosza przy duszy, więc trzeba jakoś zabezpieczyć cię na przyszłość.

- Tak? I jak pan zabezpieczył? - pytam go.

- Kupiłem nad Whitewater piękny kawałek ziemi. To wspaniała inwestycja.

- Gówno, nie inwestycja - wtrąca się mały Forrest. - Ta ziemia jest tyle warta co siki na zeszłorocznym śniegu.

- A coś ty za jeden, synu? - pyta pan Tribble.

- Nazywam się Forrest. I nie jestem pańskim synem.

- Ach tak, rozumiem...

- I co, twierdzi pan, że ten syf tutaj należy do nas?

- No, nie całkiem - powiada pan Tribble. - Za pieniądze z firmy krewetkowej wpłaciłem tylko pierwszą ratę. Przecież musiałem jeszcze z czegoś żyć. A na resztę wzięłem kredyt pod zastaw hipoteczny w wysokości miliona siedmiuset dolarów. Dopiero jak go spłacicie, ziemia będzie wasza.

- No właśnie - mówi Bili - ale możecie się nie martwić o dług. Wiecie, jak działają banki federalne. Nikogo nie obchodzi, czy człowiek zwróci zaciągnięty kredyt czy nie.

- Naprawdę? - pytam.

- A jak zostanę prezydentem, to na pewno nie będziecie musieli nic zwracać.

Wkrótce pożegnaliśmy się z Billem i panem Tribble. W drodze powrotnej nad rzekę mały Forrest wścieka się i pieni jak proszek w palce.

- Powinieneś podać tych drani do sądu! - woła.

- Za co? - pytam.

- Za to, że cię okradli i wpakowali forszę w to gówno! Przecież to jedna wielka lipa! Jaki, psiakość, milioner będzie chciał się budować na tym zadupiu?

- Myślałem że podoba ci się ta rzeka - mówię. - Moglibyśmy co wieczór rozbijać sobie obóz i...

- Przestała mi się podobać - on na to.

Przez resztę dnia wiosłowaliśmy bez przystawiania ani nic. Mały Forrest prawie się nie odzywał. Chyba znów palnęłem coś głupiego.

Jak zawsze po wiosnie nastąpiło lato, po lecie przyszła jesień, a firma "Gump i spółka" jak prosperowała tak prosperuje. Wszystko nam wychodziło, każda rzecz za jaką się wzięliśmy. Czasem aż nie mogłem uwierzyć we własne szczęście. Mnie i Gretchen dobrze się razem wiodło, mały Forrest był tak zadowolony z życia jakby codziennie odwiedzał go święty Mikołaj. Któregoś dnia spytałem ich, znaczy się Gretchen i syna, czy nie poszliby ze mną na mecz futbolowy. Z początku chciałem zabrać samego chłopca, bo z dawnych czasów pamiętałem że Gretchen miała tylko jedno do powiedzenia w temacie futbolu - *Ach!* - ale tym razem powiedziała coś więcej. Mianowicie:

- Wiele czytałam na temat tej gry, Forrest, i z przyjemnością obejrzę mecz.

Ładnie, nie?

To na co ich zabrałem to nie był zwykły mecz, to było wielkie wydarzenie, prawie święto narodowe. W pierwszy dzień nowego roku na stadionie w Nowym Orleanie drużyna uniwersytetu stanowego Alabamy grała o tytuł mistrza kraju z drużyną Hurricanes z uniwersytetu Miami.

Przed meczem zawodnicy z Miami ganiłi po całym mieście i opowiadali wszem i wszystkim jak to dadzą w dupę Alabamcom; Alabamcy zapadną się pod ziemię ze wstydu i w

ogóle. Brzmiało to jak przechwałki tych palantów z Nebraski, z którymi grałem kiedyś na stadionie Orange Bowl na Florydzie. Ale to było bardzo, bardzo dawno temu.

No dobra, dojechaliśmy na miejsce i mówię wam: to dopiero było coś! W moich czasach mecze odbywały się na prawdziwej trawie i na odkrytym stadionie, a teraz - pod wielką kopułą i na udawanej zieleni. Ale w samej grze nie było nic udawanego. Tam się, kurde, toczyła wojna. Mieliśmy miejsca w prywatnej łoży, którą wykupiłem, a ponieważ tych miejsc w łoży było dużo to oprócz małego Forresta i Gretchen zaprosiłem na mecz różnych znajomków sprzed lat, między innymi striptizerkę Wandę z rozbieranego lokalu w dzielnicy francuskiej. Dziewczyny świetnie się dogadywały, zwłaszcza odkąd Gretchen powiedziała Wandzie że w Niemczech pracowała jako kelnerka w piwiarni.

- Wiesz, złotko, wszędzie na świecie faceci chcą tylko jednego - stwierdziła Wanda. - Ale w sumie nie jest to zła robota.

A wracając do meczu - to nie Miami dało w dupę Alabamie, tylko chłopaki z Alabamy tak dołożyli Hurricanesom, że ci podwinęli pod siebie ogony i zmyli się jak niepyszni, a ja wreszcie zobaczyłem jak moja stara buda zdobywa futbolowe mistrzostwo.

Mały Forrest z przejęciem oglądał mecz. A jak się ucieszył kiedy w przerwie ogłoszono przez megafon że na trybunie siedzi jeden z byłych graczy alabamskich i wymieniono moje nazwisko! Z kolei Gretchen zajadle kibicowała naszym.

- OBRONA! OBRONA! OBRONA! - zdzierła sobie w gardle strunę i wkrótce chłopaki bronili tak dobrze że co rusz wyrywały przeciwnikom piłkę z łap.

Po skończonym meczu wyściskaliśmy się z radości i pomyślałem sobie że cokolwiek się stanie - Gretchen, ja i mały Forrest zawsze będziemy przyjaciółmi. A to dobrze, bo lubię mieć przyjaciół.

Któregoś dnia kiedy mgła okryła zatokę, zaświtało mi nagle we łbie że czas najwyższy zająć się porucznikiem Danem i Zuzią. Biedny Dan. Biedny orangut.

Więc wydobyłem puszkę z prochami, które mi generał Scheisskopf dał tamtego dnia w Kuwejcie, poszedłem do mojej starej łajby, odwiązałem ją od palika i zacząłem wiosłować. Wcześniej powiedziałem Gretchen i małemu Forrestowi co sobie umyśliłem. Oboje spytali się czy nie chcę żeby popłynęli ze mną, ale powiedziałem że nie, muszę to zrobić sam.

- Hej, panie Gump! - zawołał ktoś stojący na nabrzeżu. - Dlaczego pan nie weźmie motorówki? Po co się tak męczyć i przebierać wiosłami?

- Czasami lubię! - odrzyknętem temu na brzegu. - Przypominają mi się stare czasy!

I powiosłowałem.

Po drodze co rusz słyszałem syreny mgłowe statków, dzwonki ostrzegawcze na bojach i różne inne dźwięki. Słońce czerwone jak dojrzały pomidor przebijało się przez mgłę i powoli opadało nad wodą. Dopłynętem do naszej nowej hodowli ostrygów przy miejskiej oczyszczalni ścieków. Byłem sam: wszyscy już dawno wrócili do domu. Co jak co, myślę sobie, ale perfumami tu nie pachnie.

Podpłynętem jeszcze kawałek w stronę zawietrzną, potem ustawiłem łajbę w miejscu gdzie moim zdaniem były największe i najtłustsze ostrygi. Otwarłem puszkę z prochami, zmówiłem za porucznika Dana i oranguta Zuzię krótką modlitwę - żeby im tu dobrze było i takie tam bzdety - następnie pochyliłem się przez burtę i wrzuciłem ich, znaczy się Dana i Zuzię, do ciemnej wody. Myślałem że zrobi mi się smutno czy coś, ale nie. Patrzyłem na to tak jakby dotarli do kresu swojej podróży. Niby wolałbym Zuzię rozsypać po dżungli, ale żadna nie rosła w pobliżu. Zresztą może od biedy spodoba się małpisonowi ławica ostrygów - w końcu będzie tam ze swoim kumplem Danem. Metalowe puszkę opadły na dno, przez moment zamigotały jak gwiazdy na niebie, a potem znikły.

Zakręciłem łajbę i zaczętem płynąć z powrotem do domu, kiedy nagle na którejś boi rozdzwonił się dzwonek, więc zerknętem przez ramię i kurde bele, wiecie kogo widzę? Moją Jenny! Siedzi na boi, powolutku się kołysze i jest tak samo śliczna jak dawniej. Kochana Jenny. Zawsze się pojawia kiedy jej najbardziej potrzebuję.

- No i co, Forrest? - mówi do mnie. - Wreszcie postąpiłeś tak jak ci radziłam?

- To znaczy? - pytam się.

- Pamiętasz? Tam na pustyni... Mówiłam, żebyś zapamiętał sobie, co mówi Dan.

- Tak. Faktycznie. Mówił że Sradam to sknera, bo na ostatni posiłek nie chciał mu zafundować ostrygów. Tylko że...

- Tylko że trochę to trwało, zanim wreszcie wpadłeś na rozwiązanie? Nie szkodzi. Grunt, że wpadłeś.

- Wiesz, Jenny, mam nadzieję że tym razem już nic nie sknozę - mówię.

- Na pewno nie - ona na to.

- Jesteś smutna, Jenny. Coś się stało?
- Nie. Tylko że to pewnie nasze ostatnie spotkanie. Chyba sobie dalej sam poradzisz, kochany. A mnie czekają inne zajęcia...
- No a mały Forrest? Myślałem że chodzi ci o niego?
- Właściwie nie - mówi Jenny. - Głównie chodziło mi o ciebie. Mały wyrósł na wspaniałego chłopca. Zawsze wiedziałam, że da sobie radę. To ty potrzebowałeś mojej opieki.
- Wiesz, Jenny, nie jestem pewny czy on mnie lubi.
- Oj, chyba tak - ona na to. - Tylko czasem dzieci są dziwne. Nie pamiętasz, jacy myśmy byli w jego wieku?
- To było tak dawno temu.
- A co z Gretchen? - pyta Jenny. - Jak wam się wiedzie? Mówiłam ci, że mi się podoba, prawda? Jest taka... bo ja wiem... taka normalna. Opowiedz mi o niej.
- To trochę krępujące. Bo przecież ty i ja...
- No właśnie. Mieliśmy swoją szansę.
- Niezupełnie - mówię. - Twoja nagła śmierć...
- Tak bywa, Forrest - ona na to. - Ale najważniejsze są wspomnienia. Kiedy nie zostaje już nic, wspomnienia wciąż żyją.
- Czy to znaczy że cię więcej nie zobaczę?
- Tak, kochany. Ale nie smuć się, masz przed sobą całe życie. Będiesz bardzo szczęśliwy. A teraz, zanim się rozstaniemy, chciałabym cię o coś prosić. Nie wiem, jak to zrobisz, ale na pewno coś wymyślisz... Chciałabym, żebyś pożegnał ode mnie mamę i małego Forresta...
- Jasne.
- Wiedz, Forrest, że zawsze cię kochałam i że jesteś wspaniałym facetem.
- Jenny - mówię, ale kiedy podnoszę głowę pusta boja kołysze się we mgle. Poza nią nie ma nic. Co mam robić? Wiosłuję z powrotem do brzegu.

Zacumowałem łajbę i polazłem do naszego działu przetwórstwa. Spacerowałem sobie po budynku i czułem się strasznie samotny - dokoła pustka, większość ludzi poszła do domu, tylko w paru pokojach palą się światła. Ci co muszą, pracują do późna żeby interes się kręcił.

Najbardziej lubiłem taki jeden mały pokoik wielkości szafy na miotły. Głównie trzymaliśmy w nim narzędzia i inne takie. Stało tam również wiadro. Wiadro z perłami.

Jako klejnoty były nic nie warte. Najładniejsze perły trafiały się w japońskich ostrzygach. Ale od czasu do czasu nasi otwieracze też znajdowali perły, zwykle o dziwnym kształcie i brzydkie w kolorze. Trochę tych naszych perłów nadawało się do sprzedaży, więc je sprzedawaliśmy pod koniec roku, a za otrzymane pieniądze kupowaliśmy kilka skrzynek piwa dla pracowników.

W każdym razie przechodziłem koło perłowej szafki, kiedy doleciał mnie ze środka jakiś dźwięk. Otwarłem drzwi i kurde, aż zaniemówiłem! Na stołeczku siedział sierżant Kranz i jak mu się przyjrzałem w świetle dwudziestowatowej żarowy zobaczyłem że ślepa ma czerwone.

- Co się stało, sierżancie? - pytam go.

- Nic - on na to i ani słowa więcej.

- Sierżancie Kranz - mówię. - Znam cię nie od dziś. Ale po raz pierwszy widzę żebyś beczał.

- Po raz pierwszy i ostatni. A poza tym wcale nie beczę.

- Dobra, dobra - ja na to. - Zarządzam całym tym interesem i mam prawo wiedzieć co dolega moim ludziom.

- A odkąd to jestem waszym człowiekiem, Gump?

- Odkąd cię poznałem.

Przez chwilę gapimy się na siebie w milczeniu, potem wielkie tłuste łzy zaczynają spływać sierżantowi po polikach.

- Psiakość, Gump - mówi sierżant. - Za stary jestem na takie numery.

- Jakie numery? - pytam go.

- Chodzi o Smitty'ego i jego koleśków.

- Co się stało?

- Poszedłem na przystań sprawdzić barki - mówi. - Smitty ze swoją bandą ruszył za mną. Kiedy sprawdzałem cumy, ten drań zaczął szczać do jednej z naszych łódek, a kiedy mu zwróciłem uwagę, cała banda rzuciła się na mnie i zaczęła okładać zdechłymi rybami.

- Co?!

- I jeszcze Smitty nazwał mnie czarnuchem - ciągnie sierżant Kranz. - Nigdy w życiu nikt mnie tak nie nazwał.

- Naprawdę?

- No przecież mówię! Nic nie mogłem zrobić. Kurwa, mam pięćdziesiąt dziewięć lat, Gump. Jak się miałem bronić? Ich było ośmiu czy dziesięciu rośliwych białych gości o połowę ode mnie młodszych.

- No tak...

- Cholera, nie wyobrażam sobie, żebym kiedyś mógł nie stanąć do bitki. Ale teraz wiedziałem, że to nic nie da. Po prostu bym oberwał i tyle. Nie żebym się tym tak bardzo przejmował, może nawet przyłożyłbym mu za tę obelgę, ale zakazałeś wdawać się w awantury ze Smittym i jego kolegami. Więc się nie wdawałem, zresztą i tak nic dobrego by z tego nie wyszło.

- Słuchajcie, sierzancie. Macie tu zostać, wziąć się w garść, o tamtym nie myśleć. To rozkaz.

- Psiakość, Gump, nie wykonuję rozkazów od szeregowych.

- Ten masz wykonać i już.

Musiałem załatwić tę sprawę, nie będzie mi Smitty ludzi obrażał. Całe życie starałem się być grzeczny, postępować zgodnie ze swoim sumieniem. Mama zawsze mi mówiła że nieładnie jest szukać zaczepków i wdawać się w bójki. Ciągle powtarzała żebym tego nigdy nie robił, bo jestem duży i głupi i jeszcze mogę kogoś niechcący uszkodzić. Ale czasami trzeba zapomnieć o maminych radach.

Szłem ulicą w stronę portu, a że to była długa ulica Smitty i jego kumple pewnie z daleka zobaczyli jak nadchodzę. Czekali na mnie ustawieni w szeregu - Smitty na czele swojej bandy.

Wcześniej tego nie zauważyłem, dopiero jak doszłem na miejsce, ale na moje spotkanie ze Smittym wybrało się również sporo ludzi z firmy "Gump i spółka". Miny mieli zawzięte jakby też się chcieli z nim rozprawić.

Podchodzę do Smitty'ego Millera i pytam się go dlaczego napadli sierżanta Kranza.

- Nie twoja sprawa, Gump - on na to. - Zresztą tylko się zabawialiśmy.

- Ty to nazywasz zabawą? Okładanie zdechłymi rybami pięćdziesięciodziewięcioletniego faceta?

- Kurwa, Gump, obchodzi cię jakiś czarnuch?

No to mu pokazałem że obchodzi.

Najpierw złapałem go za poły kurtki i podniosłem do góry. Następnie rzuciłem go w miewie gównu co się zebrało na pomoście. A wreszcie wetkłem w nie jego nos.

Potem obróciłem go i kopniakiem w tłusty zad zepchłem do jednej z jego własnych ostrygowych łódek. Wylądował na wznaku. Wtedy odpięłem rozporek i porządnie go obsikałem.

- Jak jeszcze raz ktoś mi się na ciebie poskarży - powiedziałem - to pożałujesz że nie urodziłeś się kartoflem.

Może mógłbym wymyślić coś zabawniejszego, ale akurat nie byłem w zabawowym nastroju.

Nagle coś mnie hukło w ramię. Patrzę, a jeden z koleżków Smitty'ego trzyma w łapie dechę nabitą gwoździami. A to skurwiel! Uderzenie bolało jak sto diabłów. No nic, zdecydowanie nie byłem w zabawowym nastroju, więc skubańca też oderwałem od ziemi... Obok stała wielka machina do robienia lodu i w niej wylądował, baniakiem w dół. Ledwo się z nim uporałem, a już pędzi na mnie trzeci z łyżką do opon. Chwyciłem bandziora za kłaki, okręciłem nim w powietrzu kilka razy i puściłem - jakbym był dyskobolem czy kimś. Kiedy na niego spojrzałem leciał na Kubę, a może Jamajkę. W każdym razie po tym rzucie inni kolesie Smitty'ego zaczęli się cofać.

- Zapamiętajcie sobie ten pokaz. Bo was może czekać to samo - powiedziałem im na zakończenie.

Zrobiło się prawie ciemno. Faceci z "Gump i spółka" wiwatowali na moją cześć, a na cześć Smitty'ego i jego zgrai łobuzów wznosili wrogie okrzyki. W mroku dojrzałem sierżanta Kranza. Stał w tłumie i kiwał łepetyną. Mrugłem do niego porozumiewawczo, a on podniósł do góry kciuka że niby spisałem się na medal. Długo się już znamy, ja i sierżant Kranz, i chyba się nieźle rozumiemy.

W tym momencie ktoś mnie szarpie za rękaw. Patrzę, a obok stoi mały Forrest i gapi się na moje ramię, które trochę krwawi po zderzeniu z nabijaną gwoździami dechą.

- Dobrze się czujesz, tato? - pyta się mnie.

- He?

- Pytam, tato, czy dobrze się czujesz. Bo krwawisz.

- Jak mnie nazwałeś?

A wtedy w odpowiedzi usłyszałem:

- Kocham cię, tato.

Nic więcej. Ale nic więcej nie było mi potrzeba. Nic a nic.

I właściwie to już koniec. Kiedy tłum rozszedł się do domów polazłem nad takie jedno miejsce nad wodą, z którego widać Zatokę Missisipi, dalej Zatokę Meksykańską, a jeszcze dalej Meksyk i może nawet Amerykę Południową. Tyle że tam już wzrok nie sięga. Ale ponieważ nad wodą wciąż unosiła się mgła, to prawdę mówiąc nie widziałem nic. Klapłem na starej parkowej ławce, obok mnie klapł mały Forrest. Nic nie mówiliśmy, bo chyba wszystko zostało już powiedziane - siedzieliśmy po prostu w milczeniu, a ja sobie myślałem: kurde, Forrest, ale z ciebie farciarz. Masz pracę, masz syna, z którego możesz być dumny i masz wielu fajnych przyjaciół. Niektórzy odeszli: Bubba, Jenny, moja mama, a niedawno Dan z Zuzią - ci ostatni są gdzieś w pobliżu i myślę o nich za każdym razem jak słyszę na wodzie syreny mgłowe albo ostrzegawczy dźwięk boi. Inni przyjaciele wciąż dotrzymują mi towarzystwa: mały Forrest, pani Curran, sierżant Kranz, no i Gretchen. Stale pamiętam co mi o niej powiedziała Jenny. Więc w pewnym sensie jestem najszczęśliwszym człowiekiem pod słońcem.

Na koniec jeszcze wam opowiem o tym jak postanowiono nakręcić o mnie film. Różne dziwne rzeczy zdarzały mi się w życiu, ale ta była najdziwniejsza ze wszystkich. Otóż ktoś gdzieś usłyszał o idiocie, któremu powiodło się w interesach czyli o mnie - no i okazało się że w dzisiejszych czasach takie historie cieszą się dużym wzięciem.

Więc pewnego pięknego dnia w Bayou La Batre zjawia się kupa producentów z Hollywood, którzy mówią że chcą zrobić o mnie film. Resztę chyba już znacie. Film został nakręcony, a ludzie na całym świecie chodzili go oglądać. Pan Tom Hanks co go spotkałem kiedyś w Nowym Jorku zagrał mnie, Forresta Gumpa - i muszę przyznać że nieźle się spisał.

Potem nadszedł dzień rozdania nagród co się nazywają Oscary. Pojechałem do Kalifornii na cyremonię razem z moimi przyjaciółmi i siedziałem na sali obok rodziny Bubby. I wiecie co? Film o mnie zgarnął najwięcej nagród! Jak babcię kocham! Była cała masa podziękowań, każdy dziękował każdemu, a na końcu mnie też podziękowano.

Cyremonię prowadził pan David Letterman, taki sympatyczny gość, który miał wielką szparę między zębami i psa co robił różne sztuczki. Jako ostatni punkt programu pan Letterman ogłasza że akademia oscarowa postanowiła przyznać specjalną nagrodę dla Forresta Gumpa, "najukochańszego głupka w Ameryce" i - o kurde! - wywołuje mnie na scenę.

No dobra, idę, on mi wręcza nagrodę, a potem pyta się czy chciałbym coś powiedzieć do kamer telewizyjnych. Ano chciałbym i to od dłuższego czasu. Spoglądam ze sceny na te wszystkie eleganckie kiecki i cenne świedła, na te piękne panie i przystojnych panów, i mówię im to co mi leży na sercu czyli rzecz jasna:

- Chce mi się siku.

W pierwszej chwili nikt nie klaszcze, nie rusza się ani nic nie mówi. Pewnie się wstydzą, myślę sobie, bo przecież cała Ameryka ogląda nas w telewizji. Ale potem zaczynają coś szeptać między sobą, coś burczeć pod nosami.

Pan Letterman, który uważa że powinien nad wszystkim panować, nie bardzo wie co ma w tej sytuacji robić, więc macha na migi do facetów za kurtyną żeby skombinowali jakiś bosak czy coś i czym prędzej ściągali mnie ze sceny. Czuję jak coś zahacza mi się o kołnierz, kiedy nagle od strony widowni leci w naszą stronę pocisk! Mały Forrest tak się podniecił cyremonią, a że nie miał co podgryzać, bo nie sprzedawali żadnych orzeszków czy prażonej kukurydzy, to z nerwów żarł swój program. Przeżuwał go jak krowa trawę, a potem ulepił z niego kulę. I kiedy zobaczył że gospodarz imprezy niegrzecznie obchodzi się z jego tatą to ze złości ją rzucił, a ona - pac! - trafiła pana Lettermana prosto między gały!

Gretchen była przerażona.

- O mój Boże! Och! Ach! - krzyczała.

Wiecie co? Ale piękna wybuchła draka! Istna pandemonia! Ludzie zrywają się z krzeseł, skaczą, wrzeszczą, piszczą, wymachują łapami, a miły pan Letterman wierci się przy mównicy i usiłuje oderwać sobie żujkę od ryja.

Nagle nad te wszystkie wrzaski i krzyki wzbija się pojedynczy głos:

- To mój tata! To mój tata!

Mówię wam, prawie serce mi pękło. I w tym momencie można już opuścić kurtynę. Kapujecie?